

ADAM MICKIEWICZ

DZIADY

POEMA

UPIOR

Serce ustało, pierś już lodowata,

Ścięły się usta i oczy zawarły;

Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata!

Cóż to za człowiek? – Umarły.

Patrz, duch nadziei życie mu nadaje,

Gwiazda pamięci promyków użycza,

Umarły wraca na młodości kraje

Szukać lubego oblicza.

Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata,

Usta i oczy stanęły otworem,

Na świecie znowu, ale nie dla świata;
Czymże ten człowiek? – Upiorem.

Ci, którzy bliżej cmentarza mieszkali,
Wiedzą, iż upiór ten co rok się budzi,
Na dzień zaduszny mogiłę odwali
I dąży pomiędzy ludzi.

Aż gdy zadzwonią na niedzielę czwartą,
Wraca się nocą opadły na sile,
Z piersią skrwawioną, jakby dziś rozdartą,
Usypia znowu w mogile.

Pełno jest wieści o nocnym człowieku,
Żyją, co byli na jego pogrzebie;
Słychać, iż zginął w młodocianym wieku,
Podobno zabił sam siebie.

Teraz zapewne wieczne cierpi kary,
Bo smutnie jęczał i płomieniem buchał;
Niedawno jeden zakrystyjan stary
Obaczył go i podsłuchał.

Mówi, iż upiór, skoro wyszedł z ziemi,
Oczy na gwiazdę poranną wywrócił,

Załamął ręce i usta chłodnemi

Takową skargę wyrzucił:

„Duchu przeklęty, po co śród parowu

Nieczulej ziemi ogień życia wzniecasz?

Blasku przeklęty, zagasłeś, i znowu,

Po co mi znowu przyświecasz?

O sprawiedliwy, lecz straszny wyroku!

Ujrzyć ją znowu, poznać się, rozłączyć;

I com ucierpiał, to cierpieć co roku,

I jakem skończył, zakończyć.

Żebym cię znalazł, muszę między zgrają

Błądzić z długiego wyszedłszy ukrycia;

Lecz nie dbam, jak mię ludzie powitają;

Wszystkiemu doznał za życia.

Kiedyś patrzyła, musiałem jak zbrodzień

Odwracać oczy; słyszałem twe słowa,

Słyszałem co dzień, i musiałem co dzień

Milczeć jak deska grobowa.

Śmieli się niegdyś przyjaciele młodzi,

Zwali tęsknotę dziwactwem, przesadą;

Starszy ramieniem ściska i odchodzi

Lub mądrą nudzi mię radą.

Śmieszków i radców zarówno słuchałem,

Choć i sam może nie lepszy od drugich,

Sam bym się gorszył zbyt zbytnim zapalem

Lub śmiał się z żalów zbyt długich.

Ktoś inny myślał, że obrażam ciebie,

Uwłączam jego rodowitej dumie;

Przecież ulegał grzeczności, potrzebie,

Udawał, że nie rozumie.

Lecz i ja dumny, żem go równie zbadał,

Choć mię nie pyta, chociaż milczeć umiem,

Mówilem gwałtem, a gdy odpowiadał,

Udałem, że nie rozumiem.

Ale kto nie mógł darować mi grzechu,

Ledwie obelgę na ustach przytrzyma,

Niechętne lica gwałci do uśmiechu

I litość kłamie oczyma;

Takiemu tylko nigdy nie przebaczył;

Wszakżem skargami nigdy ust nie zmazał,

Anim pogardy wymówić nie raczył,
Kiedym mu uśmiech okazał.

Tegoż dziś doznam, jeśli dziką postać
Cudzemu światu ukażę spod cieni;
Jedni mię będą egzorcyzmem chłostać,
Drudzy uciekną zdziwieni.

Ten dumą śmieszy, ten litością nudzi,
Inny szyderskie oczy zechce krzywić.
Do jednej idąc, za cóż tyle ludzi
Muszę obrażać lub dziwić?

Cóżkolwiek będzie, dawnym pójdę torem:
Szydercom litość, śmiech litościwemu.
Tylko, o luba! tylko ty z upiorem
Powitaj się po dawnemu.

Spójrzyj i przemów, daruj małą winę,
Że śmiem do ciebie raz jeszcze powrócić,
Mara przeszłości, na jedną godzinę
Obecne szczęście zakłócić.

Wzrok twój, nawykły do świata i słońca,
Może się trupiej nie ulęknie głowy,

I może raczysz cierpliwie do końca

Grobowej dosłuchać mowy.

I ścigać myśli po przeszłych obrazach

Błądzące jako pasożytne ziele,

Które śród gmachu starego po gładach

Rozpierzchle gałązki ściele”.

DZIADY. Jest to nazwisko uroczystości obchodzonej dotąd między pospółstwem w wielu powiatach Litwy, Prus i Kurlandii, na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. Uroczystość ta początkiem swoim zasięga czasów pogańskich i zwała się niegdyś uczta kozła, na której przewodniczył Koźlarz, Huslar, Guślarz, razem kapłan i poeta (gęślarz).

W teraźniejszych czasach, ponieważ światło duchowieństwo i właściciele usiłowali wykorzenić zwyczaj połączony z zabobonnymi praktykami i zbytkiem częstokroć nagannym, pospółstwo więc święci Dziady tajemnie w kaplicach lub pustych domach niedaleko cmentarza. Zastawia się tam pospolicie uczta z rozmaitego jadła, trunków, owoców i wywołują się dusze nieboszczyków. Godna uwagi, iż zwyczaj częstowania zmarłych zdaje się być wspólny wszystkim ludom pogańskim, w dawnej Grecji za czasów homerycznych, w Skandynawii, na Wschodzie i dotąd po wyspach Nowego Świata. Dziady nasze mają to szczególnie, iż obrzędy pogańskie pomieszane są z wyobrażeniami religii chrześcijańskiej, zwłaszcza iż dzień zaduszny przypada około czasu tej uroczystości. Pospółstwo rozumie, iż potrawami, napojem i śpiewami przynosi ulgę duszom czyscowym.

Cel tak pobożny święta, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne przemawiały niegdyś silnie do mojej imaginacji; słuchałem bajek, powieści i pieśni o nieboszczykach powracających z prośbami lub przestrogami; a we wszystkich zmyśleniach poczwarnych można było dostrzec pewne dążenie moralne i pewne nauki, gminnym sposobem zmysłowie przedstawiane.

Poema niniejsze przedstawi obrazy w podobnym duchu, śpiewy zaś obrzędowe, gusła i inkantacje są po większej części wiernie, a niekiedy dosłownie z gminnej poezji wzięte.

DZIADY

CZEŚĆ II

GUŚLARZ – STARZEC PIERWSZY Z CHÓRU – CHÓR WIEŚNIAKÓW I
WIEŚNIACZEK – KAPLICA, WIECZÓR

*There are more things in Heaven and Earth,
Than are dreamt of in your philosophy.*

Shakespeare

Są dziwy w niebie i na ziemi, o których
ani śniło się waszym filozofom.

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

Zamknijcie drzwi od kaplicy
I stańcie dokoła truny;
Żadnej lampy, żadnej świecy,
W oknach zawieście całuny.
Niech księżyc jasność błada
Szczelinami tu nie wpada.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

STARZEC

Jak kazałeś, tak się stało.

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

Czyscowe duszeczki!
W jakiegokolwiek świata stronie:
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszej kary
W surowym wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy, i płacze rzewnie;
Każda spieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze!
Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek;
Jest jałmużna, są pacierze,
I jedzenie, i napitek.

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

Podajcie mi garść kądzieli,
Zapalam ją; wy z pośpiechem,
Skoro płomyk w górę strzeli,
Pędźcie go z lekkim oddechem.
O tak, o tak, dalej, dalej,
Niech się na powietrzu spali.

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

Naprzód wy z lekkimi duchy,
Coście wśród tego padolu
Ciemnoty i zawieruchy,
Nędzy, płaczu i mozołu
Zabłysnęli i spłonęli
Jako ta garstka kądzieli.
Kto z was wietrznym błądzi szlakiem,
W niebieskie nie wzleciał bramy,
Tego lekkim, jasnym znakiem
Przyzywamy, zaklinamy.

CHÓR

Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GUŚLARZ

Patrzcie, ach, patrzcie do góry,
Cóż tam pod sklepieniem świeci?

Oto złocistymi pióry
Trzepioce się dwoje dzieci.
Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkim na drzewie,
Jak aniołek igra z aniołkiem.

GUŚLARZ I STARZEC

Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkim na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

ANIOŁEK

(do jednej z wieśniaczek)

Do mamy lecim, do mamy.
Cóż to, mamó, nie znasz Józia?
Ja to Józio, ja ten samy,
A to siostra moja Rózia.
My teraz w raju latamy,
Tam nam lepiej niż u mamy.
Patrz, jakie główki w promieniu,
Ubior z jutrzeńki światełka,
A na oboim ramieniu
Jak u motylków skrzydełka.
W raju wszystkiego dostatek,
Co dzień to inna zabawka:
Gdzie stąpim, wypływa trawka,
Gdzie dotknem, rozkwita kwiatek.

Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy nas nuda i trwoga.
Ach, mamó, dla twoich dziątek
Zamknięta do nieba droga!

CHÓR

Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy ich nuda i trwoga.
Ach, mamó, dla twoich dziątek
Zamknięta do nieba droga!

GUŚLARZ

Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga?
Czyli o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko
I owoce, i jagodki.
Czego potrzebujesz, duszeczko;
Żeby się dostać do nieba?

ANIOŁEK

Nic nam, nic nam nie potrzeba.
Zbytkiem słodczy na ziemi
Jesteśmy nieszczęśliwemi.
Ach, ja w mojem życiu całem
Nic gorzkiego nie doznałem.
Pieszczoty, łakotki, swawole,
A co zrobię, wszystko caca.
Śpiewać, skakać, wybiec w pole,
Urwać kwiatków dla Rozalki,
Oto była moja praca,
A jej praca stroić lalki.
Przylatujemy na Dziady
Nie dla modłów i biesiady,
Niepotrzebna msza ofiarna;
Nie o pączki, mleczka, chrusty,
Prosim gorzycy dwa ziarna;
A ta usługa tak marna

Stanie za wszystkie odpusty.

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodczy w niebie.

CHÓR

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodczy w niebie.

GUŚLARZ

Aniołku, duszeczko!
Czego chciałeś, macie obie.
To ziarneczko, to ziarneczko,
Teraz z Bogiem idźcie sobie.
A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha.
Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju,
Zostawcież nas w pokoju!

A kysz, a kysz!

CHÓR

A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha.

Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju,
Zostawcież nas w pokoju.

A kysz, a kysz!

(Widmo znika)

GUŚLARZ

Już straszna północ przybywa,
Zamykajcie drzwi na kłódki;
Weźcie smolny pęk łuczywa,
Stawcie w środku kocioł wódki.
A gdy laską skinę z dala,
Niechaj się wódka zapala.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

STARZEC

Jużem gotów.

GUŚLARZ

Daję hasło.

STARZEC

Buchnęło, zawrzało
I zgasło.

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

Dalej wy z najcięższym duchem,
Coście do tego padołu
Przykuci zbrodni łańcuchem

Z ciałem i duszą pospołu.
Choć zgon lepiankę rozkruszy,
Choć was anioł śmierci woła,
Żywot z cielesnej katuszy
Dotąd wydrzeć się nie zdoła.
Jeżeli karę tak srogą
Ludzie nieco zwolnić mogą
I zbawić piekielnej jamy,
Której jesteście tak blisko:
Was wzywamy, zaklinamy
Przez żywioł wasz, przez ognisko!

CHÓR

Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GŁOS

(za oknem)

Hej, kruki, sowy, orlice!
O wy przeklęte żarłoki!
Puśćcie mnie tu pod kaplicę,
Puśćcie mnie choć na dwa kroki.

GUŚLARZ

Wszelki duch! jakaż potwora!
Widzicie w oknie upiora?
Jak kość na polu wybladły;
Patrzcie! patrzcie, jakie lice!
W gębie dym i błyskawice,
Oczy na głowę wysiadły,
Świecą jak węgle w popiele.
Włos rozczochrany na czele.
A jak suchy snop cierniowy
Płonąc miotłę ognia ciska,

Tak od potępieńca głowy
Z traskiem sypią się iskrzyska.

GUŚLARZ I STARZEC

A jak suchy snop cierniowy
Płonąc, miotłę ognia ciska,
Tak od potępieńca głowy
Z traskiem sypią się iskrzyska.

WIDMO

(zza okna)

Dzieci! nie znacie mnie, dzieci?
Przypatrzcie się tylko z bliska,
Przypomnijcie tylko sobie!
Ja nieboszczyk pan wasz, dzieci!
Wszak to moja była wioska.
Dziś ledwo rok mija trzeci,
Jak mnie złożyliście w grobie.
Ach, zbyt ciężka ręka Boska!
Jestem w złego ducha mocy,
Okropne cierpię męczarnie.
Kędy noc ziemię ogarnie,
Tam idę, szukając nocy;
A uciekając od słońca
Tak pędzę żywot tułaczy,
A nie znajdę błędów końca.
Wiecznych głodów jestem pastwą,
A któż mię nakarmić raczy?
Szarpie mię żarłoczne ptastwo,
A któż będzie mój obrońca?
Nie masz, nie masz mękóm końca!

CHÓR

Szarpie go żarłoczne ptastwo,

A któż mu będzie obrońca?

Nie masz, nie masz mękom końca!

GUŚLARZ

A czegoż potrzeba dla duszy,

Aby uniknąć katuszy?

Czy prosisz o chwałę nieba?

Czy o poświęcone gody?

Jest dostatkiem mleka, chleba,

Są owoce i jagody.

Mów, czego trzeba dla duszy,

Aby się dostać do nieba.

WIDMO

Do nieba?... bluźnisz daremnie...

O nie! ja nie chcę do nieba;

Ja tylko chcę, żeby ze mnie

Prędzej się dusza wywlekła.

Stokroć wolę pójść do piekła,

Wszystkie męki zniosę snadnie;

Wolę jęczeć w piekle na dnie,

Niż z duchami nieczystymi

Błąkać się wiecznie po ziemi,

Widzieć dawnych uciech ślady,

Pamiętki dawnej szkarady;

Od wschodu aż do zachodu,

Od zachodu aż do wschodu

Umierać z pragnienia, z głodu,

I karmić drapieżne ptaki.

Lecz niestety! wyrok taki,

Że dopóty w ciele muszę

Potępioną włóczyć duszę,

Nim kto z was, poddani moi,

Pożywi mię i napoi.

Ach, jak mnie pragnienie pali;
Gdyby mała wody miarka!
Ach, gdybyście mnie podali
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR

Ach, jak go pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach, gdybyśmy mu podali
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR PTAKÓW NOCNYCH

Darmo żebrze, darmo płacze:
My tu czarnym korowodem,
Sowy, kruki i puchacze,
Niegdyś, panku, sługi twoje,
Któreś ty pomorzył głodem,
Zjemy pokarmy, wypijem napoje.
Hej, sowy, puchacze, kruki,
Szponami, krzywymi dzioby
Szarpajmy jadło na sztuki!
Chociażbyś trzymał już w gębie,
I tam ja szponę zagłębię;
Dostanę aż do wątroby.

Nie znałeś litości, panie!
Hej, sowy, puchacze, kruki,
I my nie znajmy litości:
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości.

KRUK

Nie lubisz umierać z głodu!
A pomnisz, jak raz w jesieni
Wszedłem do twego ogrodu?
Gruszka dojrzeła, jabłko się czerwieni;
Trzy dni nic nie miałem w ustach,
Otrząsnąłem jabłek kilka.
Lecz ogrodnik skryty w chrustach
Zaraz narobił hałasu
I poszczuł psami jak wilka.
Nie przeskoczyłem tarasu,
Dopędziła mię obława;
Przed panem toczy się sprawa,
O co? o owoce z lasu,
Które na wspólną wygodę
Bóg dał jak ogień i wodę.
Ale pan gniewny zawoła:
„Potrzeba dać przykład grozy”.
Zbiegł się lud z całego sioła,
Przywiązano mnie do sochy,
Zbito dziesięć pęków łozy.
Każdą kość, jak z kłosa żyto,
Jak od suchych strąków grochy,
Od skóry mojej odbito!
Nie znałeś litości, panie!

CHÓR PTAKÓW

Hej, sowy, puchacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

SOWA

Nie lubisz umierać z głodu!
Pomnisz, jak w kucyją samą,
Pośród najtęższego chłodu,
Stałam z dziecieniem pod bramą.
Panie! wołałam ze łzami,
Zlituj się nad sierotami!
Mąż mój już na tamtym świecie,
Córkę zabrałeś do dwora,
Matka w chacie leży chora,
Przy piersiach maleńkie dziecię.
Panie, daj nam zapomogę,
Bo dalej wyżyć nie mogę!

Ale ty, panie, bez duszy!
Hulając w pjanej ochocie,
Przewalając się po złocie,
Hajdukowi rzekłeś z cicha:
„Kto tam gościom trąbi w uszy?
Wypędź żebraczkę, do licha”.
Posłuchał hajduk niecnota,
Za włosy wywlekl za wrota!
Wepchnął mię z dzieckiem do śniegu!
Zbita i przeziębła srodze,
Nie mogłam znaleźć noclegu;
Zmarzłam z dziecieniem na drodze.
Nie znałeś litości, panie!

CHÓR PTAKÓW

Hej, sowy, puchacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,

Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

WIDMO

Nie ma, nie ma dla mnie rady!
Darmo podajesz talerze,
Co dasz, to ptastwo zabierze.
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!

Tak, muszę dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzienia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

CHÓR

Tak, musisz dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzienia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

GUŚLARZ

Gdy nic tobie nie pomoże,
Idźże sobie precz, nieboże.
A kto prośby nie posłucha,
W Imię Ojca, Syna, Ducha.
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju?
Zostawże nas w pokoju!
A kysz, a kysz!

CHÓR

A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha.
Czy widzisz Pański krzyż?

Nie bierzesz jadła, napoju?

Zostawże nas w pokoju!

A kysz, a kysz!

(Widmo znika)

GUŚLARZ

Podajcie mi, przyjaciele,

Ten wianek na koniec laski.

Zapalam święcone ziele,

W górę dymy, w górę blaski!

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,

Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

Teraz wy, pośrednie duchy,

Coście u tego padołu

Ciemnoty i zawieruchy,

Żyłyście z ludźmi pospołu;

Lecz, od ludzkiej wolne skazy,

Żyłyście nie nam, nie światu,

Jako te cząbry i ślazy,

Ni z nich owocu, ni kwiatu.

Ani się ukarmi zwierzę,

Ani się człowiek ubierze;

Lecz w wonne skręcone wianki

Na ścianie wiszą wysoko.

Tak wysoko, o ziemianki,

Była wasza pierś i oko!

Która dotąd czystym skrzydłem

Niebieskiej nie przeszła bramy,

Was tym światłem i kadzidłem

Zapraszamy, zaklinamy.

CHÓR

Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GUŚLARZ

A toż czy obraz Bogarodzicy?
Czyli anielska postać?
Jak lekkim rzutem obręcza
Po obłokach zbiega tęcza,
By z jeziora wody dostać,
Tak ona świeci w kaplicy.
Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

GUŚLARZ I STARZEC

Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

GUŚLARZ I DZIEWCZYNA

GUŚLARZ

Na głowie ma kraśny wianek,
W ręku zielony badylek,
A przed nią bieży baranek,
A nad nią leci motylek.
Na baranka bez ustanku
Woła: baś, baś, mój baranku,
Baranek zawsze z daleka;
Motylka różeczką goni
I już, już trzyma go w dłoni;
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA

Na głowie mam kraśny wianek.
W ręku zielony badylek,
Przede mną bieży baranek,
Nade mną leci motylek.
Na baranka bez ustanku
Wołam: baś, baś, mój baranku,
Baranek zawsze z daleka;
Motylka różeczką gonię
I już, już chwytam go w dłonie;
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA

Tu niegdyś w wiosny poranki
Najpiękniejsza z tego siola,
Zosia pasając baranki
Skacze i śpiewa wesoła.
La la la la.

Oleś za gołąbków parę
Chciał raz pocałować w usta;
Lecz i prośbę, i ofiarę
Wyśmiała dziewczyna pusta.
La la la la.

Józio dał wstążkę pasterce,
Antoś oddał swoje serce;
Lecz i z Józia, i z Antosia
Śmieje się pierzchliwa Zosia.
La la la la.

Tak, Zosią byłam, dziewczyną z tej wioski,
Imię moje u was głośnie,
Że chociaż piękna, nie chciałam zamęścia,
I dziewiętnastą przeigrawszy wiosnę,

Umarłam nie znając troski
Ani prawdziwego szczęścia.
Żyłam na świecie; lecz, ach! nie dla świata!
Myśl moja, nazbyt skrzydlata,
Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni.
Za lekkim zefirkiem goni,
Za muszką, za kraśnym wiankiem,
Za motylkiem, za barankiem;
Ale nigdy za kochankiem.
Pieśni i fletów słuchałam rada:
Często, kiedy sama pasę,
Do tych pasterzy goniłam stada,
Którzy mą wielbili krasę;
Lecz żadnego nie kochałam.
Za to po śmierci nie wiem, co się ze mną dzieje,
Nieznajomym ogniem pałam;
Choć sobie igram do woli,
Latam, gdzie wietrzyk zawieje,
Nic mię nie smuci, nic mię nie boli,
Jakie chcę, wyrabiam cuda.
Przędę sobie z tęczy rąbki,
Z przezroczystych łez poranku
Tworzę motylki, gołąbki.
Przecież nie wiem, skąd ta nuda:
Wyglądam kogoś za każdym szelestem,
Ach, i zawsze sama jestem!
Przykro mi, że bez ustanku
Wiatr mną jak piórkiem pomiata.
Nie wiem, czy jestem z tego, czy z tamtego świata.
Gdzie się przybliżam, zaraz wiatr oddali,
Pędzi w górę, w dół, z ukosa:
Tak pośród pierzchliwej fali
Wieczną przelatując drogę,

Ani wzbić się pod niebiosą,
Ani ziemi dotknąć nie mogę.

CHÓR

Tak pośród pierzchliwej fali
Przez wieczne lecąc bezdroże,
Ani wzbić się pod niebiosą,
Ani dotknąć ziemi nie może.

GUŚLARZ

Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga,
Czy o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko,
I owoce, i jagodki.
Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

DZIEWCZYNA

Nic mnie, nic mnie nie potrzeba!
Niechaj podbiegą młodzieńce,
Niech mię pochwycą za ręce,
Niechaj przyciągną do ziemi,
Niech poigram chwilkę z niemi.

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

CHÓR

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:

Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

GUŚLARZ

(do kilku wieśniaków)

Darmo bieżycie: to są marne cienie,
Darmo rączki ściąga biedna,
Wraz ją spędzi wiatru tchnienie.
Lecz nie płacz, piękna dziewico!
Oto przed moją żrzenicą
Odkryto przyszłe wyroki:
Jeszcze musisz sama jedna
Latać z wiatrem przez dwa roki,
A potem staniesz za niebieskim progiem.
Dziś modlitwa nic nie zjedna.
Lećże sobie z Panem Bogiem.
A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju?
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!

CHÓR

A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju?
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!

(Dziewica znika)

GUŚLARZ

Teraz wszystkie dusze razem,
Wszystkie i każdą z osobna,
Ostatnim wołam rozkazem!
Dla was ta biesiada drobna:
Garście maku, soczewicy
Rzucam w każdy róg kaplicy.

CHÓR

Bierzcie, czego której braknie,
Która pragnie, która łaknie.

GUŚLARZ

Czas odemknąć drzwi kaplicy.
Zapalcie lampy i świecy.
Przeszła północ, kogut pieje,
Skończona straszna ofiara,
Czas przypomnieć ojców dzieje.
Stójcie...

CHÓR

Cóż to?

GUŚLARZ

Jeszcze mara!

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

(do jednej z wieśniaczek)

Pasterko, ot tam w żałobie...
Wstań, bo czy mi się wydaje,
Czy ty usiadłaś na grobie?

Dziatki! patrzajcie, dla Boga!
Wszak to zapada podłoga
I blade widmo powstaje;
Zwraca stopy ku pasterce,
I stanęło tuż przy boku.
Zwraca lice ku pasterce,
Białe lice i obsłony,
Jako śnieg po nowym roku.
Wzrok dziki i zasępiony
Utopił całkiem w jej oku.
Patrzcie, ach, patrzcie na serce!
Jaka to pąsowa pręga,
Tak jakby pąsowa wstęga
Albo jak sznurkiem korale,
Od piersi aż do nóg sięga.
Co to jest, nie zgadnę wcale!
Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi pasterce.

CHÓR

Co to jest, nie zgadnię wcale.
Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi pasterce.

GUŚLARZ

Czego potrzebujesz, duchu młody?
Czy prosisz o chwałę nieba?
Czyli o święcone gody?
Jest dostatkiem mleka, chleba,
Są owoce i jagody.
Czego potrzebujesz, duchu młody,
Żeby się dostać do nieba?

(Widmo milczy)

CHÓR

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

Odpowiadaj, maro blada!
Cóż to, nic nie odpowiada?

CHÓR

Cóż to, nic nie odpowiada?

GUŚLARZ

Gdy gardzisz mszą i pierogiem,
Idźże sobie z Panem Bogiem;
A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałeś jadła, napoju?
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!

(Widmo stoi)

CHÓR

A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałeś jadła, napoju?
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!

GUŚLARZ

Przebóg! cóż to za szkarada?
Nie odchodzi i nie gada!

CHÓR

Nie odchodzi i nie gada!

GUŚLARZ

Duszo przeklęta czy błoga,
Opuszczaj święte obrzędy!
Oto roztwarta podłoga,
Kędy wszedłeś, wychodź tędy.
Bo cię przeklnę w imię Boga,

(po pauzie)

Precz stąd na lasy, na rzeki,
I zgiń, przepadnij na wieki!

(Widmo stoi)

Przebóg! cóż to za szkarada?
I milczy, i nie przepada!

CHÓR

I milczy, i nie przepada!

GUŚLARZ

Darmo proszę, darmo gromię,
On się przeklęctwa nie boi.
Dajcie kropidło z ołtarza...
Nie pomaga i kropidło!
Bo utrapione straszycło
Jak stanęło, tak i stoi,
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród cmentarza.

CHÓR

Bo utrapione straszycło
Jak stanęło, tak i stoi,
Niemo, głucho, nieruchomie,

Jak kamień pośród cmentarza.
Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ

To jest nad rozum człowieczy!
Pasterko! znasz tę osobę?
W tym są jakieś straszne rzeczy.
Po kim ty nosisz żalobę?
Wszak mąż i rodzina zdrowa?
Cóż to! nie mówisz i słowa?
Spójrz, odezwij się przecie!
Czyś ty martwa, moje dziecię?
Czegoż uśmiechasz się? czego?
Co w nim widzisz wesołego?

CHÓR

Czegoż uśmiechasz się? czego?
Co w nim widzisz wesołego?

GUŚLARZ

Daj mnie stulę i gromnicę,
Zapalę, jeszcze poświęcę...
Próżno palę, próżno święcę,
Nie znika przeklęta dusza.
Weźcie pasterkę pod rękę,
Wyprowadźcie za kaplicę.
Czegoż oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego?

CHÓR

Czegoż oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego?

GUŚLARZ

Przebóg, widmo kroku rusza!

Gdzie my z nią, on za nią wszędzie...

Co to będzie, co to będzie?

CHÓR

Gdzie my z nią, on za nią wszędzie.

Co to będzie, co to będzie?

DZIADY

CZEŚĆ IV

MIESZKANIE KSIĘDZA – STÓŁ NAKRYTY, TYLKO CO PO WIECZERZY – KSIĄDZ –
PUSTELNIK – DZIECI – DWIE ŚWIECE NA STOLE – LAMPA PRZED OBRAZEM
NAJŚWIĘTSZEJ PANNY MARYI – NA ŚCIANIE ZEGAR BIJĄCY

*Ich hob alle mürbe Leichenschleier auf, die in Särgen lagen – ich entfernte den erhabenen
Trost der Ergebung, bloss um mir immer fort zu sagen: „Ach, so war es ja nicht! – Tausend
Freuden sind auf ewig nachgeworfen in Gräfte und Du stehst allein hier und überrechnest
sie!” Dürftiger! Dürftiger! Schlage nicht das ganze zerrissene Buch der Vergangenheit auf!...
Bist Du noch nicht traurig genug?*

Jean Paul

*Zdjąłem wszystkie zmurszałe całuny leżące w trumnach; oddaliłem wzniosłą pociechę
rezygnacji, jedynie po to, by sobie wciąż mówić: „Ach, to tak nie było! Tysiąc radości
zrzucono na zawsze w doły grobowe, a ty stoisz tu sam i przeliczasz je”. Nienasycony!
Nienasycony! Nie otwieraj całkiem podartej księgi przeszłości!... Czyż nie dość jeszcze jesteś
smutny?*

KSIĄDZ

Dzieci, wstawajmy od stoła!
Teraz, po powszednim chlebie,
Klękajcie przy mnie dokoła,
Podziękujmy Ojcu w niebie.
Dzień dzisiejszy Kościół święci
Za tych spółchrześcijan dusze,
Którzy spomiędzy nas wzięci

Czyscowe cierpią katusze.

Za nich ofiarujmy Bogu.

(rozkłada książkę)

Oto stosowna nauka.

DZIECI

(czytają)

„Onego czasu...”

KSIĄDZ

Kto tam? kto tam stuka?

(Pustelnik wchodzi ubrany dziwacznie)

DZIECI

Jezus, Maryja!

KSIĄDZ

Któż to jest na progu?

(zmieszany)

Ktoś ty taki?... po co?... na co?

DZIECI

Ach, trup, trup! upiór, ładaco!

W imię Ojca!... zgiń, przepadaj!

KSIĄDZ

Ktoś ty, bracie? odpowiadaj.

PUSTELNIK

(powolnie i smutnie)

Trup... trup!... tak jest, moje dziecię.

DZIECI

Trup... trup... ach! ach! nie bierz tata!

PUSTELNIK

Umarły!... o nie! tylko umarły dla świata!

Jestem pustelnik, czy mnie rozumiecie?

KSIĄDZ

Skąd przychodzisz tak nierano?

Kto jesteś? jakie twoje imię?

Kiedy się tobie przypatruję z bliska,

Zdaje się, że cię kiedyś widziałem w tej stronie.

Powiedz, mój bracie, jakiegoś ty rodu?

PUSTELNIK

O tak! tak, byłem tutaj... o, dawno! za młodu!

Przed śmiercią!... będzie trzy lata!

Lecz co tobie do mego rodu i nazwiska?

Gdy dzwonią po umarłym, dziad stoi przy dzwonie,

Pytają ludzie, kto zeszedł ze świata.

(udając dziada)

„A na co ta ciekawość? zmów tylko pacierze”.

Otóż ja także umarły dla świata.

Na co tobie ciekawość, zmów tylko pacierze.

Nazwiska,

(patrzy na zegar)

jeszcze rano... powiedzieć nie mogę;

Idę z daleka; nie wiem, z piekła czyli z raju,

I dążę do tegoż kraju;

Mój Księżu, pokaż, jeśli wiesz, drogę!

KSIĄDZ

(łagodnie, z uśmiechem)

Dróg śmierci pokazywać nie chciałbym nikomu.

(poufale)

My, księża, tylko błędne prostujemy ścieżki.

PUSTELNIK

(z żalem)

Inni błędzą, Ksiądz w małym, ale własnym domu,

Czy to na wielkim świecie pokój lub zamieszki,

Czy gdzie naród upada, czy kochanek ginie,

O nic nie dbasz usiadłszy z dziećmi przy kominie.

A ja się męczę, w słotnej, ciemnej porze!

Słyszysz, jaki szturm na dworze?

Czy widzisz łyskanie gromu?

(ogląda się)

Błogosławione życie w małym, własnym domu!

(śpiewa)

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy,

I noc ma spokojną, i dzień nietęskliwy¹.

W cichym, własnym domu!

(śpiewa)

Z pałaców sterczących dumnie

Znijdź, piękna, do mojej chatki;

Znajdziesz u mnie świeże kwiatki,

Czułe serce znajdziesz u mnie.

¹ Pieśń gminna.

Widzisz ptasząt zalecanki,
Słyszysz srebrny szmer strumyka;
Dla kochanka i kochanki
Dosyć domku pustelnika².

KSIĄDZ

Kiedy tak chwalisz mój dóm i kominek,
Patrz, oto ogień służąca nakłada,
Siądź i pogrzej się; tobie potrzebny spoczynek.

PUSTELNIK

Pogrzej się! dobra, Księżu, arcyprzednia rada!

(śpiewa pokazując na piersi)

Nie wiesz, jaki tu żar płonie,
Mimo deszczu, mimo chłodu,
Zawsze płonie!
Nieraz chwytam śniegu, lodu,
Na gorącym cisnę łonie;
I śnieg tonie, i lód tonie,
Z piersi moich para bucha,
Ogień płonie!
Stopiłby kruszce i głązy,
Gorszy niż ten tysiąc razy,

(pokazując kominek)

Milion razy!
I śnieg tonie, i lód tonie,
Z piersi moich para bucha,
Ogień płonie!

² Z Szyllera.

KSIĄDZ

(na stronie)

Ja swoje, a on swoje; nie widzi, nie słucha.

(do Pustelnika)

Jednak do nitki przemoczony wszystek,
Zbladłeś, przeziąbłeś strasznie, drżysz jak listek.
Ktokolwiek jesteś, długą przejść musiałeś drogę.

PUSTELNIK

Kto jestem?... jeszcze rano... powiedzieć nie mogę.
Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju.
A dążę do tegoż kraju.
Tymczasem małą dam tobie przestrozę.

KSIĄDZ

(na stronie)

Trzeba z nim, widzę, innego sposobu.

PUSTELNIK

Pokaż... wszak dobrze wiesz do śmierci drogę?

KSIĄDZ

Dobrze, gotowem na wszelkie usługi,
Lecz od twojego wieku aż do grobu
Gościniec jest arcydługi.

PUSTELNIK

(z pomieszczeniem i smutnie sam do siebie)

Ach, tak prędko przebiegłem gościniec tak długi!

KSIĄDZ

Dlatego jesteś znużony i chory.
Posil się; wraz przyniosę jadło i napoje.

PUSTELNIK

(z obłąkaniem)

A potem pójdziem?

KSIĄDZ

(z uśmiechem)

Zróbmy na drogę przybory.

Czy dobrze?

PUSTELNIK

(z roztargnieniem i nieuwagą)

Dobrze.

KSIĄDZ

Chodźcie, dzieci moje!

Oto mamy w domu gościa;

Nim ja powrócę, bawcie jegomościa.

(odchodzi)

DZIECKO

(oglądając)

Czemu waspan tak jesteś dziwacznie ubrany?

Jak strach albo rozbójnik, co to mówią w bajce,

Z różnych kawałków sukmany,

Na skroniach trawa i liście,

Wytarte płótno, przy pięknej kitajce?

(postrzega sztylet, Pustelnik chowa)

Jaka to na sznurku blacha?

Różne paciorki, wstążek okrajce?

Cha cha cha cha!

Dalibóg, waspan wyglądasz na stracha!

Cha cha cha cha!

PUSTELNIK

(zrywa się i jakby przypomina się)

O dziatki, wy się ze mnie śmiać nie powinniście!

Słuchajcie, znałem pewną kobietę za młodu,

Tak jak ja nieszczęśliwą, z takiego powodu!

Miała takąż sukienkę i na głowie liście.

Gdy weszła do wsi, cała wieś nawałem,

Urągając się z jej biedy,

Pędzi, śmieje się, wykrzyka,

Podrzyżnia, palcem wytyka;

Ja się raz tylko, raz tylko zaśmiałem!

Kto wie, jeśli nie za to?... słuszne sądy Boże!

Lecz któż mógł przewidzieć wtedy,

Że ja podobną sukienkę włożę?

Ja byłem taki szczęśliwy!

(śpiewa)

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy,

I noc ma spokojną, i dzień nietęskliwy.

(Ksiądz przychodzi z winem i talerzem)

PUSTELNIK

(z wymuszoną wesołością)

Księżu, a lubisz ty smutne piosenki?

KSIĄDZ

Nasłuchałem się ich w życiu dosyć, Bogu dzięki!
Lecz nie traćmy nadziei, po smutkach wesele.

PUSTELNIK

(śpiewa)

A odjechać od niej nudno,
A przyjechać do niej trudno!³

Prosta piosenka, ale dobrą myśl zawiera!

KSIĄDZ

No! Potem o tym, teraz zajrzyjmy do misy.

PUSTELNIK

Prosta pieśń! o! w romansach znajdziesz lepszych wiele!

(z uśmiechem, biorąc książki z szafy)

Księżu, a znasz ty żywot Heloisy?
Znasz ogień i łzy Wertera?

(śpiewa)

Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem,
Chyba śmiercią bole się ukoją;
Jeślim płochym obraził zapalem,
Tę obrazę krwią okupię moją⁴.
(dobywa sztylet)

KSIĄDZ

(wstrzymuje)

Co to ma znaczyć?... szalony! czy można?
Odbierzcie mu żelazo, rozdejmijcie pięście.

³ Z pieśni gminnej.

⁴ Z Getego.

Jesteś ty chrześcijanin? taka myśl bezbożna!

Znasz ty Ewangelię?

PUSTELNIK

A znasz ty nieszczęście?

(chowa sztylet)

Ale dobrze! nie trzeba chwycić się przed porą,

(patrzy na zegar)

Skazówka na dziewiątej i trzy świece gorą!

(śpiewa)

Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem,

Chyba śmiercią bole się ukoją;

Jeśli płochym obraził zapalem,

Tę obrazę krwią okupię moją.

Za coś dla mnie tyle ulubiona?

Za com z twoim spotkał się wejrzeniem?

Jedną wybrał z tylu dziewcząt grona,

I ta cudzym przykuta pierścieniem!

Ach, jeśli ty Getego znasz w oryginale,

Gdyby przy tym jej głos i dźwięk fortepianu!

Ale cóż? ty o Boskiej tylko myślisz chwale,

Oddany twego tylko powinnościom stanu.

(przerzucając książkę)

Wszakże lubisz książki świeckie?...

Ach, te to, książki zbojeckie!

(ciska książkę)

Młodości mojej niebo i tortury!

One zwichnęły osadę mych skrzydeł

I wyłamały do góry,
Że już nie mogłem nad dół skrócić lotu.

Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,
Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,
Gardzący istotami powszedniej natury,
Szukałem, ach! szukałem tej boskiej kochanki,
Której na podłonecznym nie bywało świetle,
Którą tylko na falach wyobraźnej pianki
Wydęło tchnienie zapachu,
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie.
Lecz gdy w czasach tych zimnych nie ma ideału,
Przez teraźniejszość w złote odleciałem wieki,
Bujałem po zmyślonym od poetów niebie,
Goniąc i błędząc, w błędach nieznudzony goniec;
Wreszcie, na próżno zbiegłszy kraj daleki,
Spadam i już się rzucam w brudne uciech rzeki:
Nim rzucę się, raz jeszcze spojrzę koło siebie!
I znalazłem ją na koniec!
Znalazłem ją blisko siebie,
Znalazłem ją!... ażebym utracił na wieki!

KSIĄDZ

Podzielam twoją boleść, nieszczęśliwy bracie!
Lecz może jest nadzieja? są różne sposoby.
Słuchaj, czy już od dawna doświadczasz choroby?

PUSTELNIK

Choroby?

KSIĄDZ

Czy już dawno płaczesz po twojej stracie?

PUSTELNIK

Jak dawno? dałem słowo, powiedzieć nie mogę:

Kto inny powie tobie. Mam ja towarzysza,
Zawždy z nim razem odbywamy drogę!

(ogląda się)

Ach, tu tak ciepło, wygodna zacisza;
A na podworzu wichur, gromy, burza sroga!
Mój towarzysz zapewne biedny drży u proga!
Gdy nas razem wyroki nielitośne pędzą,
Dobry Księżu, i jego przyjmij na gospodę.

KSIĄDZ

Nigdy nie zamykałem drzwi moich przed nędzą.

PUSTELNIK

Ale stój, stój, mój bracie, ja sam go przywiodę.

(odchodzi)

DZIECIĘ

Cha cha cha! tato, co się jemu dzieje?
Biega i gada ani to, ni owo.
Jakie dziwaczne ubiory!

KSIĄDZ

Dzieci, będzie ten płakał, kto się z płaczu śmieje!
Nie śmiejcie się! to człowiek bardzo biedny, chory.

DZIECI

Chory? a on tak biega, wygląda tak zdrowo!

KSIĄDZ

Zdrów na twarzy, lecz w sercu głębokie ma rany.

PUSTELNIK

(ciągnąc gałąź jedliny)

Chodź, bracie, chodź tu!...

KSIĄDZ

(do Dzieci)

On ma rozum pomieszany.

PUSTELNIK

(do jodły)

Chodź, bracie, nie lękaj się dobrego księżyny.

DZIECI

Tato! ach, patrzaj, co on w ręku niesie:

Jak zbójca z wielką gałęzią jedliny.

PUSTELNIK

(do Księdza, ukazując gałąź)

Pustelnik przyjaciela znajdzie chyba w lesie!

Może cię zdziwia jego postać?

KSIĄDZ

Czyja?

PUSTELNIK

Mojego przyjaciela.

KSIĄDZ

Jako? tego kija?

PUSTELNIK

Niezgrabny, jak mówiłem, wychowany w lesie.

Przywitaj się!

(podnosi gałąź)

DZIECI

Co robisz? co robisz? ach, zbójca!

Pójdźże precz, rozbojniku, nie zabij nam ojca!

PUSTELNIK

O, prawda, moje dziatki, jest to wielki zbójca!

Ale on tylko sam siebie rozbija!

KSIĄDZ

Upamiętaj się, bracie; do czego ta jodła?

PUSTELNIK

Jodła? a, Ksiądz uczony! o głowo ty, głowo!

Przypatrz się lepiej, poznaj gałąź cyprysową;

To pamiątki rozstania, mego losu godła.

(bierze książki)

Weź księgę i odczytaj dzieje zeszłych wieków:

Dwie były poświęcone krzewiny u Greków.

Kto kochał, od swej lubej ukochany wzajem,

Błogie włosy mirtowym przyozdabiał majem.

(po pauzie)

Jej ręką ułamana gałąź cyprysowa

Zawsze mi przypomina ostatnie „bądź zdrowa!”

Przyjąłem ją, schowałem, dotąd wiernie służy!

Nieczuła, lepsza od tych niby czułych ludzi.

Jej płacz mój nie rozśmiesza i skarga nie nudzi;

Jedna mi pozostała, z przyjaciół tak wielu!

Wszystkie tajniki serca mojego posiada;

Jeśli chcesz o mnie wiedzieć, pytaj, przyjacielu,

Zostawię was sam na sam, niech resztę wygada.

(do gałęzi)

Powiedz, jak dawno płaczę lubej straty.
Dawno to być musiało! przed dawnymi laty!
Pamiętam, kiedy cyprys przyjąłem z jej ręki,
Był to listeczek taki, ot taki maleńki;
Zaniosłem, posadziłem na piasku, daleko...
I gorącą łez moich polewałem rzeką.
Patrz, jaka z liścia gałązka urosła,
Jaka gęsta i wyniosła!
Kiedy mię boleść ostatnia dotłoczy,
Nie chcąc na zagniewane poglądać niebiosą,
Okryłem mój grobowiec cieniem tych warkoczy.

(z łagodnym uśmiechem)

Ach, taki właśnie był kolor jej włosów
Jak te cyprysu gałązki!
Chcesz? pokażę.

(szuka i ciągnie od piersi)

Nie mogę odpiąć tej zawiązki.

(coraz z większym sileniem się)

Zawiązka miękka... z warkocza dziewicy...
Lecz skorom tylko położył na łonie,
Opasała mię wkoło na kształt włosiennicy;
Pierś przejada... w ciało tonie!...
Tonie, tonie, i wkrótce przetnie mi oddechy!
Wiele cierpię! ach! bo też wielkie moje grzechy!

KSIĄDZ

Uspokój się, uspokój! przyjm słowo pociechy!
Ach, tak okropne bole, moje dziecię,

Za twe na ziemi jakieżkolwiek grzechy
Przyjmie w rachunku Bóg na tamtym świecie!

PUSTELNIK

Grzechy? i proszę, jakież moje grzechy?
Czyliż niewinna miłość wiecznej godna męki?
Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył wdzięki.
On dusze obie łańcuchem uroku
Powiązał na wieki z sobą!
Wprzód, nim je wyjął ze światłości stoku,
Nim je stworzył i okrył cielesną żałobą,
Wprzód je powiązał z sobą!
Teraz, kiedy złych ludzi odłącza nas ręka,
Rozciąga się ten łańcuch, ale się nie spęka!
Czucia nasze dzielącej uległe przeszkodzie,
Chociaż nigdy nie mogą napotkać się z bliska,
Przecież zawsze po jednym biegają obwodzie,
Łańcuchem od jednego skreślone ogniska.

KSIĄDZ

Jeżeli Pan Bóg złączył, ludzie nie rozłączą!
Może się troski wasze pomyślnie zakończą.

PUSTELNIK

Chyba tam! gdy nad podłym wzbijemy się ciałem,
Złączy się znowu jedność, dusza z duszą zleje;
Bo tutaj wszelkie dla nas umarły nadzieje,
Tutaj ja się z mą lubą na wieki rozstałem!

(po pauzie)

Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi.
Pamiętam, wśród jesieni... przy wieczornym chłodzie;
Jutro miałem wyjechać... błędę po ogrodzie!
W rozmyślaniu, w modlitwach szukałem tej zbroi,
Którą bym odział serce, miękkie z przyrodzenia,

I wytrzymał ostatni pocisk jej spojrzenia!
Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.
Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwszej wylały się deszcze,
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą.
Doliny mgła odziewa jakby morze śniegu;
Z tej strony chmura gruba napędzała lawy,
A z tamtej strony księżyc przezierał bladawy,
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu.
Spójrzę... jak raz nade mną świeci gwiazdka wschodnia;
O, znam ją odtąd dobrze, witamy się co dnia!
Spójrzę na dół... na szpaler... patrz, tam przy altanie,
Ujrzałem ją niespodzianie!
Suknią między ciemnymi bielejąca drzewy
Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie;
Potem biegła, jak lekkie zefiru powiewy,
Oczy zwrócone w ziemię... nie spojrzała ku mnie!
A lica jej bardzo blade.
Nachylałem się, zajrzę z boku,
I dojrzałem łezkę w oku;
„Jutro, rzekłem, jutro jadę!”
„Bądź zdrow!” odpowie z cicha: ledwie posłyszałem,
„Zapomnij!”... Ja zapomnę? o! rozkazać snadno!
Rozkaż, luba, twym cienióm, niechaj wraz przepadną
I niech zapomną biegać za twym ciałem!...
Rozkazać snadno!
Zapomnij!

(śpiewa)

Przestań płakać, przestań szlochać,
Idźmy każdy w swoją drogę,
Ja cię wiecznie będę...

(urywa śpiewanie)

wspominać,
(*kiwa głową*)
(*śpiewa*)

Ale twoją być nie mogę!

Wspominać tylko?... jutro, jutro jadę!
Chwytam za rączki i na piersi kładę.

(*śpiewa*)
Najpiękniejsza, jak aniołek raju,
Najpiękniejsza ze wszystkich dziewica,
Wzrok niebieski, jako słońce w maju,
Odstrzelone od modrych wód lica.

Pocałunek jej, ach, nektar boski!
Jako płomień chwyta się z płomieniem,
Jak dwóch lutni zlewają się głoski
Harmonijnym ożenione brzmieniem.

Serce z sercem zbiega, zlatuje się, ściska,
Lica, usta łączą się, drżą, palą,
Dusza wionie w duszę... niebo, ziemia pryska
Roztopioną dokoła nas falą⁵!

Księżu! o nie! ty tego nie czujesz obrazu!
Ty cukrowych ust lubej nie tknąłeś ni razu!
Niech ludzie świeccy bluźnią, szaleją młokosy,
Serce twe skamieniało na natury głosy.
O! luba, zginąłem w niebie,
Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!

⁵ Z Szyllera.

(śpiewa)

Pocałunek jej, ach, nektar boski!
Jako płomień chwyta się z płomieniem,
Jak dwóch lutni zlewają się głoski
Harmonijnym ożenione brzmieniem.

(Chwyta Dziecię i chce pocałować; Dziecię ucieka)

KSIĄDZ

Czegoż boisz się sobie równego człowieka?

PUSTELNIK

Przed nieszczęśliwym, ach, wszystko ucieka,
Jakby przed strasydłem z piekła!
Ach, tak! i ona przede mną uciekła!
„...Bądź zdrow!”... i w długiej ulicy
Niknie na kształt błyskawicy.

(do Dzieci)

I czegoż ona przede mną uciekła?
Czyli ją śmiałym przeraził wejrzeniem?
Czyli słówkiem lub skinieniem?
Muszę przypomnieć!

(przypomina)

Tak się w głowie kręci!...
Nie! nie! ja wszystko widzę jak na dłoni,
Nie zgubiłem żadnego wyrazu z pamięci;
Dwa tylko słowa powiedziałem do niej.

(z żalem)

Księżu, dwa tylko słowa!
„Jutro! bądź zdrowa!”

„Bądź zdrow!”... Gałązkę odrywa, podaje...

„Oto jest, rzekła, co nam tu

(na ziemię pokazuje)

zostaje!

Bądź zdrow!” – i w długiej ulicy

Niknie na kształt błyskawicy!

KSIĄDZ

Młodzieńcze, ja głęboko czuję, co cię boli!

Lecz słuchaj, są tysiące biedniejszych od ciebie.

Ja sam już nie na jednym płakałem pogrzebie.

Po ojcu i po matce już mówię pacierze,

Dwoje małych dzieciątek aniołkami w niebie;

Ach, i moja współniczka szczęścia i niedoli,

Małżonka moja, którą kochałem tak szczerze!...

Ale cóż robić? Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze!

Niechaj się dzieje według Jego świętej woli!

PUSTELNIK

(mocno)

Żona?

KSIĄDZ

Ach, to wspomnienie serce mi rozdarło!

PUSTELNIK

Jak to? gdzie się obróć, wszyscy płaczą żony!

Lecz ja nie winien, twojej nie widziałem żony!

(sposstrzega się)

Słuchaj! przyjmij pociechę, małżonku strapiony,

Żona twoja przed śmiercią już była umarłą!

KSIĄDZ

Jak to?

PUSTELNIK

(mocniej)

Gdy na dziewczynę zawołają: żono!

Już ją żywcem pogrzebiono!

Wyrzeka się przyjaciół, ojca, matki, brata,

Nawet... słowem, całego wyrzeka się świata,

Skoro stanęła na cudzym progu!

KSIĄDZ

Chociaż wyznania twoje mgła żalu pokrywa,

Wszakże ta, której płaczesz, jest podobno żywa?

PUSTELNIK

(z ironią)

Żywa? właśnie jest za co podziękować Bogu!

Żywa? jako? nie wierzysz! cóż się tobie zdaje?

Poprzysięgnę, uklęknę, palce na krzyż złożę,

Ona umarła i ożyć nie może!...

(po pauzie z wolna)

Ależ bo różne są śmierci rodzaje:

Jedna śmierć jest pospolita.

Śmiercią tą starzec, kobieta,

Dziecię, mąż, słowem, tysiące

Ludzi umiera co chwila;

I taką śmiercią Maryla,

Którą widziałem na łące.

(śpiewa)

Tam u Niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi,
Jaki to sterczy kurhanek?
Spodem uwieńczon jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi...

(przestaje śpiewać)

Ach, i to jest widok srogi,
Kiedy piękność w życia kwiecie,
Ledwie wschodząca na świecie,
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem!
Patrz, patrz, blada na pościeli,
Jak na obłoczkach mglisty poranek!
Z płaczem dokoła stanęli:
I smutny ksiądz u łóżka,
I smutniejsza czeladka,
I smutniejsza od niej družka,
I smutniejsza od nich matka,
I najsmutniejszy kochanek.
Patrz, uchodzi z lica krasa,
Wzrok zapada i zagasa,
Ale jeszcze, jeszcze świeci;
Usta, gdzie się róża kwieci,
Więdną, gubią blask szkarłatu,
I jak z piwoniji kwiatu
Wycięty wąski listeczek,
Taka siność jej usteczek.
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma,
Głowa opada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka,
Ręce stygną, a serduszko

Bije z cicha, bije z rzadka,
Już stanęło, już jej nie ma;
Oko to, niegdyś podobne słońcu...
Czy widzisz, Księżu, pierścienie?
Smutna pamiątka została!
Jak w pierścionku
Brylant pała,
Takie jaśniały w oczach płomienie.
Lecz iskra duszy już się nie pali!
Błyszczą one jak rdzeni spróchniałej świećka,
Jak na gałązkach wody perełka,
Kiedy ją wicher skryształili.
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma,
Głowa opada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka,
Ręce stygną, a serduszko
Bije z cicha, bije z rzadka.
Już stanęło... już jej nie ma!

DZIECIĘ

Umarła! ach, jaka szkoda!
Słuchając płakałem szczerze.
Czy to znajoma twoja, czy siostrzyczka młoda?
Ale nie płacz, niechaj jej wieczny pokój świeci,
Będziemy za nią co dzień mówili pacierze.

PUSTELNIK

To jedna śmierć, moje dzieci;
Ale jest straszniejsza druga,
Bo nie umarza od razu,
Powolna, bolesna, długa:
Śmierć ta dwie społem osoby ugodzi,
Lecz moje tylko zabija nadzieje,

Drugiej bynajmniej nie szkodzi.
Ona żyje, ona chodzi,
Kilka drobnych łez wyleje,
Potem w niej czucie rdzawieje,
I została na kształt głazu.
Ach, dwie osoby uderza od razu!
Lecz moje tylko zabiła nadzieje,
A jej bynajmniej nie szkodzi!
Kwitnie życiem, kwitnie zdrowiem.
Taką śmiercią umarła... kto? o nie... nie powiem!
Nieprawdaż, dzieci? straszniejsza daleko,
Gdy trup z rozwartą, ot tak, powieką.

(Dzieci uciekają)

Jednak umarła!... kiedy płaczę, ręce łamię,
Zbiegli się ludzie dokoła,
Wyciągają długie szyje,
Jeden mówi, że ja kłamię,
Drugi potrąca i woła:
„Patrz, szaleńcze, ona żyje!”

(do Księdza)

Nie wierz, choćby ci szyderce
Po tysiąc razy mówili;
Słuchaj, co mówi to serce:
Nie masz, nie masz Maryli!

(po pauzie)

Jeszcze rodzaj śmierci trzeci:
Śmierć wieczna, jak Pismo mówi.
Biada, biada człowiekowi,
Którego ta śmierć zabierze!
Tą śmiercią może ja umrę, dzieci;
Ciężkie, ciężkie moje grzechy!

KSIĄDZ

Przeciwko światu i przeciwko sobie
Cięższe twoje, niżeli przeciw Bogu, grzechy.
Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy,
Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi.
Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza probie,
Zapomnij o swym proszku, zważ na ogrom świata.
Ta myśl wielka pomniejsze zapaly przystudzi.
Sługa Boży pracuje do późnego lata,
Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie,
Nim go Pan trąbą straszliwą przebudzi.

PUSTELNIK

(zdziwiony)

Księżu! a to są czary? sztuka niepojęta!

(na stronie)

Musi posiadać czarodziejskie sztuki,
Albo też nas podsłuchał i wszystko pamięta

(do Księdza)

Wszak ja od niej słyszałem też same nauki!
Cała rzecz słowo w słowo jak z ust jej wyjęta,
Przy owym pożegnaniu, owego wieczora.

(z ironią)

Właśnie, właśnie to była do kazania pora!
Słyszałem od niej słówek pięknobrzmiących wiele:
„Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele!”
Lecz teraz groch ten całkiem od ściany odpada,
Ja sobie spokojnie drzemię.
Kiedyś duch mój przy wieszczym zapalał się rymie,
Kiedyś budził mię ze snu tryumf Milcyjada.

(śpiewa)

Młodości, ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Już tchnienie jej rozwiało te kształty olbrzymie!
Został się lekki cienik, mara blada,
Drobnouchne żdźbła odłamki
Które lada motyl spasa,
Które by ona mogła wciągnąć z odetchnieniem;
A ona chce budować na tym proszku zamki!
Zrobiwszy mnie komarem, chce zmienić w Atlasa
Dźwigającego nieba kamiennym ramieniem.
Na próżno! jedna tylko iskra jest w człowieku,
Raz tylko w młodocianym zapala się wieku.
Czasem ją oddech Minerwy roznieci,
Wtenczas nad ciemne plemiona
Powstaje mędrzec, i gwiazda Platona
W długie wieki wieków świeci.
Iskrę tę jeśli duma rozżarzy w pochodnie,
Wtenczas zagrzmi bohater, pnie się do szkarłatu
Przez wielkie cnoty i przez większe zbrodnie,
I z pastuszego kija robi berło świata
Albo skinieniem oka stare trony wali.

(po pauzie, z wolna)

Czasem tę iskrę oko niebianki zapali,
Wtenczas trawi się w sobie, świeci sama sobie
Jako lampa w rzymskim grobie.

KSIĄDZ

O nieszczęśliwy zapaleńcze młody!
W żalach, które tak mocno zraniona pierś jęka,
Że nie jesteś zbrodniarzem, odkrywam dowody;

I że piękność, za którą twój się rozum błąka,
Nie z samej tylko powabna urody.
Jak z zapalem kochałeś, tak naśladowaj godnie
Myślenia i uczucia niebieskiej istoty.
Zbrodniarz ją kochający wróciłby do cnoty,
A ty, niby cnotliwy, puszczasz się na zbrodnię!
Jakakolwiek przeszkoda tutaj was rozdzieli:
Idą ku sobie gwiazdy, choć je mgły zaciemnia,
Mgła zniknie, gwiazda z gwiazdą na wieki się spoi,
Łańcuchy tu wiążące prysną razem z ziemią,
A tam nad ziemią znowu poznają się swoi,
I namiętność, choć zbytnią, Pan Bóg wam przebaczy.

PUSTELNIK

Jako? ty wiesz o wszystkim? co to wszystko znaczy?

(udaje głos Księdza)

Jej serce równie święte, jak powabne lice!...
Łańcuch, który tu wiąże, nad ziemią opadnie!...

Ty wiesz o wszystkim, ty nas podsłuchałeś zdradnie,
Wyłudziłeś tajemnicę
Ukrywaną w sercu na dnie,
O której przyjaciele nie wiedzą najszczerzej.
Bo jedną rękę na cyprysu drzewie,
A drugą kładąc na piersi,
Zaprzysięgliśmy milczeć, i nikt o tym nie wie.

Ale tak, przypominam... tak, jednego razu,
Kiedy przez czarodziejski pędzla wynalazek
Odkradzione jej wdzięki przeniosłem w obrazek,
Przyjaciółom okazać chciałem cud obrazu.
Lecz to, co mnie unosi, ich nawet nie ruszy,
Czułość dla nich zabawą, która nam potrzeba;

Nie mają oka duszy, nie przejrzą do duszy!
Zimnym cyrklem chcą mierzyć piękności zalety!
Jak wilk lub jak astronom patrzą na niebo.
Inny jest wzrok pasterza, kochanka, poety.

Ach! ja tak ją na martwym ubóstwiam obrazku,
Że nie śmiem licem skazić jej bezbronnych ustek,
I gdy dobranoc daję przy księżyca blasku
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,
Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,
Nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię.
A moi przyjaciele!... żałuję pośpiechu!..
Jeden, gdy ubóstwienie w oku moim czyta,
Ledwie zgryzioną wargą nie upuścił śmiechu,
I rzekł ziewając: „at sobie kobiéta!”
Drugi przydał: „jesteś dziecko!”...
Ach, ten to starzec z swoim przeklętym rozumem
Pewnie wydał nas zdradziecko!

(coraz z większym pomieszaniem)

Opowiedział na rynku, przed dziećmi, przed tłumem;
A ktoś z tych dziątek, albo z gawiedzi
Przyszedł i księdzu wyznał na spowiedzi...

(z największym obłąkaniem)

Możesz ty mnie podstępnie badał na spowiedzi?

KSIĄDZ

I na cóż nam te zdrady, spowiedź i podstępny?
Chociaż się dziwnym kłębkim twoja żałość gmatwa,
Lecz czyj wzrok na bieg czucia nie jest całkiem tępy,
Temu do wywikłania tajemnica łatwa.

PUSTELNIK

Prawda! lecz to są ludzkiej własności narowy,

Że, co dzień cały w sercu tkwi boleśnie,
Na noc przechodzi do głowy;
Wtenczas człowiek sam nie wie, co rozplecie we śnie.
Dawno, dawno!... raz miałem przypadek ten samy.
Po pierwszym z nią widzeniu wróciwszy do domu
Poszedłem spać, ni słówka nie mówiąc nikomu.
Nazajutrz, gdy dzieńdobry przyniosłem dla mamy:
„Co to jest, mówi do mnie, żeś taki pobożny?
Modlisz się przez noc całą, wzdychasz nieustannie
I litaniją mówisz o Najświętszej Pannie”.
Zrozumiałem i na noc zamknąłem podwoje,
Ale teraz nie mogę być równie ostrożny:
Nie mam domu; gdzie przyjdę, tam posłanie moje,
A często przez sen gadam... w myślach jak na fali!
Ustawna burza, zawieja,
Błyśnie i zmierzchnie,
Mnóstwo się zarysów skleja,
W jakieś tworzydło ocali,
I znowu pierzchnie.
Jeden tylko obrazek na zawsze wryty,
Czy rzucam się na piasek i patrzę w głąb ziemną,
Błyszczący jak księżyc w wodzie odbity:
Nie mogę dostać, lecz błyszczący przede mną;
Czyli wzrokiem od ziemi strzelę na błękity,
Za moim wzrokiem dokoła
Płynie i postać anioła
Aż na górne nieba szczyty.
Potem jak orlik na żaglach pierza

(patrząc w górę)

Stanie w chmurze i z wysoka,
Nim sam upadnie na zwierza,
Już go zabił strzałą oka;
Nie wzrusza się i z lekka w jednym miejscu chwieje,

Jakby uplątany w sidło
Albo do nieba przybity za skrzydło:
Tak właśnie ona nade mną jaśniej!

(śpiewa)

Czyli słońce światu płonie,
Czy noc wciąga szatę ciemną;
Jej wyglądam, za nią gonię,
Zawsze przy mnie, lecz nie ze mną!

Otóż, gdy ona stanie przed moimi oczyma,
A sam jestem na polu albo w gajów cieniu,
Na próżno każę milczeć, język nie dotrzyma,
Przemówię do niej słówko, nazwę po imieniu,
A zły człowiek podsłucha. Tak właśnie dziś rano
Zdradliwie mię podsłuchano.
Ranek był... wraz opiszę. Pamiętam dziś jeszcze,
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze,
W dolinach tuman na kształt proszącego śniegu,
A na łąkach zaranna połyska się rosa,
Gwiazdy w błękit tonęły po nocnym obiegu:
Jedna tylko nade mną świeci gwiazdka wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia.
Tam przy altanie

(sposstrzega się)

cha! cha!... pobiegłem z ukosa...

To nie o tym poranku! ha! szal romansowy!
Przeklęty zawrocie głowy!...

(po pauzie przypomina)

Był ranek; kiedy dumam, narzekam i jęczę,

Deszcz lał jak z wiadra, tęgi wicher dmuchał,
U tuliłem głowę w krzaczek...

(z łagodnym uśmiechem)

Ten ladaco mię podsłuchał...
Lecz nie wiem, czy tylko jęki,
Czy nawet imię podsłuchał;
Bo bardzo blisko był krzaczek.

KSIĄDZ

O biedny, biedny młodzieńcze!
Co mówisz? kto cię podsłuchał?

PUSTELNIK

(poważnie)

Kto? oto pewny robaczek maleńki
Który pęztał tuż przy głowie,
Świętojański to robaczek.
Ach, jakie ludzkie stworzenie!
Przypęztnął do mnie i powie
(Zapewne mię chciał pocieszyć):
„Biedny człowieku, po co to jęczenie?
Ej, dosyć rozpaczą grzeszyć!
Kto temu winien, że piękna dziewczyna,
Żeś czuł? nie twoja wina.
Patrz, mówił dalej robaczek,
Na iskrę, co ze mnie strzela
I cały objaśnia krzaczek.
Zrazu szukałem z niej chluby,
Teraz widzę, że będzie przyczyną mej zguby
I zwabi nieprzyjaciela.
Iluż to braci moich złe jaszczurki spasyły!
Kląłem więc ozdobę własną,
Która na mnie śmierć sprowadza,

Chcę, żeby te iskry zgasły;
Ale cóż robić? nie moja w tym władza.
I póki żyję, te iskry nie zgasną”.

(po pauzie, pokazując na serce)

Tak, póki żyję, te iskry nie zgasną!

DZIECI

A posłuchajcie... a jaki cud, jaki!
Tato, słyszałeś o cudzie?

(Ksiądz odchodzi ściskając ramionami)

Czy można, żeby robaki
Rozmawiały tak jak ludzie?

PUSTELNIK

Czemuż nie? chodź tu, malcze, pod kantorek,
Nachyl się i przyłóż uszko;
Tu biedna duszka prosi o troje paciorek.
Aha, słyszysz, jak kołata?

DZIECKO

Tak tak, tak tak, tata, tata.
A dalibógże kołata,
Jak zegarek pod poduszką.
Co to jest? tata, tek, ta tek!

PUSTELNIK

Mały robaczek, kołatek,
A niegdyś wielki lichwiarz!

(do kołatka)

Czego żądasz, duszko?

(udaje głos)

„Proszę o troje paciorek”.

A tuś mi, panie sknero! znałem się z tym dziadem,

Był moim bliskim sąsiadem;

Zakopawszy się do złota,

Zawaliwszy chatę drągiem,

Nie dbał, że w progu jęczy wdowa i sierota,

Nikogo nie obdarzył chlebem ni szelągim.

Za życia dusza jego przy pieniądzy worku

Leżała na dnie w kantorku.

Za to i teraz po śmierci,

Nim słuszną karę odbierze w piekle,

Słyszycie, jak gryzie wściekle,

Jak świdruje i jak wierci.

Przecież, jeśli łaska czyja,

Mówcie trzy Zdrowaś Maryja.

(Ksiądz wchodzi ze szklanką wody)

PUSTELNIK

(coraz mocniej pomieszany)

A co, słyszałeś pisk złego ducha?

KSIĄDZ

Przebóg, co się tobie plecie?

(ogląda się)

Nic nie ma, wszędzie noc głucha!

PUSTELNIK

Nadstaw tylko lepiej ucha.

(do Dziecięcia)

Chodź tu, chodź tu, moje dziecię!

Czy słyszałeś?

DZIECIĘ

Prawda, tato,

Coś tam gada.

PUSTELNIK

Cóż ty na to?

KSIĄDZ

Pójdźcie spać, dzieci, co się wam marzy,

Nic ani szasnie, cicho wokoło.

PUSTELNIK

(do Dzieci z uśmiechem)

Nie dziw, głosu natury nie dosłyszają starzy!

KSIĄDZ

Mój bracie, weź wody w dłonie

I zmyj trochę twoje czoło,

Może ten zapach gwałtowny ochłonie.

PUSTELNIK

(bierze i myje, tymczasem zegar zaczyna bić; po kilku uderzeniach Pustelnik upuszcza wodę i patrzy nieporuszony poważnie i ponuro)

Oto dziesiąta wybija

(kur pieje)

I kur pierwsze daje hasło:

Czas ucieka, życie mija

(świeca jedna na stoliku gaśnie)

I pierwsze światło zagaśło.

Jeszcze, jeszcze dwie godziny,

(zaczyna drżeć)

Jak mnie zimno!

(Ksiądz tymczasem patrzy zdziwiony nieco na świecę)

Wiatr zimny świszcząc przez szczeliny:

Jak tu zimno!

(idzie do pieca)

Gdzież jestem?

KSIĄDZ

W przyjaciela domu.

PUSTELNIK

(przytomniej)

Pewnie cię nastraszyłem o niezwyklej porze,
Do nieznanego miejsca, w dziwacznym ubiorze?
Musiałem wiele gadać? ach, nie mów nikomu!
Jestem biedny podróżny, z dalekich stron jadę.

(ogląda się i przytomniej)

W młodości jeszcze, na środku gościńca,
Napadł, odarł mię całkiem

(z uśmiechem)

skrzydlaty złoczyńca.

Nie mam sukien; co znajdę, to na siebie kładę.

(obrywa liście i szaty poprawia; z żalem)

Ach, odarł mię, odebrał wszystkie skarby świata;
Została przy mnie jedna niewinności szata!

KSIĄDZ

(który ciągle patrzył na świecę, do Pustelnika)

Uspokój się, dla Boga!

(do Dzieci)

Kto to zgasił świecę?

PUSTELNIK

Każdy cud chcesz tłumaczyć; biegaj do rozumu...
Lecz natura, jak człowiek, ma swe tajemnice,
Które nie tylko chowa przed oczyma tłumu,

(z zapalem)

Ale żadnemu księdzu i mędrcom nie wyzna!

KSIĄDZ

(bierze za rękę)

Synu mój!

PUSTELNIK

(poruszony i zdziwiony)

Synu! Głos ten jakby blaskiem gromu

Rozum mój z mroczącego wydobywa cienia!

(wpatruje się)

Tak, poznaję, gdzie jestem, w czyim jestem domu.

Tak, tyś mój drugi ojciec, to moja ojczyzna!

Poznaję luby domek! jak się wszystko zmienia!

Dziatki urosły, ciebie przyprósza siwizna!

KSIĄDZ

(pomieszany bierze świecę, wpatruje się)

Jak to? znasz mię? to on!... nie... tak... nie, być nie może!

PUSTELNIK

Gustaw.

KSIĄDZ

Gustaw! ty Gustaw?

(ściska)

Gustaw! wielki Boże!

Uczeń mój! syn mój!

GUSTAW

(ściska, patrząc na zegar)

Ojcze, jeszcze ścisnąć mogę!

Bo potem... wkrótce... zaraz pójdę w kraj daleki!

Ach, i ty będziesz musiał wybrać się w tę drogę,

Uściśniemy się wtenczas, ale już na wieki!

KSIĄDZ

Gustaw! skąd? kędyś? przebóg! tak długa wędrówka?

Gdzieś ty bywał dotychczas, przyjacielu młody?

Nie wiedzieć kędyś zniknął, jakbyś wpadł do wody,

Litery nie napisać, nie nakazać słówka?

Wszak to lat tyle!... Gustaw! cóż się z tobą dzieje?

Ty niegdyś w mojej szkole ozdoba młodzieży,

Na tobie najpiękniejszym zakładał nadzieje;
Czy można tak się zgubić? w jakiejże odzieży?

GUSTAW

(z gniewem)

Starcze! a gdy ja zacznę oskarżać nawzajem,
Przeklinać twe nauki, na sam widok zgrzytać?
Ty mnie zabiłeś! ty mnie nauczyłeś czytać!
W pięknych księgach i pięknym przyrodzeniu czytać!
Ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś

(z żalem i uśmiechem)

i rajem!

(mocnej i ze wzgardą)

A to jest tylko ziemia!

KSIĄDZ

Co słyszę? o Chryste!

Ja ciebie chciałem zgubić? mam sumienie czyste!
Kochałem cię jak syna!

GUSTAW

I dlatego właśnie

Daruję ci!

KSIĄDZ

Ach! o nic nie prosiłem Boga,

Jak abym cię raz jeszcze na życiu obaczył!

GUSTAW

(uściska)

Uściśnijmy się jeszcze,

(patrzy na świecę)

nim druga zgaśnie.

Pan Bóg do twojej prośby przychylić się raczył.

Lecz już późno,

(patrzy na zegar)

a długa do przebycia droga!

KSIĄDZ

Chociaż mocno ciekawy słyszeć twe przygody,

Lecz teraz potrzebujesz spoczynku i czasu.

Jutro...

GUSTAW

Dziękuję, przyjąć nie mogę gospody,

Bo już mi na zapłatę nie staje zapasu.

KSIĄDZ

Jak to?

GUSTAW

O! tak! przekłęci, którzy nic nie płacą!

Za wszystko trzeba płacić: lub wzajemną pracę,

Albo wdzięcznym uczuciem, datkiem jednej łezki,

Za którą znowu Ojciec odpłaci niebieski.

Ale ja przebłądziwszy te kraje pamiątek,

Gdzie tyle łez zabiera każdy znany kątek,

I resztę uczuć, i łzy wylałem ostatnie,
A nowych długów nie chcę zaciągać bezpłatnie.

(po pauzie)

Niedawno odwiedzałem dóm nieboszczki matki,
Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz – rudera, pustka i zniszczenie!
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła,
Jak na smętarzu w północ, milczenie dokoła!
O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy;
Po krótkim oddaleniu gdym wracał do mamy,
Już mię dobre życzenia spotkały z daleka,
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka,
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali,
„Gustaw! Gustaw!” wołają, pojazd zatrzymali,
Lecą nazad, gościńca wzięwszy po pierogu;
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu;
Wrzask spółuczniów, przyjaciół, ledwo nie zagłuszy!...
Teraz pustka, noc, cichość, ani żywej duszy!
Słysząc tylko psa hałas i coś na kształt stuku:
Ach! tyż to, psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny,
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!
Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
Kruku mój! pójdz tu, Kruku! Bieży, staje, słucha,
Skacze na piersi, wyje i pada, bez ducha!...
Ujrzałem światło w oknach: wchodzę, cóż się dzieje?
Z latarnią, z siekierami plądrują złodzieje,
Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
W miejscu, gdzie stało niegdyś łóże mojej matki,
Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły,
Schwytiłem, zgnoiłem – oczy na łeb mu wybiegły!

Siadam na ziemi płacząc; w przedporannym mroku
Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku.
Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,
Bardziej do czyscowego podobna widziadła;
Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
Żegnając się i krzycząc słania się z przestachu.
Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś, moja kochana?
Czego, po domu pustym błądasz się tak z rana?
„Jestem biedna uboga; ze łzami odpowie;
W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie;
Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
Ale Pan Bóg nie szczęścił dla nich i dla dzieci:
Pomarli, dóm ich pustką, upada i gnije,
O paniczu nie słyszeć, pewnie już nie żyje”.
Krwia mnie serce zabiegło, wsparłem się u proga...
Ach! więc wszystko minęło?

KSIĄDZ

Prócz duszy i Boga!

Wszystko minie na ziemi: szczęście i niedole.

GUSTAW

Ileż znowu pamiątek w twoim domku, w szkole!
Tum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,
Po gniazda ptasze w tamten biegaliśmy lasek,
Kąpielą była rzeczka u okien ciekąca,
Po błoniach z studentami graliśmy w zajęcia.
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przede dniem,
By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem
Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem.
Wnet zwoływałem spółuczniów, szykuję pod lasem;
Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce,
Tam Niemców potrwożonych następują rotę;

Każę wodze ukrócić, w toku złożyć groty,
Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice!
Przerzadzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije,
Gradem lecą turbany i obcięte szyje,
Janczarów zgraja pierzchła lub do piasku wbita,
Zrąbaną z koni jazdę rozniosły kopyta.
Aż pod wał trzebim drogę!... ten wzgórek był wałem.
Tam ona wyszła, patrzeć na igraszkę dzieci,
Tam, gdy ją przy chorągwi Proroka ujrzałem,
Natychmiast umarł we mnie Godfred i Jan Trzeci.
Odtąd wszystkich spraw moich, chęci, myśli panią,
Ach, odtąd dla niej tylko, o niej, przez nią, za nią!
Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice:
Tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice,
Tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem,
Tutaj, na wzgórku, Russa czytaliśmy razem;
Altankę jej pod tymi uwiązałem chłody,
Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,
Z tych zdrojów, stojąc przy mnie, wywabiła wędką
Srebrnopiórego karpia, pstrąga z krasną cętką;
A dziś!...

(placze)

KSIĄDZ

Placz; lecz niestety, boleść przypomnienia
Nas samych trawi, a nic wkoło nas nie zmienia!

GUSTAW

Dzisiaj po latach tylu, po takiej przemianie,
Na miejscach najszcześliwszych, w najsmutniejszym stanie!
Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,

A potem, do Ojczyzny wróciwszy z daleka,
Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,
Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie;
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
Księżę, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!

KSIĄDZ

O! łza ta nie jest gorzka, gdy w obecne troski
Przypomnianego szczęścia miesza nektar boski;
Czułość ją u ludzkości wylewa ołtarza.
Gorzka truciznę sącą tylko łyzy zbrodniarza.

GUSTAW

Słuchaj, powiem coś jeszcze... Byłem i w ogrodzie,
Pod tęż porę, w jesieni, przy wieczornym chłodzie,
Też same cieniowane chmurami niebios,
Tenże bladawy księżyc i kroplista rosa,
I tuman na kształt z lekka prószonego śniegu;
I gwiazdy toną w błękit po nocnym obiegu,
I też sama nade mną świeci gwiazdka wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia;
W tychże miejscach też samo uczucie paliło,
Wszystko było jak dawniej – tylko jej nie było!
Podchodzę ku altance, jakiś szmer u wniścia,
To ona?... Nie! to wietrzyk żółkłe strząsał liścia.
Altano! mego szczęścia kolebko i grobie,
Tum poznał, tum pożegnał!... ach! com uczuł w tobie!
To miejsce może wczora było jej siedzeniem,
Ona wczora tym samym oddychała tchnieniem!
Słucham, oglądam wkoło, próżno wzrok się błąka,
Małgom tylko ujrzał nad sobą pająka,
Z listka wisząc, u słabej kołysał się nici,
Ja i on równie słabo do świata przybici!

Oparłem się o drzewo, wtem na końcu ławki
Widzę bukiety, trawkę, listek pośród trawki,
Tenże sam listek, listka mojego połowa,

(dobywa listek)

Który mi przypomina ostatnie: bądź zdrowa!
To mój dawny przyjaciel, czulem go powitał,
Długo z nim rozmawiałem i o wszystkim pytał:
Jak ona rano wstaje? czym się bawi z rana?
Jaką piosnkę najczęściej gra u fortepiana?
Do jakiego wybiega na przechadzkę zdroju?
W jakim najczęściej lubi bawić się pokoju?
Czy na moje wspomnienie rumieni się skromnie?
Czy sama czasem nie chcąc nie wspomina o mnie?...

Lecz co słyszę! o straszna ciekawości karo!

(ze złością uderza się w czoło)

Kobieta!...

(śpiewa)

Naprzód!...

(urywa i do Dzieci)

Dzieci! znacie piosnkę starą?

(śpiewa)

Naprzód ciebie wspomina

Co chwila, co godzina.

CHÓR DZIECI

Jakże kocha dziewczyna,

Co chwilę przypomina!

GUSTAW

Potem po raz co dnia,

A potem co tygodnia.

CHÓR DZIECI

Jakże czuła dziewczyna,
Co tydzień przypomina!

GUSTAW

A potem co miesiąca
Z początku albo z końca.

CHÓR DZIECI

Jakże dobra dziewczyna,
Co miesiąc przypomina!

GUSTAW

Biegną wody potoku,
Pamięć nie w naszej mocy:
Już tylko raz co roku,
Okolo Wielkiejnocy.

CHÓR DZIECI

Jaka grzeczna dziewczyna,
Jeszcze co rok wspomina!

GUSTAW

Więc

(pokazując listek)

ostatni przeszłości odrzuciła szczątek!
Więc już jej moich nosić nie wolno pamiątek!...
Wychodziłem z ogrodu, krok mię własny zdradza,
Pod pałac niewidoma ciągnęła mię władza.
Tysiąc ogniów północne rozpędza ciemnoty,
Słysząc wrzaski pojazdnych i karet tarkoty.
Już jestem blisko ściany, skradam się pomału,
Wciskam oczy ciekawe w podwoje z kryształu:
Wszystkie stoły nakryto, wszystkie drzwi przemknięto,

Muzyka, śpiewy – jakieś obchodzono święto!
Toast!... słyszałem imię... ach, nie powiem czyje!
Jakiś głos nieznajomy wykrzyknął: „Niech żyje!”
„Niech żyje!” z ust tysiąca zabrzmiały te słowa;
Tak, niech żyje!... i z cicha przydałem: bądź zdrowa!
Wtem (o, gdy mię wspomnienia same nie zabiją!)
Ksiądz wyrzekł drugie imię i krzyknął: „Niech żyją!”

(wpatruje się jakby we drzwi)

Ktoś dziękuje z uśmiechem... znam głos... pewnie ona.
Nie wiem pewnie... nie mogę widzieć za zwierciadłem,
Wściekłość mię oślepiła, poparłem ramiona,
Chciałem szyby rozsadzić... i bez duszy padłem...

(po pauzie)

Myślałem, że bez duszy... tylko bez rozumu!

KSIĄDZ

Nieszczęsny! dobrowolnych szukałeś męczarni.

GUSTAW

Jak trup samotny, obok weselnego tłumu,
Leżałem na zroszonej gorzkim płaczem darni:
Sprzeczność ostatnich w świecie pieszczot i męczarni!
Przebudzony, ujrzałem krwawy promyk wschodu.
Czekam chwilę: już nigdzie blasku ani szumu.
Ach, ta chwila jak piorun, a jak wieczność długa!
Na strasznym chyba sądzie taka będzie druga!

(po pauzie z wolna)

Wtem anioł śmierci wywiódł z rajskiego ogrodu!

KSIĄDZ

I na cóż ból rozdrażniać w przygojonej ranie?
Synu mój, jest to dawna, lecz słuszna przestroga,

Że kiedy co się stało i już nie odстане,
Potrzeba w tym uznawać wolą Pana Boga.

GUSTAW

(z żalem)

O nie! nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu,
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu,
Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekiem,
Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem,
Ten sam powab we wszystkim, toż samo niechcenie,
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie.
Gdy nas wszędzie tożsamość łączy niedościgła,
Bóg osnuł przyszłe węzły,

(z żalem największym)

a tyś je rozstrzygła!

(mocniej, gniewny)

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszczą anieli,
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli!...
Przebóg! tak ciebie oślepiło złoto!
I honorów świecąca bańka, wewnątrz pusta!
Bodaj!... Niech, czego dotkniesz, przeleje się w złoto;
Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto!
Ja, gdybym równie był panem wyboru,
I najcudniejsza postać dziewicza,
Jakiej Bóg dotąd nie pokazał wzoru,
Piękniejsza niżli aniołów oblicza,
Niżli sny moje, niżli poetów zmyślenia,
Niżli ty nawet... oddam ją za ciebie,

Za słodycz twego jednego spojrzenia!
Ach! i gdyby w posagu
Płynęło za nią wszystkie złoto Tagu,
Gdyby królestwo w niebie,
Oddałbym ją za ciebie!
Najmniejszych względów nie zyska ode mnie,
Gdyby za tyle piękności i złota
Prosiła tylko, ażeby jej luby
Poświęcił małą cząstkę żywota,
Którą dla ciebie całkiem poświęca daremnie!
Gdyby prosiła o rok, o pół roka,
Gdyby jedna z nią pieśczoła,
Gdyby jedno mgnienie oka,
Nie chcę! nie! i na takie nie zezwolę ślubu.

(surowo)

A ty sercem oziębłym, obojętną twarzą,
Wyrzekłaś słowo mej zguby
I zapaliłaś nieczne ogniska,
Którymi łańcuch wiążący nas pryska,
Które się wiecznym piekłem między nami żarzą,
Na moje wieczne męczarnie!
Zabiłaś mię, zwodnico! Nieba cię ukarzą,
Sam ja... nie puszczę bezkarnie,
Idę, zadrżycie, odmieńce!

(dobywa sztylet i ze wściekłą ironią)

Błyskotkę niosę dla jasnych panów!
Ot, tym wina utoczę na ślubne toasty...
Ha! wyrodku niewiasty!
Śmiertelne ścisnę wkoło szyi twojej wieńce!
Idę jak moją własność do piekła zagrabić,
Idę!...

(wstrzymuje się i zamyśla)

O nie! nie... nie... żeby ją zabić,

Trzeba być trochę więcej niż pierwszym z szatanów!

Precz to żelazo –

(chowa)

niech ją własna pamięć goni,

(Ksiądz odchodzi)

Niech ją sumienia sztylety ranią!

Pójdę, lecz pójdę bez broni,

Pójdę tylko spojrzeć na nią.

W salach, gdzie te od złota świecące pijaki

Przy godowym huczą stole!

Ja w tej rozdartej sukni, z tym liściem na czole,

Wnijdę i stanę przy stole...

Zdziwiona zgraja od stołu powstała,

Przepijają do mnie zdrowiem,

Proszą mię siedzieć: ja stoję jak skała,

Ani słowa nie odpowiem.

Plączą się skoczne kręgi przy śpiewach i brzęku,

Prosi mię w taniec drużba godowa,

A ja z ręką na piersiach, z listkiem w drugim ręku,

Nie odpowiem ani słowa!

Wtem ona z swoim anielskim urokiem

„Gościu mój, rzecze, pozwól! niech się dowiem,

Skąd przychodzisz, kto jesteś?” – Ja nic nie odpowiem,

Tylko na nią cisnę okiem,

Ha! okiem! okiem jadowitej zmije;

Całe piekło z mych piersi przywołam do oka:

Niech będzie ślepą, martwą jak opoka,

Na wskrós okiem przebiję!

Wgryzę się jak piekielny dym pod jej powieki
I w głowie utkwię na wieki.
Będę jej myśli czyste przez cały dzień brudził
I w nocy ją ze snu budził.

(powolniej, z czułością)

A ona tak jest czuła, tak łącno dotkliwa,
Jako na trawce wiosenne puchy,
Które lada zefiru zwiewają podmuchy
I lada rosa obrywa.
Każde wzruszenie moje natychmiast ją wzruszy,
Każdy przyostry wyraz zadraśnie;
Od cienia smutku mego jej wesołość gaśnie:
Tak znaliśmy nawzajem czucia wspólnej duszy,
Co jedno pomyśliło, już drugie odgadło.
Całą istnością połączeni ścisło,
Spojrzawszy tylko na twarzy zwierciadło,
Serce nasze jak w czystym widzieliśmy stoku.
Jakie tylko uczucie na mych oczach błysło,
Natychmiast lotem promyka
Aż do jej serca przenika
I na powrót błyszczy w oku.
Ach tak! tak ją kochałem! pójdę teraz trwożyć
I na kochanka larwę potępieńca włożyć?
Po co? czego chcę od niej? o zazdrości podła!
I jakież są jej grzechy?
Czyli mię słówkiem dwuznacznym podwiodła?
Czy wabiącymi łowiła uśmiechy
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież są jej przysięgi, jakie obietnice?
Miałemże od niej choć przez sen nadzieję?
Nie! nie! sam urojone żywiłem mamidła,
Sam przyprawilem jady, od których szaleję!
Po cóż ta wściekłość? jakie do niej prawa?

Co za moją wzgardzoną przemawia osobą?
Gdzie wielkie cnoty? świetne czyny? sława?
Nic! nic! ach, jedną miłość mam za sobą!
Znam to: nigdy śmiały nie zgrzeszył zapędy,
Nie prosiłem, ażeby była mnie wzajemną;
Prosiłem tylko o maleńkie względy,
Tylko żeby była ze mną,
Choćby jak krewna z krewnym, jak siostrzyczka z bratem,
Bóg świadkiem, przestałbym na tem.
Gdybym mówił: widzę ją, widziałem ją wczora,
I jutro widzieć będę;
Oddam pierwszy dzieńdobry, u stołu z nią siędę,
Z nią z rana, w dzień koło niej, koło niej z wieczora;
Ach, jak byłbym szczęśliwy!

(po pauzie)

Zapędzam się marnie.

Ty pod zazdrośnych oczu, chytrych żądał strażą!
Ani obaczyć nie wolno bezkarnie.
Pożegnać, porzucić każą...
Umrzeć!...

(z żalem)

Kamienni ludzie! wy nie wiecie,
Jak ciężka śmierć pustelnika!
Konając patrzy na świat, sam jeden na świecie!
Dłoń mu przychylna powiek nie zamyka!
Żałobne grono łoża nie otoczy,
Nikt nie pójdzie za trumną do wieczności domu,
Garsteczki piasku nie rzuci na oczy,
Zapłakać nie masz komu!
O, gdybym mógł choć przez sen pokazać się tobie,

Gdybyś na mojej pamiątkę męki
Jeden przynajmniej dzionek chodziła w żałobie,
Przypięła jedną czarną wstążkę do sukienki!...
Może spojrzysz ukradkiem... i łezka boleści...
I pomyślisz westchnąwszy: ach, on mię tak kochał!

(z dziką ironią)

Stój, stój, żalosne piskłę!... precz, wrzasku niewieści!
Będę, jak dziecko szczęścia, umierając szlochał?
Wszystko mi, wszystko niebiosy wydarły,
Lecz reszty dumy nie mogą odebrać!
Żywy, o nic przed nikim nie umiałem żebrać,
Żebrać litości nie będę umarły!

(z determinacją)

Rób, co chcesz, jesteś woli swojej panią.
Zapomnij!... ja zapomnę!

(pomieszany)

wszak już zapomniałem?

(zamyślony)

Jej rysy... coraz ciemniej..., tak, już się zatarły!
Już ogarniony wieczności otchłanią
Doczesnym pogardzam szaleem...

(pauza)

Ach, wzdycham! czegoż wzdycham? ha! westchnąłem za nią,
Nie! nie mogę zapomnieć o niej i umarły.
Wszakże ją widzę? wszak tu, o, tu stoi!
Płacze nade mną... jaka łezka szczerą!

(z żalem)

Płacz, moja luba, twój Gustaw umiera!

(z determinacją)

No, dalej, śmiało, Gustawie!

(podnosi sztylet)

(z żalem)

Nie bój się, luba, on się nic nie boi!

Czego żałujesz, on nic z sobą nie zabiera!

Tak! wszystko! wszystko tobie zostawię,

Zostawię życie, i świat, i rozkosze,

(z wściekłością)

I twego!... wszystko... o nic... ani łzy nie proszę!

(do Księdza, który wchodzi ze służącymi)

Słuchaj ty... jeśli kiedy obaczy...

(z obłąkaniem i wzmagającą się gwałtownością)

Pewna nadludzka dziewczica... kobieta,

I jeśli ciebie zapyta,

Z czego umarłem? nie mów, że z rozpacz;

Powiedz, że byłem zawsze rumiany, wesoły,

Żem ani wspomniał nigdy o kochance,

Że sobie grałem w karty, piłem z przyjaciół...

Że ta pijatyka... tańce...

Że mi się w tańcu... ot

(uderza nogą)

skręciła noga.

Z tego umarłem...

(przebija się)

KSIĄDZ

Jezus, Maria! bój się Boga!

(chwyta za rękę, Gustaw stoi; zegar zaczyna bić)

GUSTAW

(pasując się ze śmiercią, patrzy na zegar)

Łańcuch szeleści... Jedenasta wybija!

KSIĄDZ

Gustawie!

(kur pieje drugi raz)

GUSTAW

To drugie hasło!

Czas ucieka, życie mija!

(zegar kończy bić, świeca druga gaśnie)

I drugie światło zagasło!

Koniec boleści!...

(dobywa sztylet i chowa)

KSIĄDZ

Ratujcie, przebóg, może jaka rada!

Ach, już, już kona, wbił do rękojęści,

Padł ofiarą szaleństwa!

GUSTAW

(z zimnym uśmiechem)

Przecież nie upada!

KSIĄDZ

(chwyta za rękę)

O zbrodni! Boże, odpuść... Gustawie! Gustawie!

GUSTAW

Zbrodnia taka nie może popełniać się co dzień,

Daj pokój próżnej obawie;

Stało się – osądzono – tylko dla nauki

Scenę boleści powtórzył zbrodzień.

KSIĄDZ

Jak to? co to jest?

GUSTAW

Czary, omamienie, sztuki.

KSIĄDZ

Ach! włosy mi się jeżą; drżą pode mną nogi,

W imię Ojca i Syna! co to wszystko znaczy?

GUSTAW

(patrząc na zegar)

Wybiło dwie godziny: miłości, rozpacz,

A teraz następuje godzina przestrogi.

KSIĄDZ

(chce go sadzić)

Usiądź, połóż się, oddaj zabójcze narzędzie,

Pozwól rany opatrzyć –

GUSTAW

Daję tobie słowo,

Że aż do dnia sądnego sztylet w pochwach będzie.

O ranach próżna troska, wszak wyglądam zdrowo?

KSIĄDZ

Jak Bóg na niebie, nie wiem, co to...

GUSTAW

Skutki szalu,

Albo może kuglarstwo? – Są kosztowne bronie,
Których ostrze przenika i aż w duszy tonie,
Przecież widomie nie uszkodzą ciała;
Taką bronią po dwakroć zostałem przebity...

(po pauzie z uśmiechem)

Taką bronią za życia są oczy kobiety,

(ponuro)

A po śmierci grzesznika cierpiącego skrucza!

KSIĄDZ

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha!
Czego stoisz jak martwy? zaglądasz na stronę?
Ach, oczy!... przebóg, jakby bielmem powleczone!
Puls ustał... ręce twoje zimne jak żelazo!
Co to wszystko ma znaczyć?

GUSTAW

O tym inną razą!

Słuchaj, jakie mię na świat zamiary przywiodły.
Kiedy wchodząc do ciebie stanąłem u progu,
Pamiętam, że z dziatekami odprawiałeś modły,
Któreś za dusze zmarłe ofiarował Bogu.

KSIĄDZ

(chwyta krucyfiks)

Prawda, zaraz dokonczym...

(ciągnie Dzieci do siebie)

GUSTAW

No, przyznaj się szczerze,

Czy wierzysz w piekło, w czyściec?...

KSIĄDZ

Ja we wszystko wierzę,

Cokolwiek w Piśmie Świętym Chrystus nam ogłasza

I w co zaleca wierzyć Kościół, matka nasza.

GUSTAW

I w co twoje pobożne wierzyły pradziady?

Ach! najpiękniejsze święto, bo święto pamiątek,

Za cóż zniosłeś dotychczas obchodzone Dziady?

KSIĄDZ

Ta uroczystość ciągnie z pogaństwa początek;

Kościół mnie rozkazuje i nadaje władzę

Oświecać lud, wytępiać reszty zabobonu.

GUSTAW

(pokazując na ziemię)

Jednak proszę przeze mnie, i ja szczerze radzę,

Przywróć nam Dziady. Tam, u Wszechmocnego tronu,

Kędy nasz żywot ściśle odważają szale,

Tam większym jest ciężarem łza jednego sługi,

Którą szczerze wyleje nad tobą u zagonu,

Niż kłamliwe po drukach rozgłaszane żale,

Płatny orszak i kirem powleczone cugi.
Jeśli, żałując śmierci dobrego dziedzica,
Lud zakupioną świecę stawia mu na grobie,
W cieniach wieczności jaśniej błyszczy się ta świeca
Niż tysiąc lamp w niechętniej palonych żałobie.
Jeśli przyniesie miodu plastr i skromne mleko
I garścią mąki grobowiec posypie,
Lepiej posili duszę, o! lepiej daleko,
Niż krewni modnym balem wydanym na stypie.

KSIĄDZ

Ani słowa. Lecz Dziady, te północne schadzki
Po cerkwiach, pustkach lub ziemnych pieczarach,
Pełen guślarstwa obrzęd świętokradzki,
Pospólstwo nasze w grubej utwierdza ciemnocie;
Stąd dziwaczne powieści, zabobonów krocie
O nocnych duchach, upiorach i czarach.

GUSTAW

Więc żadnych nie ma duchów?

(z ironią)

Świat ten jest bez duszy?

Żyje, lecz żyje tylko jak kościotrup nagi,
Który lekarz tajemną sprężyną rozruszy;
Albo jest to coś na kształt wielkiego zegaru,
Który obiega popędem ciężaru?

(z uśmiechem)

Tylko nie wiecie, kto zawiesił wagi!
O kołach, o sprężynach rozum was naucza;
Lecz nie widzicie ręki i klucza!
Gdyby z twych oczu ziemskie odpadło nakrycie,

Obaczyłbyś niejedno wkoło siebie życie,
Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu.

(do Dzieci, które wchodzi)

Dzieci, chodźcie pod kantorek.

(do kantorka)

Czego potrzebujesz, duchu?

GŁOS Z KANTORKA

Proszę o troje paciorek.

KSIĄDZ

(przerażony)

W imię Ojca... niech biega... Altarystę zbudzi,
Słowo stało się ciałem!... zawołajcie ludzi!...

GUSTAW

Wstydz się, wstydz się, mój ojczy, gdzie rozum? gdzie wiara?
Krzyż jest mocniejszy niżli wszyscy ludzie twoi,
A kto się Boga boi, ten się nic nie boi.

KSIĄDZ

Mów, czego potrzebujesz... ach, to upiór! mara!

GUSTAW

Ja! nic nie potrzebuję, jest potrzebnych tylu!

(łowi koło świecy motyla)

A tuś mi, panie motylu!

(do Księdza, pokazując motyla)

Ten migający wkoło oćmy rój skrzydlaty
Za życia gasił każdy promyczek oświaty,
Za to po strasznym sądzie ciemność ich zagarnie;
Tymczasem z potępioną błakając się duszą,

Chociaż nie lubią światła, w światło lecieć muszą,
To są dla ciemnych duchów najsrozsze męczarnie!
Patrzaj, ów motyl, strojny barwionymi szaty,
Był jakiś królik albo pan bogaty,
I wielkim skrzydeł roztworem
Zaciemniał miasta, powiaty.
Ten drugi, mniejszy, czarny i pękaty,
Był książek głupim cenzorem
I przelatując sztuk nadobne kwiaty,
Oczerniał każdą piękność, którą tylko zoczył,
Każdą słodkość zatrutym wysysał ozorem
Albo przebijał do ziemi środka,
I nauk ziarno z samego zarodka
Gadziny zębem roztoczył...
Ci znowu, w licznym snujący się gwarze,
Są dumnych pochlebnie, czernideł pisarze.
Na jakie pan ich gniewał się zagony,
Tam przekłeta chmura leci,
I czy ledwie wschodzące, czy dojrzałe plony
Jako sarańcza wybija.
Za tych wszystkich, moje dzieci,
Nie warto zmówić i Zdrowaś Maryja.
Są inne, słuszniej godne litości istoty,
A między nimi twoi przyjaciele, uczniu,
Których ty wyobraźnią w górne pchnąłeś loty,
Których wrodzony ogień podniecałeś sztucznie.
Jaką żyjąc pokutę mieli za swe winy,
Oznajmiłem, wieczności przestąpiwszy progi:
Życie moje ścisnąłem w krótkie trzy godziny
I znowu wycierpiałem dla twojej przestrogi.
Im więc nieś ulgę prośbą i mszalną ofiarą;
Dla mnie oprócz wspomnienia nic więcej nie proszę.
Za grzech mój życie było dostateczną karą,
A dziś, nie wiem, nagrodę czy pokutę znoszę.

Bo kto na ziemi rajskie doznawał pieszczoty,
Kto znalazł drugą swojej połowę istoty,
Kto nad świeckiego życia wylatując krańce
Duszą i sercem gubi się w kochance,
Jej tylko myślą myśli, jej oddycha tchnieniem,
Ten i po śmierci również własną bytność traci,
I przyczepiony do lubej postaci,
Jej tylko staje się cieniem.
Jeśli żyjąc świętemu był uległy panu,
Niebieską z nim chwałę dzieli;
Albo ze złym do wiecznej strącony topieli,
Jest bolesnego współnikiem stanu.
Na szczęście Bóg mię zrobił poddanym anioła,
Dla niej i dla mnie przyszłość śmieje się wesół.
Tymczasem, jak cień błaząc przy kochanych wdziękach,
Bywam albo w niebiosach, albo w piekła mękach.
Gdy ona wspomni, westchnie i łezkę wyleje,
Zbliżam się do usteczek, biały włos rozwieję,
Zmieszam się z odetchnieniem i przeniknę ciebie,
I jestem w niebie!
Lecz kiedy!... och, czujecie, wy, coście kochali!
Jakim zawiść ogniem pali!...
Długo jeszcze po świecie błąkać się potrzeba,
Aż ją Bóg w swoje objęcie powoła;
Natenczas śladem lubego anioła
I cień mój błędny wkradnie się do nieba.

(zegar zaczyna bić)

(śpiewa)

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
 Że według Bożego rozkazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
 Ten po śmierci nie trafi od razu.

(zegar kończy bić, kur pieje, lampa przed obrazem gaśnie, Gustaw znika)

CHÓR

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
 Że według Bożego rozkazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
 Ten po śmierci nie trafi od razu.

DZIADY
WIDOWISKO
CZĘŚĆ 1

PRAWA STRONA TEATRU – DZIEWICA W SAMOTNYM POKOJU – NA BOKU
KSIĄG MNÓSTWO, FORTEPIANO, OKNO Z LEWEJ STRONY W POLE; NA PRAWĘJ
WIELKIE ZWIERCIADŁO; ŚWIECA GASNĄCA NA STOLE I KSIĘGA ROZŁOŻONA
(ROMANS „VALERIE”)

DZIEWICA

(wstaje od stołu)

Świeco niedobra! właśnie pora była zgasnąć!
I nie mogłam doczytać – czyż podobna zasnąć?
Waleryjo! Gustawie! anielski Gustawie!
Ach, tak mi często o was śniło się na jawie,
A przez sen – będę z wami, Pan Bóg wie dopóki!
Smutne dzieje! Jak smutnej są źródłem nauki!

(po pauzie, z niesmakiem)

Po co czytam? Już koniec przezieram z daleka!
Takich kochanków tutaj

(wskazuje ziemię)

cóż innego czeka?

Waleryjo! ty przecież spomiędzy ziemianek
Zazdrości godna! Ciebie ubóstwiał kochanek,
O którym inna próżno całe życie marzy,
Którego rysów szuka w każdej nowej twarzy,
I w każdym nowym głosie nadaremnie bada

Tonu, który jej duszy brzmieniem odpowiada.
Bo ich twarze tchną głazem, jak Meduzy głowa,
Nad słotny deszcz jesienny zimniejsze ich słowa!

Co dzień z pamiątką nudnych postaci i zdarzeń
Wracam do samotności, do książek – do marzeń,
Jak podróżny, wśród dzikiej wyspy zarzucony,
Co rana wzrok i stopę niesie w różne strony,
Azali gdzie istoty bliżniej nie obaczy,
I co noc w swą jaskinią powraca w rozpaczy.

Szalony, niech ukocha swe samotne ściany
I nie targa łańcucha, by nie drażnić rany. –

Witajże, ma jaskinio – na wieki zamknięci,
Nauczmy się więźniami stać się z własnej chęci –
Czyż nie znajdziem zatrudnień? Mędrce dawnych wieków
Zamykali się szukać skarbów albo leków
I trucizn – my niewinni młodzi czarodzieje
Szukajmy ich, by otruć własne swe nadzieje.
A jeżeli do grobu wstęp [jeszcze] zawarty,
Pochowajmy swą duszę za życia w te karty;
Można pięknie zmartwychwstać i po takim zgonie,
I przez ten grób jest droga na Elizu błonie;
Zamieszkałym wśród cieniów zmyślonego świata
Nudnej rzeczywistości narodzi się strata.
Cieniów? Nigdyż nie było między ziemską bracią
Takich cieniów, śmiertelną więzionych postacią?
Dusze ich wzięłyż bytność z poetów wyroku,
Kształty odlaneż tylko z pięknych słów obłoku?
Nie mogę przyrodzenia tą myślą obrażać,
Nie mogę bluźnić Twórcy – i siebie znieważać.

W przyrodzeniu, powszechnej ciał i dusz ojczyźnie,
Wszystkie stworzenia mają swe istoty bliźnie:
Każdy promień, głos każdy, z podobnym spojony,
Harmoniją ogłasza przez farby i tony;
Pyłek błędzący wśród istot ogromu,
Padnie w końcu na serce bliźniego atomu,
A tylko serce czułe z dozgonną tęsknotą
W rodzinie twórców jedną ma zostać sierotą?
Twórca mi dał to serce; choć w codziennym tłumie
Nikt poznać go nie może, bo nikt nie rozumie,
Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnymi lata.

O, gdybyśmy dzielące rozerwawszy chmury,
Choć przed zgonem tęsknymi spotkali się pióry
Lub słowem tylko, wzrokiem – dosyć jednej chwili,
Dosyć, by się dowiedzieć tylko, żeśmy żyli.
Wtenczas dusza, co ledwie czucia swe ogarnia,

Której rozkosze truje więzadeł męczarnia,
Z ciemnej, głuchej jaskini stałaby się rajem.
Jak by miło poznawać, zwiedzać ją nawzajem,
I cokolwiek pięknego w myślach zajaśnieje,
Co ślachtetnego mają tajne serca dzieje,
Rozświecić przed oczyma kochanej istoty,
Jak wyłamane z piersi kryształów klejnoty.
Wtenczas przeszłość do życia moglibyśmy wcielić
Spomnieniem; można by się z przyszłości weselić
W przeczuciu, a obecnym chwil lubych użyciem
Łącząc wszystko, żyć całym i pełnym życiem;
Bylibyśmy jak lotne technienia, co je rosa
Wiosennym zionie rankiem, dążące w niebiosą,
Lekkie i niewidome, lecz kiedy się zlecą –
Spłoną i nową iskrę pośród gwiazd rozświecą.

*

NA LEWĄ STRONĘ TEATRU WCHODZI CHÓR WIEŚNIAKÓW NIOSĄCYCH
JEDZENIA I NAPOJE; STARZEC PIERWSZY Z CHÓRU NA CZELE

GUŚLARZ

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Z czujnym słuchem, z baczным okiem
Spieszmy się w tajnym obrzędzie,
Z cichym pieniem, wolnym krokiem;
Wszak nie nucim po kolędzie,
Nucimy piosnkę żałoby;
Nie do dworu z nowym rokiem, –
Ze łzami idziem na groby.

CHÓR

Póki ciemno, głucho wszędzie,
Spieszmy się w tajnym obrzędzie.

GUŚLARZ

Spieszmy cicho i powoli,
Poza cerkwią, poza dworem,
Bo ksiądz gusłów nie dozwoli,
Pan się zbudzi nocnym chorem.
Zmarli tylko wedle woli
Spieszą, gdzie ich guślarz woła;
Żywi są na pańskiej roli,
Cmentarz pod władzą kościoła.

CHÓR

Póki ciemno, głucho wszędzie,
Spieszmy się w tajnym obrzędzie.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW

(do Dziewczyny, ob. „Romantyczność”)

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda;
Nie płacz, i oczek, i dłoni szkoda.
Te oczki innym źrenicom błysną,
Te rączki inną prawicę ścisną.

Od lasu para gołąbków leci,
Para gołąbków, a orlik trzeci;
Uszlaş, gołąbko, spojrz do góry,
Czy jest za tobą mąż srebrnopióry?

Nie płacz, nie wzdychaj w próżnej żałobie,
Nowy małżonek grucha ku tobie,
Nóżki z ostrogą, szyję mu wieńczy
Wstążka błękitna, w kolorze tęczy.

Róża z fijałkiem na letniej łące
Podają sobie dłonie pachnące,
Pieszy robotnik kosi dąbrowę,
Zranił małżonka, zostawił wdowę.

Płaczesz i wzdychasz w próżnej żałobie,
Wysmukły narcyz kłania się tobie,
Jasną źrenicą wśród polnych dzieci
Jak księżyc między gwiazdami świeci:

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda,
Nie płacz, i rączek, i oczu szkoda,
Ten, po kim płaczesz, wzajem nie błyśnie
Okiem ku tobie, ręki nie ściśnie.

On ciemny krzyżyk w prawicy trzyma,
A miejsca w niebie szuka oczyma.
Dla niego na mszę daj, młoda wdowo,
A dla nas żywych piękne daj słowo.

(do Starca)

Nie tęsknij, starcze, prosiemy młodzi,
Tęsknota sercu i myślom szkodzi;
W tym sercu dla nas żyją przykłady,
Dla nas w tych myślach jest skarbiec rady.

Stary dąb zruca powiewne szaty,
O cień go proszą trawy i kwiaty:
„Nie znam was, dzieci nowego rodu,
Czyliście warte cienia i chłodu,
Nie takie rosły dawnymi laty
Pod mą zasłoną trawy i kwiaty”.

Przestań narzekać, niesłuszny w gniewie,
Jak było dawniej, nikt o tym nie wie.
Uwiędną jedni, powschodzą inni,
Chociaż mniej piękni, cóż temu winni?
Strzeż naszej barwy, ciesz się z okrasy,
A z nas dawniejsze wspominaj czasy.

Nie wzdychaj, starcze, w próżnej tęsknocie,
Wielu straciłeś, zostały krocie,
Nie całe twoje szczęście jest w grobie,
Nie tam są wszyscy znajomi tobie.
Weź trochę szczęścia od nas szczęśliwych,
Szukaj umarłych pośród nas żywych.

GUŚLARZ

Kto błądząc po życia kraju,
Chciał pilnować prostej drogi,
Choć mu los wedle zwyczaju
Wszędzie siał ciernie i głogi;
Nareszcie po latach wielu,
W licznych troskach, w ciężkich nudach,

Zapomniał o drogi celu,
Aby znaleźć wczas po trudach;

Kto z ziemi patrzył ku słońcu,
Marzył nieba i gwiazd loty
I nie znał ziemi, aż w końcu,
Kiedy wpadł w otchłań ciemnoty;

Kto żalem pragnął wydzwignąć,
Co znikło w przeszłości łonie,
Kto żądzą pragnął doścignąć,
Co ma przyszłość w tajnym łonie;

Kto poznał swój błąd niewczesnie,
O gorszej myśli poprawie,
Mruży oczy, by żyć we śnie
Z tym, czego szukał na jawie;

Kto marzeń tknięty chorobą,
Sam własnej sprawca katuszy,
Darmo chciał znaleźć przed sobą;
Co miał tylko w swojej duszy;

Kto wspominasz dawne chwile,
Komu się o przyszłych marzy,
Idź ze świata ku mogile,
Idź od mędrców do guślarzy.

Mrok tajemnic nas otacza,
Pieśń i wiara przewodniczy,
Dalej z nami, kto rozpacza,
Kto wspomina i kto życzy.

DZIECIĘ

Wróćmy lepiej do chaty, coś tam od kościoła
Błysnęło, ja się boję, coś po lesie woła.
Jutro pójdziem na cmentarz, ty swoim zwyczajem
Dumać, ja zdobić krzyże kwiatami i majem.
Mówią, że dzisiaj w nocy umarłych spotkamy,
Ja ich nie znam, ja własnej nie pamiętam mamy,
Ty oczy w dzień masz słabe, pragnąłbyś daremnie
Dawno widzianych ludzi rozeznąć po ciemnie.
I słuch masz słaby: pomnisz, dwie temu niedziele
Zebrało się i krewnych, i sąsiadów wiele
Urodziny twe święcić; tyś w milczeniu siedział,
Nic nie słyszał, nikomu nic nie odpowiedział.
Zapytałeś na koniec, po co ta gromada
Zeszła się w dzień powszedni? i czy mrok już pada?
A my przyszli winszować i od kilku godzin
Słońce zaszło, i był to dzień twoich urodzin.

STARZEC

Od tego dnia, ach, jakżem daleko odpłynął,
Wszystkiem znajome lądy i wyspy ominął,
Wszystkie dziedziczne skarby znikły w czasie toniach;
Cóż mnie po waszych twarzach, i głosach, i dłoniach;
Twarze, którem z dzieciństwa ukochać przywykał,
Dłonie, co mię pieściły, głos, co mię przenikał,
Gdzież są? Zgasły, przebrzmiały, zmieniły się, starły;
Nie wiem, czym pośród trupów, czylim sam umarły.
Ale inny świat rzucam, aniżelim zastał;
Nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał.
Twój jeszcze głos, mój wnuku, ostatnia pociecho,
Jak po umarłej pieśniach niemowlęce echo,
Tuła się i głos matki powtarzając kwili.
Lecz i ty mię porzucasz, jak inni rzucili.

Pójdę sam; kto w dzień błądzi i żywych nie słyszy,
Widzi w nocy, zna język grobowej zaciszy;
Nie zabłądzę, wszak co rok chodziłem tą drogą:
Zrazu jak ty, mój synu, z niemowlęcą trwogą,
Potem jak chłopiec pełen ciekawej ochoty,
Potem z tęsknotą, teraz nawet bez tęsknoty,
Bez żalu; cóż mię wiedzie? jakiś zapęd nowy,
Ciemne przeczucie, może to instynkt grobowy.
Znajdę cmentarz i coś mi w głębi serca wróży,
Że nazad już nie będę potrzebował stróży.
Ale nim się rozłączym, twe służby dziecięce
Nagrodzę, pójdź, mój synu, uklęknij, złóż ręce.

Boże! Coś mi rozkazał spełnić kielich życia
I zbyt wielki, zbyt gorzki dałeś mi do picia,
Jeśli względów Twojego miłosierdzia godna
Cierpliwość, z którą gorycz wychyliłem do dna,
Jedynej, lecz największej śmiem żądać nagrody:
Pobłogosław wnukowi – niechaj umrze młody.

Bądź zdrow; stój i raz jeszcze ściśni dziada rękę!
Daj mi twój głos usłyszeć – zaśpiewaj piosenkę
Ulubioną i tyle powtarzaną razy,
O zaklętym młodzieńcu, przemienionym w głązy.

MŁODZIENIEC ZAKŁĘTY

Wyłamawszy zamku bramy,
Twardowski błądził wśród gmachów,
Biegł na wieże, schodził w jamy:
Co tam czarów! co tam strachów!

W jednym sklepisku zapadłem –
Jak w dziwny rodzaj pokuty –

Na łańcuchu, przed zwierciadłem
Stoi młodzieniec okuty.

Stoi, a z ludzkiej postaci,
Mocą czarownych omamień,
Coraz jakąś część traci
I powoli wrasta w kamień.

Aż do piersi był już głazem,
A jeszcze mu błyszczą lica
Męstwa i siły wyrazem;
Czułością świeci źrenica.

„Kto jesteś? Zakłęty rzecze
Coś te gmachy zdobył śmiało,
Gdzie tak mnogie pękły miecze,
Tylu wolność postradało”.

„Kto jestem? o, drży świat cały
Przed mą szablą, na me słowa;
Wielkiej mocy, większej chwały,
Jestem rycerzem z Twardowa”.

„Z Twardowa? za moich czasów
Nie słyszałem o nazwisku,
Ni wśród wojennych zapasów,
Ni na rycerskim igrzysku.

Nie zgadnę, jak długie lata
Mogłem w więzieniu przesiedzieć;
Ty świeżo wracasz ze świata,
Musisz mi o nim powiedzieć.

Czy dotąd Olgierda ramię,
Naszą Litwę wiodąc w pole,

Po dawnemu Niemcy łamie,
Tratuje stepy mogole?”

„Olgierd? ach, już przeminęło
Dwieście lat po stracie męża,
Lecz z jego wnuków Jagiełło
Teraz walczy i zwycięża.”

„Co słyszę? Jeszcze dwa słowa:
Może w twych błędnych obiegach
Byłeś, rycerzu z Twardowa,
Na Świtezi naszej brzegach?

Czy tam ludzie nie mówili
O Poraju silnej ręki
I o nadobnej Maryli,
Której on ubóstwiał wdzięki?”

„Młodzieńcze, nigdzie w tym kraju,
Od Niemna po Dniepru krańce,
Nie słyszałem o Poraju
Ani o jego kochance.

Po co pytać, czasu strata,
Gdy cię wyrwę z tej opoki;
Wszystkie ciekawości świata
Własnymi odwiedzisz kroki.

Znam czarodziejską naukę,
Wiem dzielność tego zwierciadła,
Wraz go na drobiazgi stłukę.
By z ciebie ta larwa spadła”.

To mówiąc, nagłym zamachem
Dobył miecza i przymierza,

Ale młodzieniec z przestrachem:

„Stój!” – zawołał na rycerza.

„Weźmi zwierciadło ze ściany

I podaj go w moje ręce,

Niech sam skruszę me kajdany

I uczynię koniec męce”.

Wziął i westchnął, twarz mu zbladła

I zalał się łez strumieniem.

I pocałował zwierciadło,

I cały stał się kamieniem.

CHÓR MŁODZIEŻY

Tu guślarz kazał młodzieży

Stanąć na drogi połowie;

Tam na wzgórku wioska leży;

A tam mogilnik w dąbrowie.

MŁODZIEŻ

Między kolebką i groby

Młody nasz wiek w środku stoi;

Śród wesela i żałoby

Stójmyż w środku, bracia moi.

Nie godzi się do wsi wracać,

Nie godzi się biec w ich ślady,

Tu będziemy święcić Dziady

I piosnkami noc skracać.

Będziemy idących witać,

I powracających pytać,

Lęklwym rozpędzać trwogę,

Błędym pokazywać drogę.

Zaszło słońce, biegą dzieci,
Idą starce, płaczą, nuca,
Lecz znowu słońce zaświeci,
Wrócą dzieci, starce wrócą.

Nim dojdzie siwizny dziecię,
Nim starego dzwon powoła,
Jeszcze ich spotka na świecie
Niejedna chwilka wesoła.

Ale kto z nas w młode lata
Nie działa rzeźwym ramieniem,
Ale sercem i myśleniem –
Taki zgubiony dla świata.

Kto jak zwierz pustyni szuka,
Jak puchacz po nocy lata,
Jak upior do trumny puka,
Taki zgubiony dla świata.

Kto w młodości pieśń żałoby
Raz zanucił, wiecznie nuci;
Kto młody odwiedza groby,
Już z nich na świat nie powróci.

Niech więc dzieci i ojcowie
Idą w kościół z prośbą, z chlebem;
Młodzi, na drogi połowie
Zostaniem pod czystym niebem.

PIEŚŃ STRZELCA

Śród wzgórzów i jarów,
I dolin, i lasów,

Śród pienia ogarów

I trąby hałasów,

Na koniu, co lotem

Sokoły zadumi,

I z bronią, co grzmotem

Pioruny zatłumi,

Dalejże, dalejże, z tropu w trop,

Z tropu w trop, dalejże, dalejże!

Dalejże, dalejże, z tropu w trop,

Z tropu w trop, hop, hop!

Wesoły jak dziecko,

Jak rycerz krwi chciwy,

Odważnie, zdradziecko

Bój zaczął myśliwy.

Witajcież rycerza,

Pagórki i niwy,

Król lasów, pan zwierza,

Niech żyje myśliwy!

Dalejże, dalejże, itp.

Czy w niebo grot zmierza,

Czy w knieje i smugi,

Stąd leci grad pierza,

Stąd płyną krwi strugi.

Kto w puszczy dojedzie

Odyńca bez trwogi?

Kto kudły niedźwiedzie

Podesłał pod nogi?

Dalejże, dalejże, itp.

Czyj dowcip gnał rojem
Lataczów do sideł?
Kto wstępny wziął bojem
Sztandary ich skrzydeł?

Witajcież rycerza,
Pagórki i niwy,
Król lasów, pan zwierza,
Niech żyje myśliwy!

Dalejże, dalejże, itp.

GUSTAW

Spolowałem piosenkę! Nie będą się gniewać
Myśliwi, że do domu wracam bez zwierzyny.
Jak tylko wrócę, zaraz muszę im zaśpiewać. –
Lecz gdzież zaszedłem? nigdzie śladu ni drożyny.
Hola! jak w kniei głucho – ni trąby, ni strzału.
Zbłądziłem – otóż skutek wieszczego zapału:
Goniąc muzę, wyszedłem z obławy. Mróz ciśnie,
Trzeba ogień nałożyć; gdy światło zabłyśnie,
Nuż jaki spółtowarzysz z myśliwej czeladzi
Błądzi jak ja, ten ogień razem nas sprowadzi,
Łacniej drogę znajdziemy. O mój przyjacielu,
Takich jak ty myśliwych nie znalazłbyś wielu.
Oni z lasu nie zwykli spoglądać w obłoki,
Ogarami na piękne polować widoki;
Z jednym zawsze zamiarem i z jedyną żądzą,
Na ziemi tropią zdobycz – tym lepiej – nie błądzą.

Pewnie już z rzeźwym sercem i spoconym czołem
Dzienną zabawę kończą za biesiadnym stołem.
Każdy chlubi się z przeszłych lub przyszłych zdobyczy,
Każdy swe trafne strzały, cudze pudła liczy;
Żartują z siebie głośno lub szepcą do ucha;
Wszyscy mówią, a jeden stary ojciec słucha.
A jeśli się na koniec uprzykrzyły łowy,
Natenczas do sąsiadek – uśmiechy, rozmowy,
Czasem strzelecka miłość – wędrowna ptaszyna,
Serce przelotem zwiedzi – tak mija godzina,
I tydzień, i rok przeszły – tak bywało wczora,
Tak jest dzisiaj i będzie każdego wieczora.
Szczęśliwi – a ja, czemuż nie jestem jak oni?
Wyjechaliśmy razem – cóż mię w pole goni?
Ach, nie zabawy ścigam – uciekam od nudy;
Nie rozkosze myśliwskie lubię – ale trudy.
Że się myśl, a przynajmniej że się miejsce zmienia,
I że tu nikt mojego nie śledzi marzenia,
Łez pustych, które nie wiem, skąd w oczach zaświecą,
Westchnień bez celu, które nie wiem, kędy lecą.
Nie do sąsiadek pewnie! na wiatry, na gaje!
Ku marzeniom!.. Myśl dziwna! zawsze mi się zdaje,
Że ktoś łzy moje widzi i słyszy westchnienia,
I wiecznie około mnie krąży na kształt cienia.
Ileż razy w dzień cichy szeleszczą na łące
Jakoby nimfy jakiejś stopki latające;
Spojrzę: chwieją się kwiaty i podnoszą głowy,
Jakby z lekka trącone. – Nieraz wśród alkowy
Samotny książkę czytam; książka z rąk wypadła,
Spojrzałem i mignęła naprzeciw zwierciadła
Lekka postać, szepnęła jej powietrzna szata.
Nieraz dumałem w nocy, gdy się myśl rozlata,
Wzdycham, i coś westchnieniem dawało znak życia,

Serce biło i czułem drugie serca bicia,
Słowo nawet częstokroć, niewyraźnie, głucho,
Jak przelot nocnej muszki pogłaska mi ucho...

Zasnąłem we mgle jasnej; z góry i z daleka
Coś błyszczy, choć widocznych kształtów nie obleka;
I czuję promień oczu i uśmiech oblicza!
Gdzież jesteś, samotności córo tajemnicza?

Niechaj się twój duch uwieńczy
Choćby marnym, nikłym ciałem;
Okryj się choć rąbkiem tęczy
Lub jasnym źródła kryształem!

Niechaj twojej blask obsłony
Długo, długo w oczach stoi.
Niech twych ust rajsłkimi tony
Długo, długo słuch się poi!

Świeć mi, słońce, niech zrzenica
Olsnie marząc twoje lica;
Piej, syreno! w lubych głosach
Usnę, marzyć o niebiosach!

Ach, gdzie cię szukać – od ludzi ucieknę,
Ach, bądź ty ze mną, świata się wyrzeknę!

MYŚLIWY CZARNY (*śpiewa*)

Latasz, mój ptaszku, za wysoko latasz,
A czy znasz dzielność swoich skrzydełek?
Spojrzy na ziemię, którą tak pomiatasz
Co tam wabików, co tam sidełek!

MŁODZIENIEC

Hola! słyhać śpiewania, hej! wszelki duch żywy!
Ozwij się, bracie, kto jesteś?

[MYŚLIWY CZARNY]

Myśliwy,

Równej jak ty ochoty, większej trochę mocy.
Obadwa polujemy, chociaż ty w poranki
Jedziesz na świat, ja łowy rozpoczynam w nocy;
Ty czyhasz na zwierzęta, a ja – na kochanki.

GUSTAW

Nie wiem, czy dobre miejsce wybrałeś na łowy,
Ale nie chcę przeszkadzać, więc szczęśliwej drogi.

STRZELEC

Hola, kolego! nie bądź taki raptusowy.
Jest że to grubijaństwo albo skutek trwogi?
Pierwiej mię sam zawołał, a teraz ucieka.

GUSTAW

Ja miałbym ciebie wołać?

STRZELEC

Słyszałem z daleka,

Żeś wołał; kogo? na co? nie wiem doskonale,
Dosyć, że posłyszałem westchnienia i żale.
Jestem jak ty myśliwcem, byłem kiedyś młody,
Znam więc twego rzemiosła i wieku przygody,
Musisz coś mieć na sercu, rozmówmy się szczerze;
Pewnie cię zabłąkało w kniei jakie zwierzę?

Bracie, ja sam błdziłem, znam zwierzęta różne
Skrzydlate i piechotne, czworo- i dwunożne.
A jeśli nic nie gonisz, pewno rad byś gonił?
Ej, czy cię widok pustej torby nie zapłonił?
Wstyd młodemu niczego dotąd nie zastrzelić?
Przyznaj się, ja ci mogę w potrzebie udzielić.

GUSTAW

Dzięki – od nieznajomych nie żądam pomocy,
Nie zabieram przyjaźni tak rychło i w nocy;
I nie rozumiem, co twe słowa mają znaczyć.

STRZELEC

Jeżeliś niepojętny, będę się tłumaczyć.
Jeżeli mi nie ufasz, będę szczerzy z tobą.
Wiedz naprzód, iż gdzie stąpisz, jest wszędzie nad tobą
Pewna istota, która z oczu cię nie traci,
I że chce ciebie w ludzkiej nawiedzić postaci,
Jeżeli to, coś przyrzekł, zachowasz niezłomnie –

GUSTAW

Przebóg co to ma znaczyć... Nie zbliżaj się do mnie.

DZIADY

POEMA

ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

JANOWI SOBOLEWSKIEMU,
CYPRIANOWI DASZKIEWICZOWI,
FELIKSOWI KÓŁAKOWSKIEMU,

SPÓŁUCZNIOM, SPÓŁWIĘŻNIOM, SPÓŁWYGNAŃCOM;
ZA MIŁOŚĆ KU OJCZYŹNIE PRZEŚLADOWANYM,
Z TĘSKNOTY KU OJCZYŹNIE ZMARŁYM
W ARCHANGIELU, NA MOSKWIE, W PETERSBURGU,

NARODOWEJ SPRAWY

MĘCZENNIKOM

Poświęca AUTOR

Polska od pół wieku przedstawia widok z jednej strony tak ciągłego, niezmordowanego i niezłaganego okrucieństwa tyranów, z drugiej tak nieograniczonego poświęcenia się ludu i tak uporczywej wytrwałości, jakich nie było przykładu od czasu prześladowania chrześcijaństwa. Zdaje się, że królowie mają przeczucie Herodowe o jawieniu się nowego światła na ziemi i o bliskim swoim upadku, a lud coraz mocniej wierzy w swoje odrodzenie się i zmartwychwstanie.

Dzieje męczeńskiej Polski obejmują wiele pokoleń i niezliczone mnóstwo ofiar; krwawe sceny toczą się po wszystkich stronach ziemi naszej i po obcych krajach. – Poema, które dziś ogłaszamy, zawiera kilka drobnych rysów tego ogromnego obrazu, kilka wypadków z czasu prześladowania podniesionego przez imperatora Aleksandra.

Około roku 1822 polityka imperatora Aleksandra, przeciwna wszelkiej wolności, zaczęła się wyjaśniać, gruntować i pewny brać kierunek. Wtenczas podniesiono na cały ród polski prześladowanie powszechne, które coraz stawało się gwałtowniejsze i krwawsze. Wystąpił na scenę pamiętny w naszych dziejach senator Nowosilcow. On pierwszy instynktową i zwierzęcą nienawiść rządu rosyjskiego ku Polakom wyrozumował jak zbawienną i polityczną, wziął ją za podstawę swoich działań, a za cel położył zniszczenie polskiej narodowości. Wtenczas całą przestrzeń ziemi od Prosny aż do Dniepru i od Galicji do Bałtyckiego Morza zamknęto i urządzono jako ogromne więzienie. Całą administracją nakręcono jako jedną wielką Polaków torturę, której koło obracali carewicz Konstanty i senator Nowosilcow.

Systematyczny Nowosilcow wziął naprzód na męki dzieci i młodzież, aby nadzieje przyszłych pokoleń w zarodzie samym wytępić. Założył główną kwaterę katostwa w Wilnie, w stolicy naukowej prowincji litewsko-ruskich. Były wówczas między młodzieżą uniwersytetu różne towarzystwa literackie, mające na celu utrzymanie języka i narodowości polskiej, Kongresem Wiedeńskim i przywilejami imperatora zostawionej Polakom. Towarzystwa te, widząc wzmagające się podejrzenia rządu, rozwiązały się wprzód jeszcze, nim ukaz zabronił ich bytu. Ale Nowosilcow, chociaż w rok po rozwiązaniu się towarzystw przybył do Wilna, udał przed imperatorem, że je znalazł działające; ich literackie zatrudnienia wystawił jako wyraźny bunt przeciwko rządowi, uwięził kilkaset młodzieży i ustanowił pod swoim wpływem trybunały wojenne na sądzenie studentów. W tajemnej procedurze rosyjskiej oskarżeni nie mają sposobu bronięcia się, bo często nie wiedzą, o co ich powołano; bo zeznania nawet komisja według woli swojej jedne przyjmuje i w raporcie umieszcza, drugie

uchyla. Nowosilcow, z władzą nieograniczoną od carewicza Konstantego zesłany, był oskarżycielem, sędzią i katem.

Skasował kilka szkół w Litwie, z nakazem, aby młodzież do nich uczęszczającą uważano za cywilnie umarłą, aby jej do żadnych posług obywatelskich, na żadne urzędy nie przyjmowano i aby jej nie dozwolono ani w publicznych, ani w prywatnych zakładach kończyć nauk. Taki ukaz, zabraniający uczyć się, nie ma przykładu w dziejach i jest oryginalnym rosyjskim wymysłem. Obok zamknięcia szkół, skazano kilkudziesięciu studentów do min sybirskich, do taczek, do garnizonów azjatyckich. W liczbie ich byli małoletni, należący do znakomitych rodzin litewskich. Dwudziestu kilku, już nauczycieli, już uczniów uniwersytetu, wysłano na wieczne wygnanie w głąb Rosji jako podejrzanych o polską narodowość. Z tyłu wygnańców jednemu tylko dotąd udało się wydobyć się z Rosji.

Wszyscy pisarze, którzy uczynili wzmiankę o prześladowaniu ówczesnym Litwy, zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego^{6*}. Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży, religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów, kara Boża sięgająca widomie prześladowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń; a opisane zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów.

Kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających skryślił sumiennie, nic nie dodając i nigdzie nie przesadzając. I po cóż by miał dodawać albo przesadzać; czy dla ożywienia w sercu rodaków nienawiści ku wrogom? czy dla obudzenia litości w Europie? – Czymże są wszystkie ówczesne okrucieństwa w porównaniu tego, co naród polski teraz cierpi i na co Europa teraz obojętnie patrzy! Autor chciał tylko zachować narodowi wierną pamiątkę z historii litewskiej lat kilkunastu: nie potrzebował ohydzać rodakom wrogów, których znają od wieków; a do litościwych narodów europejskich, które płakały nad Polską jak niedołążne niewiasty

⁶ Obacz dzieło Leonarda Chodźki: *Tableau de la Pologne ancienne et moderne*. Małe pisemko drukowane w czasie rewolucji w Warszawie pod tytułem *Nowosilcow w Wilnie*, tudzież biografie Tomasza Zana w dykcjonarzach biograficznych i w dziele Józefa Straszewicza *Les Polonais et les Polonaises*.

Jeruzalemu nad Chrystusem, naród nasz przemawiać tylko będzie słowami Zbawiciela:
„Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nade mną, ale nad samymi sobą”.

DZIADY

CZEŚĆ III

LITWA

PROLOG

W WILNIE PRZY ULICY OSTROBRAMSKIEJ, W KLASZTORZE KS.KS.
BAZYLIANÓW, PRZEROBIONYM NA WIĘZIENIE STANU – CELA WIĘŹNIA

*A strzeżcie się ludzi, albowiem was będą
wydawać do siedzącej rady i w bożnicach swoich
was biczować będą.*

Mat. R. X. w. 17

*I do Starostów i do Królów będziecie
wodzeni na świadectwo im i poganom.*

w. 18

*I będziecie w nienawiści u wszystkich dla
imienia mego. Ale kto wytrwa aż do końca,
ten będzie zbawion.*

w. 22

(Więzień wsparty na oknie; śpi)

ANIOŁ STRÓŻ

Niedobre, nieczułe dziecię!

Ziemskie matki twej zasługi,

Prośby jej na tamtym świecie

Strzegły długo wiek twój młody

Od pokusy i przygody:

Jako róża, anioł sadów,

We dnie kwitnie, w noc jej wonie

Bronią senne dziecka skronie

Od zarazy i owadów.

Nieraz ja na prośbę matki

I za pozwoleniem Bożem

Zstępowałem do twej chatki,

Cichy, w cichej nocy cieniu:

Zstępowałem na promieniu

I stawałem nad twym łóżem.

Gdy cię noc ukołysała,

Ja nad marzeniem namiętym

Stałem jak lilija biała,

Schylona nad źródłem mętным.

Nieraz dusza mnie twa zbrzydła,

Alem w złych myśli nacisku

Szukał dobrej, jak w mrowisku

Szukają ziarenek kadzidła.

Ledwie dobra myśl zaświeci,

Brałem duszę twą za rękę,

Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,

I śpiewałem jej piosenkę,

Którą rzadko ziemskie dzieci

Słyszą, rzadko i w uśpieniu,

A zapomną w odecknieniu.

Jam ci przyszłe szczęście głosił,

Na mych rękach w niebo nosił,

A tyś słyszał niebios dźwięki

Jako pjanych uczt piosenki.

Ja, syn chwały nieśmiertelnej,
Przybierałem wtenczas postać
Obrzydłej larwy piekielnej,
By cię straszyć, by cię chłostać;
Tyś przyjmował chłostę Boga
Jak dziki męczarnie wroga.
I dusza twa w niepokoju,
Ale z dumą się budziła,
Jakby w niepamięci zdroju
Przez noc całą męty piła.
I pamiątki wyższych światów
W głąb ciągnąłeś, jak kaskada,
Gdy w podziemną przepaść wpada,
Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Natenczas gorzko płakałem,
Oblicze tuląc w me dłonie;
Chciałem i długo nie śmiałem
Ku niebieskiej wracać stronie,

Bym nie spotkał twojej matki;

Spyta się: „Jaka nowina

Z kuli ziemskiej, z mojej chatki,

Jaki sen był mego syna?”

WIĘZIEŃ

(budzi się strudzony i patrzy w okno – rano)

Nocy cicha, gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta,

Skąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,

Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta!

„Zaszło słońce”, wołają astronomy z wieży,

Ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada;

Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży,

Lecz dlaczego śpią ludzie, żaden z nich nie bada.

Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali –

Nie dziwi słońca dziwna, lecz codzienna głowa;

Zmienia się blask i ciemność jako straż pułkowa,

Ale gdzież są wodzowie, co jej rozkazali?

A sen? – ach, ten świat cichy, głuchy, tajemniczy,

Życie duszy, czyż nie jest warte badań ludzi!

Któż jego miejsce zmierzy, kto jego czas zliczy!

Trwoży się człowiek śpiący – śmieje się, gdy zbudzi.

Mędracy mówią, że sen jest tylko przypomnienie –

Mędracy przekłęci!

Czyż nie umiem rozróżnić marzeń od pamięci?

Chyba mnie wmówią, że moje więzienie

Jest tylko wspomnienie.

Mówią, że senne czucie rozkoszy i kaźni

Jest tylko grą wyobraźni; –

Głupi, zaledwie z wieści wyobraźnią znają

I nam wieszczom o niej bają!

Bywałem w niej, zmierzyłem lepiej jej przestrzenie

I wiem, że leży za jej granicą – marzenie.

Prędzej dzień będzie nocą, rozkosz będzie kaźnią,

Niż sen będzie pamięcią, mara wyobraźnią.

(kładnie się i wstaje znowu – idzie do okna)

Nie mogę spocząć, te sny to straszą, to łudzą:

Jak te sny mię trudzą!

(drzemie)

DUCHY NOCNE

Puch czarny, puch miękki pod głowę podłożmy,

Śpiewajmy, a cicho – nie trwoźmy, nie trwoźmy,

DUCH Z LEWEJ STRONY

Noc smutna w więzieniu, tam w mieście wesele,

U stołów tam muzyki huczą;

Przy pełnych kielichach śpiewają minstrele,

Tam nocą komety się włączą:

Komety z oczkami i z jasnym warkoczem.

(Więzień usypia)

Kto po nich kieruje łódź w biegu

Ten zaśnie na fali, w marzeniu uroczem,

Na naszym przebudzi się brzegu.

ANIOŁ

My uprosiliśmy Boga,

By cię oddał w ręce wroga.

Samotność mędrców mistrzyni:

I ty w samotnym więzieniu,

Jako prorok na pustyni,

Dumaj o twym przeznaczeniu.

CHÓR DUCHÓW NOCNYCH

W dzień Bóg nam dokucza, lecz w nocy wesele

W noc późną próżniaki się tuczą

I w nocy swobodniej śpiewają minstrele,

Szatany piosenek ich uczą.

Kto ranną myśl świętą przyniesie z kościoła,

Kto rozmów pocziwych smak czuje,

Noc-pjawka wyciągnie pobożną myśl z czoła,

Noc-wąż w ustach smaki zatruje.

Śpiewajmy nad sennym, my, nocy synowie,

Usłużmy, aż będzie nam sługą.

Wpadnijmy mu w serce, biegajmy po głowie,

Nasz będzie – ach, gdyby spał długo!

ANIOŁ

Modlono się za tobą na ziemi i w niebie

Wkrótce muszą tyrani na świat puścić ciebie.

WIĘZIEŃ

(budzi się i myśli)

Ty, co bliźnich katujesz, więzisz i wyrzynasz

I uśmiechasz się we dnie, i w wieczór uczujesz,

Czy ty z rana choć jeden sen twój przypominasz,

A jeśliś go przypomniał, czy ty go pojmujesz?

(drzemie)

ANIOŁ

Ty będziesz znowu wolny, my oznajmić przyskli.

WIĘZIEŃ

(budzi się)

Będę wolny? – pamiętam, ktoś mi wczora prawił;

Nie, skądże to, czy we śnie? czy Bóg mi objawił?

(zasypia)

ANIOŁOWIE

Pilnujmy tylko, ach, pilnujmy myśli,

Między myślami bitwa już stoczona.

DUCHY Z LEWEJ STRONY

Podwójmymy napaść.

DUCHY Z PRAWEJ

My podwójmymy straż.

Czy zła myśl wygra, czy dobra pokona,

Jutro się w mowach i w dziełach pokaże;

I jedna chwila tej bitwy wyrzeka

Na całe życie o losach człowieka.

WIĘZIEŃ

Mam być wolny – tak! nie wiem, skąd przyszła nowina,

Lecz ja znam, co być wolnym z łaski Moskwicina.

Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany,

Ale wtłoczą na duszę – ja będę wygnany!

Błąkać się w cudzoziemców, w nieprzyjaciół tłumie,

Ja śpiewak – i nikt z mojej pieśni nie zrozumie

Nic – oprócz niekształtnego i marnego dźwięku.

Łotry, tej jednej broni z rąk mi nie wydarły,

Ale mi ją zepsuto, przełamano w rękę;

Żywy, zostanę dla mej ojczyzny umarły,

I myśl legnie zamknięta w duszy mojej cieniu,

Jako dyjament w brudnym zawarty kamieniu.

(wstaje i pisze węglem z jednej strony)

D. O. M.

GUSTAVUS

OBIIT M.D. CCC. XXIII

CALENDIS NOVEMBRIS

(z drugiej strony)

HIC NATUS EST

CONRADUS

M. D. CCC. XXIII

CALENDIS NOVEMBRIS

(wspiera się na oknie – usypia)

DUCH

Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!

Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze,
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,
I tworzy deszcz rodzajny lub gromy i burze;
Gdybyś wiedział, że ledwie jedną myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
Tak czekają twej myśli – szatan i anioły:
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz;
A ty jak obłok górny, ale błędny, pałasz
I sam nie wiesz, gdzie lecisz, sam nie wiesz, co działasz.
Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwać i podźwigać trony.

AKT I

SCENA 1

KURYTARZ – STRAŻ Z KARABINAMI STOI OPODAL – KILKU WIĘŹNIÓW
MŁODYCH ZE ŚWIECAMI WYCHODZĄ Z CEL SWOICH –

PÓŁNOC

JAKUB

Czy można? – obaczym się?

ADOLF

Straż gorzałkę pije:

Kapral nasz.

JAKUB

Która biła?

ADOLF

Północ niedaleko.

JAKUB

Ale jak nas runt złowi, kaprała zasieką.

ADOLF

Tylko zgaś świecę – widzisz – ogień w okna bije.

(Gaszą świecę)

Runt dzieciństwo! runt musi do wrót długo pukać,

Dać hasło i odebrać, musi kluczów szukać –

Potem – długi kurytarz – nim nas runt zacapi,

Rozbieżym się, drzwi zamkną, każdy padł i chrapi.

(Inni więźnie, wywołani z celi, wychodzą)

ŻEGOTA

Dobry wieczór.

KONRAD

I ty tu!

KS. LWOWICZ

I wy tu?

SOBOLEWSKI

I ja tu.

FREJEND

A wiecie co? Żegoto, idziem do twojej celi,

Świeży więzień dziś wstąpił do nowicyjatu,

I ma komin; tam dobry ogień będziemy mieli,

A przy tym nowość – dobrze widzieć nowe ściany.

SOBOLEWSKI

Żegoto! a jak się masz – i ty tu, kochany!

ŻEGOTA

U mnie cela trzy kroki; was taka gromada.

FREJEND

Wiecie co, pójdźmy lepiej do celi Konrada.

Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła;

Nie słyszeć stamtąd, choć kto śpiewa albo woła.

Myślę dziś głośno gadać i chcę śpiewać wiele;

W mieście pomysła, że to śpiewają w kościele.

Jutro jest Narodzenie Boże. – Eh – koledzy,

Mam i kilka butelek.

JAKUB

Bez kaprała wiedzy?

FREJEND

Kapral poczciwy, i sam z butelek skorzysta,
Przy tym jest Polak, dawny nasz legjonista,
Którego car przerobił gwałtem na Moskala.
Kapral dobry katolik, i więźniom pozwala
Przepędzić wieczór świętej Wigiliji razem.

JAKUB

Gdyby się dowiedzieli, nie uszłoby płazem.

*(Wchodzą do celi Konrada, nakładają ogień w kominie i zapalają świecę. – Cela
Konrada jak w Prologu)*

KS. LWOWICZ

I skądże się tu wziąłeś, Żegoto kochany,
Kiedy?

ŻEGOTA

Dziś mię porwali, z domu, ze stodoły.

KS. LWOWICZ

I ty byłeś gospodarz?

ŻEGOTA

Jaki! zawołany.

Żebyś ty widział moje merynosy, woły!

Ja, co pierwiej nie znałem, co owies, co słoma,

Mam sławę najlepszego w Litwie ekonoma.

JAKUB

Wzięto cię niespodzianie?

ŻEGOTA

Od dawna słyszałem

O jakimś w Wilnie śledztwie; dom mój blisko drogi.

Widać było kibitki latające czwałem

I co noc nas przerażał poczty dźwięk złowrogi.

Nieraz gdyśmy wieczorem do stołu zasiedli

I ktoś żartem uderzył w szklankę noża trzonkiem,

Drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli,

Myśląc, że już zajeżdża feldjeger ze dzwonkiem*.

Lecz nie wiedziałem, kogo szukają i za co,

Nie należałem dotąd do żadnego spisku.

Sądzę, że rząd to śledztwo wynalazł dla zysku,

Że się więźniowie nasi porządnie opłacą

I powrócą do domu.

TOMASZ

Taką masz nadzieję?

ŻEGOTA

Jużci, przecież bez winy w Sybir nas nie wyślą;

A jakąż winę naszą znajdą lub wymyślą?

Milczycie – wytłumaczcież, co się tutaj dzieje,

O co nas oskarżono, jaki powód sprawy?

TOMASZ

Powód – że Nowosilcow przybył tu z Warszawy.

Znasz zapewne charakter pana Senatora.

Wiesz, że już był w niełasce u imperatora,

Że zysk dawniejszych łupiestw przepił i roztrwonił,

Stracił u kupców kredyt i ostatkiem gonił.

Bo pomimo największych starań i zabiegów
Nie może w Polsce spisku żadnego wysledzić,
Więc postanowił świeży kraj, Litwę, nawiedzić,
I tu przeniósł się z całym głównym sztabem szpiegów.
Żeby zaś mógł bezkarnie po Litwie plądrować
I na nowo się w łaskę samodzierżcy wkręcić,
Musi z towarzystw naszych wielką rzecz wysnować
I nowych wiele ofiar carowi poświęcić.

ŻEGOTA

Lecz my się uniewinnim –

TOMASZ

Bronić się daremnie –
I śledztwo, i sąd cały toczy się tajemnie;
Nikomui nie powiedzą, za co oskarżony,
Ten, co nas skarży, naszej ma słuchać obrony;
On gwałtem chce nas karać – nie unikniemy kary,
Został nam jeszcze środek smutny – lecz jedyny:
Kilku z nas poświęcimy wrogom na ofiary,

I ci na siebie muszą przyjąć wszystkich winy.

Ja stałem na waszego towarzystwa czele,

Mam obowiązek cierpieć za was, przyjaciele;

Dodajcie mi wybranych jeszcze kilku braci,

Z takich, co są sieroty, starsi, nieżonaci,

Których zguba niewiele serc w Litwie zakrwawi,

A młodszych, potrzebniejszych z rąk wroga wybawi.

ŻEGOTA

Więc aż do tego przyszło?

JAKUB

Patrz, jak się zasmucił;

Nie wiedział, że dom może na zawsze porzucił.

FREJEND

Nasz Jacek musiał żonę zostawić w połogu,

A nie płacze –

FELIKS KÓŁAKOWSKI

Ma płakać? owszem – chwała Bogu.

Jeśli powije syna, przyszłość mu wywieszczę –

Daj mi no rękę – jestem trochę chiromanta,

Wywróżę tobie przyszłość twojego infanta:

(patrząc na rękę)

Jeśli będzie pocziwy, pod moskiewskim rządem

Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem;

A kto wie, może wszystkich nas znajdzie tu jeszcze –

Lubię synów, to nasi przyszli towarzysze.

ŻEGOTA

Wy tu długo siedzicie?

FREJEND

Skądże datę wiedzieć?

Kalendarza nie mamy, nikt listów nie pisze;

To gorsza, że nie wiemy, póki mamy siedzieć.

SUZIN

Ja mam u okna parę drewnianych firanek

I nie wiem nawet, kiedy mrok, a kiedy ranek.

FREJEND

Ale pytaj Tomasza, patryjarchę biedy –

Największy szczupak, on też pierwszy wpadł do matni;

On nas tu wszystkich przyjął i wyjdzie ostatni,

Wie o wszystkich, kto przybył, skąd przybył i kiedy.

SUZIN

To pan Tomasz! ja poznać nie mogłem Tomasza.

Daj mi rękę, znałeś mnie krótko i niewiele:

Wtenczas tak była droga wszystkim przyjaźń wasza,

Otaczali was liczni, bliźsi przyjaciele;

Nie dojrzałeś mię w tłumie, lecz ja ciebie znałem,

Wiem, coś zrobił, coś cierpiał, żebyś nas ocalił –

Odtąd będę się z twojej znajomości chwalił,

I w dzień zgonu przypomnę – z Tomaszem płakałem.

FREJEND

Ale dla Boga, po co te łzy, płacze, zgroza.

Patrz – Tomasz, gdy był wolny, miał na swoim czole

Wypisano wielkimi literami: „koza”.

Dziś w więzieniu jak w domu, jak w swoim żywiole.

On był na świecie jako grzyby kryptogamy,

Więdniał i schnął od słońca – wsadzony do lochu,

Kiedy my, słoneczniki, bledniejem, zdychamy,

On rozwija się, kwitnie i tyje po trochu.

Ale też wziął pan Tomasz kuracją modną,

Sławną teraz na świecie kuracją głodną.

ŻEGOTA

(do Tomasza)

Głodem ciebie morzono?

FREJEND

Dodawano stawy;

Ale gdybyś ją widział, – widok to ciekawy!

Dość było taką strawą w pokoju zakadzić,

Ażeby myszy wytruć i świerszcze wygładzić.

ŻEGOTA

I jakże ty jeść mogłeś!

TOMASZ

Tydzień nic nie jadłem,

Potem jeść próbowałem, potem z sił opadłem;

Potem jak po truciźnie czułem bole, klucia,

Potem kilka tygodni leżałem bez czucia.

Nie wiem, ile i jakim choroby przebywałem,

Bo nie było doktora, co by je nazywał.

Wreszcie jam wstał, jadłem znowu i do sił przychodziłem,

I zdaje mi się, że się do tej strawy zrodziłem.

FREJEND

(z wymuszoną wesołością)

Wierście mi, tam za kozą same urojenia;

Kto tu był, sekret kuchni i mieszkań przeniknął:

Jeść, mieszkać, źle czy dobrze – skutek przywyknienia.

Pytał raz Litwin, nie wiem, diabła czy Pińczuka*:

„Dlaczego siedzisz w błocie?” – „Siedzę, bom przywyknął”.

JAKUB

Ależ przywyknąć, bracie!

FREJEND

Na tym cała sztuka.

JAKUB

Ja tu siedzę podobno od ósmiu miesięcy,

A tak tęsknię jak pierwszej, nie mniej –

FREJEND

I nie więcej?

Pan Tomasz tak przywyknął, że mu powiew zdrowy

Zaraz piersi obciąża, robi zawrót głowy.

On odwyknął oddychać, nie wychodzi z celi –

Jeśli go stąd wypędzą, koza się opłaci:

Bo on potem ni grosza na wino nie straci,

Tylko łyknie powietrza i wnet się podchmieli*.

TOMASZ

Wolałbym być pod ziemią, w głodzie i chorobie,

Znosić kije i gorsze niżli kije – śledztwo,

Niż tu, w lepszym więzieniu, mieć was za sąsiedztwo. –

Łotry! wszystkich nas w jednym chcą zakopać grobie.

FREJEND

Jak to? więc płaczesz po nas? – masz kogo żałować.

Czy nie mnie? pytam, jaka korzyść z mego życia!

Jeszcze w wojnie – mam jakiś talencik do bicia,

I mógłbym kilku dońcom grzbiety naszpikować.

Ale w pokoju – cóż stąd, że lat sto przeżyję

I będę kłął Moskalów, i umrę – i zgniję.

Na wolności wiek cały byłbym mizerakiem,

Jak proch albo jak wino miernego gatunku –

Dziś, gdy wino zatknięto, proch przybito kłakiem,

W kozie mam całą wartość butli i ładunku.

Wytchnąłbym się jak wino z otwartej konewki;

Spaliłbym jak proch lekko z otwartej panewki.

Lecz jeśli mię w łańcuchach stąd na Sybir wyślą,

Obaczą mię Litwini bracia i pomyślą:

Wszakci to krew szlachecka, to młódź nasza ginie,

Poczekaj, zbójco caru, czekaj, Moskwicinie! –

Taki jak ja, Tomaszu, dałby się powiesić,

Żebyś ty jedną chwilę żył na świecie dłużej:

Taki jak ja – ojczyźnie tylko śmiercią służy;

Umarłbym dziesięć razy, byle cię raz wskrzesić –

Ciebie lub ponurego poetę Konrada,

Który nam o przyszłości, jak Cygan, powiada.–

(do Konrada)

Wierzę, bo Tomasz mówił, żeś ty śpiewak wielki,

Kocham cię, boś podobny także do butelki:

Rozlewasz pieśń, uczuciem, zapalem oddychasz,

Pijem, czuję, a ciebie ubywa – usychasz.

(bierze za rękę Konrada i lży sobie ociera)

(do Tomasza i Konrada)

Wy wiecie, że was kocham, ale można kochać,

Nie płakać. Otóż, bracia, osuszcacie łzy wasze,

Bo jak się raz rozczulę i jak zacznę szlochać,

I herbaty nie zrobię, i ogień zagaszę.

(robi herbatę)

(Chwila milczenia)

KS. LWOWICZ

Prawda, źle przyjmujemy nowego przybysza;

(pokazując Żegotę)

W Litwie zły to znak płakać we dniu inkrutowin* –

Czy nie dosyć w dzień milczym! – he? – jak długa cisza.

JAKUB

Czy nie ma nowin z miasta?

WSZYSCY

Nowin?

KS. LWOWICZ

Żadnych nowin?

ADOLF

Jan dziś chodził na śledztwo, był godzinę w mieście,

Ale milczy i smutny – i jak widać z miny,

Nie ma ochoty gadać.

KILKU Z WIĘŹNIÓW

No, Janie! nowiny?

JAN SOBOLEWSKI

(ponuro)

Niedobre – dziś – na Sybir – kibitek dwadzieście

Wywieźli.

ŻEGOTA

Kogo? – naszych?

JAN

Studentów ze Żmudzi.

WSZYSCY

Na Sybir?

JAN

I paradnie! – było mnóstwo ludzi.

KILKU

Wywieźli!

JAN

Sam widziałem.

JACEK

Widziałeś! – i mego

Brata wywieźli? – wszystkich?

JAN

Wszystkich – do jednego.

Sam widziałem. – Wracając, prosiłem kaprała

Zatrzymać się; pozwolił chwilę. Stałem z dala,

Skryłem się za słupami kościoła. W kościele

Właśnie msza była – ludu zebrało się wiele.

Nagle lud cały runął przeze drzwi nawałem,

Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem,

I kościół tak był pusty, że w głębi widziałem

Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem.

Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębнами stało we dwa rzędy;
W pośrodku nich kibitki. – Patrzę, z placu sady
Policmajster na koniu – z miny zgadłbyś łatwo,
Że wielki człowiek, wielki tryumf poprowadzi:
Tryumf cara północy, zwycięzcy nad – dziatwą. –
Wkrótce znak dano bębniem i ratusz otwarty –
Widziałem ich: za każdym z bagnietem szły warty,
Małe chłopcy, znędzniłe, wszyscy jak rekruci
Z golonymi głowami – na nogach okuci.
Biedne chłopcy! – najmłodszy, dziesięć lat, nieboże,
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może,
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą.
Policmajster przejeżdża, pyta, czego żądał;
Policmajster człek ludzki, sam łańcuch oglądał:
„Dziesięć funtów, zgadza się z przepisaną wagą”. –
Wywiedli Janczewskiego – poznałem, oszpetniał,
Szczerbiał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał.
Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,

Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Ów Cesarz! – okiem dumnym, suchym i pogodnym;
To zdawał się pocieszać spółników niewoli,
To lud żegnał uśmiechem gorzkim, lecz łagodnym,
Jak gdyby im chciał mówić: nie bardzo mię boli.
Wtem zdało mi się, że mnie napotkał oczyma,
I nie widząc, że kaprał za suknią mię trzyma,
Myślił, żem uwolniony – dłoń swą ucałował,
I skinął ku mnie, jakby żegnał i winszował –
I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie,
A kaprał ciągnął gwałtem, ażebym się schował;
Nie chciałem, tylkom stanął bliżej przy kolumnie.
Uważałem na więźnia postawę i ruchy:
On postrzegł, że lud płacze patrząc na łańcuchy,
Wstrząsł nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężył.
A wtem zacięto konia – kibitka runęła –
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła”. –
Wpadli w tłum – ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,

Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydna,

Głowa niezawstydzona, dumna, z dala widna,

Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza

I wystaje z czarnego tyłu głów natłoku,

Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszcza,

Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku,

I zostaną w mej myśli – i w drodze żywota

Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota;

Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie,

Zapomnij o mnie. –

KS. LWOWICZ

Amen za was.

KAŻDY Z WIĘŹNIÓW

I za siebie.

JAN SOBOLEWSKI

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim

Kibitki; ich wsadzano jednego po drugim.

Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie,
Po wojsku – wszystkie twarze pobladły jak trupie;
A w takim tłumie taka była cichość głucha,
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łańcucha.
Dziwna rzecz! wszyscy czuli, jak nieludzka kara:
Lud, wojsko czuje – milczy – tak boją się cara.
Wywiedli ostatniego – zdało się, że wzbraniał,
Lecz on biedny iść nie mógł, co chwila się słaniał,
Z wolna schodził ze schodów i ledwie na drugi
Szczebel stąpił, stoczył się i upadł jak długi;
To Wasilewski, siedział tu w naszym sąsiedztwie;
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.
Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,
Niósł w kibitkę na ręku, ale ręką drugą
Tajemnie łzy ocierał – niósł powoli, długo;
Wasilewski nie zemdlął, nie zwisnął, nie ciężał,
Ale jak padł na ziemię prosto, tak otężał.
Niesiony, jak słup sterczał i jak z krzyża zdjęte
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;

Oczy straszne, zbiele, szeroko rozwarte;
I lud oczy i usta otworzył – i razem
Jedno westchnienie z piersi tysiąca wydarte,
Głębokie i podziemne jęknęło dokoła,
Jak gdyby jęły wszystkie groby spod kościoła.
Komenda je zgłuszyła bębniem i rozkazem:
„Do broni – marsz” – ruszono, a środkiem ulicy
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.
Jedna pusta – był więzień, ale niewidomy;
Rękę tylko do ludu wyciągnął spod słomy,
Siną, rozwartą, trupią; trząsł nią, jakby żegnał;
Kibitka w tłum wjechała; nim bicz tłumy przegnał,
Stanęli przed kościołem; i właśnie w tej chwili
Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.
Spójrzałem w kościół pusty i rękę kapłańską
Widziałem, podnoszącą Ciało i Krew Pańską,
I rzekłem: Panie, Ty, co sądami Piłata
Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata,
Przyjm tę spod sądów cara ofiarę dziecinną,
Nie tak świętą ni wielką, lecz równie niewinną.

(Długie milczenie)

JÓZEF

Czytałem ja o wojnach: w dawnych, dzikich czasach,

Piszą, że tak okropne wojny prowadzono,

Że nieprzyjaciół drzewom nie przepuszczał w lasach

I że z drzewami na pniu zasiewy palono.

Ale car mędrszy, srożej, głębiej Polskę krwawi,

On nawet ziarna zboża zabiera i dławi;

Sam szatan mu metodę zniszczenia tłumaczy.

KÓŁAKOWSKI

I uczniowi najlepszą nagrodę wyznaczy.

(Chwila milczenia)

KS. LWOWICZ

Bracia, kto wie, ów więzień może jeszcze żyje;

Pan Bóg to sam wie tylko i kiedyś odkryje.

Ja jak ksiądz pomodłę się i wam radzę szczerze

Zmówić za męczennika spoczynek pacierze. –

Kto wie, jaka nas wszystkich czeka jutro dola.

ADOLF

Zmówże i po Ksawerym pacierz, jeśli wola;

Wiesz, że on, nim go wzięli, w łeb sobie wystrzelił.

FREJEND

Łebski! – To z nami uczty wesołe on dzielił,

Jak przyszło dzielić biedę, on w nogi ze świata.

KS. LWOWICZ

Nieźle by i za tego pomodlić się brata.

JANKOWSKI

Wiesz, Księżę: dalibógże, drwię ja z twojej wiary:

Coż stąd, choćbym był gorszym niż Turki, Tatary,

Choćbym został złodziejem, szpiegiem, rozbójnikiem,

Austryjakiem, Prusakiem, carskim urzędnikiem;

Jeszcze tak prędko Bożej nie lękam się kary; –

Wasilewski zabity, my tu – a są cary.

FREJEND

Toż chciałem mówić, dobrze, żeś ty za mnie zgrzeszył;

Ale pozwól odetchnąć, bom całkiem osłupiał.

Słuchając tych powieści – człek spłakał się, zgłupiał.

Ej, Feliksie, żebyś ty nas trochę pocieszył!

Ty, jeśli zechcesz, w piekle diabła byś rozśmieszył.

KILKU WIEŻNIÓW

Zgoda, zgoda, Feliksie, musisz gadać, śpiewać,

Feliks ma głos, hej, Frejend, hej, wina nalewać.

ŻEGOTA

Stójcie na chwilę – ja też szlachcic sejmikowy,

Choć ostatni przybyłem, nie chcę cicho siedzieć;

Józef nam coś o ziarnkach mówił – na te mowy

Gospodarz winien z miejsca swego odpowiedzieć.

Lubo car wszystkie ziarna naszego ogrodu

Chce zabrać i zakopać w ziemię w swoim carstwie,

Będzie drożyzna, ale nie bójcie się głodu;

Pan Antoni już pisał o tym gospodarstwie.

JEDEN Z WIĘŹNIÓW

Jaki Antoni?

ŻEGOTA

Znacie bajkę Goreckiego?

A raczej prawdę?

KILKU

Jaką? Powiedz nam, kolego.

ŻEGOTA

Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,

Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu;

I rozkazał aniołom zboże przysposobić

I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.

Przyszedł Adam, znalazł je, obejrzał z daleka

I odszedł; bo nie wiedział, co ze zbożem robić.

Aż w nocy przyszedł diabeł mądry i tak rzecze:

„Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta,
Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość dociecze”.

Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
Napłwał i ziemią nakrył, i przybił kopytem;
Dumny i rad, że Boże zamiary przeniknął,
Całym gardłem rozśmiał się i ryknął, i zniknął.

Aż tu wiosną, na wielkie diabła zadziwienie,
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosy i nasienie.
O wy! co tylko na świat idziecie z północą,
Chytróść rozumem, a złość nazywacie mocą;
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,
Myśli Boga oszukać – oszuka sam siebie.

JAKUB

Brawo Antoni! pewnie Warszawę nawiedzi
I za tę bajkę znowu z rok w kozie posiedzi.

FREJEND

Dobre to – lecz ja znowu do Feliksa wracam.

Wasze bajki – i co mi to za poezyje,

Gdzie muszę głowę trudnić, niżli sens namacam;

Nasz Feliks z piosenkami niech żyje i pije!

(nalewa mu wino)

JANKOWSKI

A Lwowicz co? – on pacierz po umarłych mówi!

Posłuchajcie, zaśpiewam piosnkę Lwowiczowi.

(śpiewa)

Mówcie, jeśli wola czyja,

Jezus Maryja.

Nim uwierzę, że nam sprzyja

Jezus Maryja,

Niech wprzód łotrów powybijają

Jezus Maryja.

Tam car jak dzika bestyja,

Jezus Maryja!

Tu Nowosilcow jak żmija,

Jezus Maryja!

Póki cała carska szyja,

Jezus Maryja,

Póki Nowosilcow pija,

Jezus Maryja,

Nie uwierzę, że nam sprzyja

Jezus Maryja.

KONRAD

Słuchaj, ty! – tych mnie imion przy kielichach wara.

Dawno nie wiem, gdzie moja podziła się wiara,

Nie mieszam się do wszystkich świętych z litaniji.

Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi.

KAPRAL

(podchodząc do Konrada)

Dobrze, że Panu jedno to zostało imię –

Choć szuler zgrany wszystko wyrzuci z kalety,

Nie zgrał się, póki jedną ma sztukę monety.

Znajdzie ją w dzień szczęśliwy, więc z kalety wyjmie,

Więc da w handel na procent, Bóg pobłogosławi,

I większy skarb przed śmiercią, niżli miał, zostawi.

To imię, Panie, nie żart – więc mnie się zdarzyło

W Hiszpaniji, lat temu – o, to dawno było,

Nim car mię tym oszpecił mundurem szelmowskim –

Więc byłem w legijonach, naprzód pod Dąbrowskim,

A potem wszedłem w sławny pułk Sobolewskiego.

SOBOLEWSKI

To mój brat!

KAPRAL

O mój Boże! pokój duszy jego!

Walny żołnierz – tak – zginął od pięciu kul razem;

Nawet podobny Panu. – Otoż – więc z rozkazem

Brata Pana jechałem w miasteczko Lamego –

Jak dziś pamiętam – więc tam byli Francuziska:

Ten gra w kości, ten w karty, ten dziewczęta ściska –

Nuż beczeć – każdy Francuz, jak podpije, beczy.

Jak zaczną tedy śpiewać wszyscy nic do rzeczy,

Siwobrode wásale takie pieśni tłuste!

Aż był wstyd mnie młodemu. – Z rozpusty w rozpustę,
Dalej bredzić na świętych; otoż z większych w większe
Grzechy laząc, nuż bluźnić na Pannę Najświętszą –
A trzeba wiedzieć, że mam patent sodalisa
I z powinności bronię Maryi imienia –
Więc ja im perswadować: Stulcie pysk, do bisa!
Więc umilkli, nie chcąc mieć ze mną do czynienia. –

(Konrad zamyśla się, inni zaczynają rozmowę)

Ale no Pan posłuchaj, co się stąd wyświęci.
Po zwadzie poszliśmy spać, wszyscy dobrze cięci –
Aż w nocy trąbią na koń – zaczęła obóz trwożyć –
Francuzi nuż do czapek, i nie mogą włożyć:
Bo nie było na co wdziać – bo każdego główka
Była ślicznie odcięta nożem jak makówka.
Szelma gospodarz porznął jak kury w folwarku;
Patrzę, więc moja głowa została na karku;
W czapce kartka łacińska, pismo nie wiem czyje:
„Vivat Polonus, unus defensor Mariae”.
Otoż widzisz Pan, że ja tym imieniem żyję.

JEDEN Z WIĘŹNIÓW

Feliksie, musisz śpiewać; nalać mu herbaty

Czy wina. –

FELIKS

Jednogłośnie decydują braty,

Że muszę być wesoły. Chociaż serce pęka,

Feliks będzie wesoły i będzie piosenka.

(śpiewa)

Nie dbam, jaka spadnie kara,

Mina, Sybir czy kajdany;

Zawsze ja wierny poddany

Pracować będę dla cara.

W minach kruszec kując młotem,

Pomyślę: ta mina szara

To żelazo – z niego potem

Zrobi ktoś topór na cara.

Gdy będę na zaludnieniu,

Pojmę córeczkę Tatara;

Może w moim pokoleniu

Zrodzi się Palen dla cara.

Gdy w kolonijach osiedę,

Ogród zorzę, grzędy skopię,

A na nich co rok siać będę

Same lny, same konopie.

Z konopi ktoś zrobi nici –

Srebrem obwita nić szara

Może się kiedyś poszczyci,

Że będzie szarfą dla cara.

CHÓR

(śpiewa)

Zrodzi się Palen dla cara

ra – ra – ra – ra – ra – ra –

SUZIN

Lecz cóż to Konrad cicho zasępiony siedzi,

Jakby obliczał swoje grzechy do spowiedzi?

Feliksie, on nie słyszał zgoła twoich pieni;

Konradzie – patrzcie – zbladnął, znowu się czerwieni.

Czy on słaby?

FELIKS

Stój cicho – zgadłem, że tak będzie –

O, my znamy Konrada, co to znaczy, wiemy.

Północ jego godzina. – Teraz Feliks niemy,

Teraz, bracia, piosenkę lepszą posłyszemy.

Ale muzyki trzeba – ty masz flet, Frejendzie,

Graj dawną jego nutę, a my cicho stójmy

I kiedy trzeba, głosy do chóru nastrójmy.

JÓZEF

(patrząc na Konrada)

Bracia! duch jego uszedł i błądzi daleko;

Jeszcze nie wrócił – może przyszłość w gwiazdach czyta,

Może się tam z duchami znajomymi wita,

I one mu powiedzą, czego z gwiazd docieką.

Jak dziwne oczy – błyszczy ogień pod powieką,

A oko nic nie mówi i o nic nie pyta;

Duszy teraz w nich nie ma; błyszczą jak ogniska

Zostawione od wojska, które w nocy cieniu

Na daleką wyprawę ruszyło w milczeniu –

Nim zgasną, wojsko wróci na swe stanowiska.

(Frejend probuje różnych nut)

KONRAD

(śpiewa)

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna –

Krew poczuła – spod ziemi wygląda –

I jak upiór powstaje krwi głodna,

I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda.

Tak! zemsta, zemsta, zemsta na wroga,

Z Bogiem i choćby mimo Boga!

(Chór powtarza)

I Pieśń mówi: ja pójdę wieczorem,

Naprzód braci rodaków gryźć muszę,

Komu tylko zapuszczę kły w duszę,

Ten jak ja musi zostać upiorem.

Tak! zemsta, zemsta, *etc. etc.*

Potem pójdziem, krew wroga wypijem,

Ciało jego rozrąbiem toporem,

Ręce, nogi goździami przybijem,

By nie powstał i nie był upiorem.

Z duszą jego do piekła iść musim,

Wszyscy razem na duszy usiędziem,

Póki z niej nieśmiertelność wydusim,

Póki ona czuć będzie, gryźć będziem.

Tak! zemsta, zemsta, *etc. etc.*

KS. LWOWICZ

Konradzie, stój, dla Boga, to jest pieśń pogańska.

KAPRAL

Jak on okropnie patrzy – to jest pieśń szatańska.

(przestają śpiewać)

KONRAD

(z towarzyszeniem fletu)

Wznoszę się! lecę! tam, na szczyt opoki –

Już nad plemieniem człowieczem,

Między proroki.

Stąd ja przyszłości brudne obłoki

Rozcinam moją żrenicą jak mieczem;

Rękami jak wichrami mgły jej rozdzieram –

Już widno – jasno – z góry na ludy spozieram –

Tam księga sybilińska przyszłych losów świata –

Tam, na dole!

Patrz, patrz, przyszłe wypadki i następne lata,

Jak drobne ptaki, gdy orła postrzegą,

Mnie, orła na niebie!

Patrz, jak do ziemi przypadają, biegą,

Jak się stado w piasek grzebie –

Za nimi, hej, za nimi oczy me sokole,

Oczy błyskawice,

Za nimi szpony moje! – dostrzegę je, schwycę.

Cóż to? jaki ptak powstał i roztacza pióra,

Zasłania wszystkich, okiem mię wyzywa;

Skrzydła ma czarne jak burzliwa chmura,

A szerokie i długie na kształt tęczy łuku.

I niebo całe zakrywa –

To kruk olbrzymi – ktoś ty? – ktoś ty, kuku?

Ktoś ty? – jam orzeł! – patrzy kruk – myśl moję płacze!

Ktoś ty? – jam gromowładny! –

Spójrzył na mnie – w oczy mię jak dymem uderzył,

Myśli moje miesza – płacze –

KILKU WIEŻNIÓW

Co on mówi! – co – co to – patrz, patrz, jaki blady.

(porywają Konrada)

Uspokój się...

KONRAD

Stój! stójcie! – jam się z krukiem zmierzył –

Stójcie – myśli rozplączę –

Pieśń skończę – skończę –

(słania się)

KS. LWOWICZ

Dosyć tych pieśni.

INNI

Dosyć.

KAPRAL

Dosyć – Pan Bóg z nami –

Dzwonek! – słyszycie dzwonek? – runt, runt pod bramami!

Gaście ogień – do siebie!

JEDEN Z WIEŹNIÓW

(patrząc w okno)

Bramę odemknęli –

Konrad osłabł – zostawcie – sam, sam jeden w celi!

(Uciekają wszyscy)

SCENA II

IMPROWIZACJA

KONRAD

(po długim milczeniu)

Samotność – cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?

Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,

Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?

Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi:

Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie;

Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,

A słowa myśl pochłona i tak drżą nad myślą,

Jak ziemia nad połknietą, niewidzialną rzeką:

Z drżenia ziemi czyż ludzie głab nurtów docieką,

Gdzie pędzi, czy się domyśla? –

Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,

Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach;

Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,

Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach,

Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!

I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,

Choć szklanne weźmie skrzydła, ciebie nie dolata,

Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy;

Domyśla się, że to słońca,

Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.

Wam, pieśni, ludzkie oczy, uszy niepotrzebne;
Płyńcie w duszy mej wnętrzościach,
Świećcie na jej wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.

Ty Boże, ty naturo! dajcie posłuchanie. –
Godna to was muzyka i godne śpiewanie. –

Ja mistrz!
Ja mistrz wyciągam dłonie!
Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie
Na gwiazdach jak na szklanych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem
Kręcę gwiazdy moim duchem;
Milion tonów płynie; w tonów miljonie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę, i w akordy, i we strofy płaczę,
Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach. –

Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie,
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie.

Sam śpiewam, słyszę me śpiewy –
Długie, przeciągłe jak wichru powiewy,
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,

Jęczą żalem, ryczą burzą,
I wieki im głucho wtórzają;
A każdy dźwięk ten razem gra i płonie,
Mam go w uchu, mam go w oku,
Jak wiatr, gdy fale kołysze,
Po świstach lot jego słyszę,
Widzę go w szacie obłoku.

Boga, natury godne takie pienie!
Pieśń to wielka, pieśń-tworzenie;
Taka pieśń jest siła, dzielność,
Taka pieśń jest nieśmiertelność!

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,

Cóż Ty większego mogłeś zrobić – Boże?

Patrz, jak te myśli dobywam sam z siebie,

Wcielam w słowa, one lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą;
Już dalekie, czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję:
Kocham was, me dzieci wieszcie!
Myśli moje! gwiazdy moje!
Czucia moje! wichry moje!

W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję,

Wy wszystkie moje!

Depczę was, wszyscy poeci,

Wszyscy mędrce i proroki,

Których wielbił świat szeroki.

Gdyby chodzili dotąd śród swych dusznych dzieci,

Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski

Słyszeli, czuli i za słuszne znali,

I wszystkie sławy każdodziennego blaski

Promieniami na wieńcach swoich zapalali,

Z całą pochwałą muzyką i wieńców ozdobą,

Zebraną z wieków tyla i z pokoleń tyla;

Nie czuliby własnego szczęścia, własnej mocy,

Jak ja dziś czuję w tej samotnej nocy:

Kiedy sam śpiewam w sobie,

Śpiewam samemu sobie.

Tak! – czuły jestem, silny jestem i rozumny. –

Nigdy nie czułem, jak w tej chwili –

Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,

Dziś poznam, czym najwyższy, czyim tylko dumny;

Dziś jest chwila przeznaczona,

Dziś najsilniej wyteżę duszy mej ramiona –

To jest chwila Samsona,

Kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny.

Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra –

Potrzeba mi lotu,

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,

Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórcą i natura.

I mam je, mam je, mam – tych skrzydeł dwoje;

Wystarczą – od zachodu na wschód je rozszerzę,

Lewym o przeszłość, prawym o przyszłość uderzę.

I dojdę po promieniach uczucia – do Ciebie!

I zajrzę w uczucia Twoje,

O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie.

Jam tu, jam przybył, widzisz, jaka ma potęga,

Aż tu moje skrzydło sięga;

Lecz jestem człowiek, i tam, na ziemi me ciało;

Kochałem tam, w ojczyźnie, serce me zostało. –

Ale ta miłość moja na świecie,

Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku

Jak owad na róży kwiecie,

Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.

Ja kocham cały naród! – objąłem w ramiona

Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,

Przycisnąłem tu do łona,

Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;

Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,

Chcę nim cały świat zadziwić –
Nie mam sposobu i tu przyszedłem go dociec.
Przyszedłem zbrojny całą myśli władzą,
Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,
Śledziła chód Twych planet, głąb morza rozwarła –
Mam więcej, tę Moc, której ludzie nie nadadzą,
Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa
Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa.

I Mocą tej nie wziąłem z drzewa edeńskiego,
Z owocu wiadomości złego i dobrego;
Nie z ksiąg ani z opowiadań,
Ani z rozwiązania zadań,
Ani z czarodziejskich badań;
Jam się twórcą urodził:
Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje,
Boś i Ty po nie nie chodził:
Masz, nie boisz się stracić – i ja się nie boję.
Czyś Ty mi dał, czy wziąłem, skąd i Ty masz – oko
Bystre, potężne: w chwilach mej siły – wysoko
Kiedy na chmur spójrzę szlaki
I wędrowne słyszę ptaki,
Żeglujące na ledwie dostrzeżonym skrzydle;
Zechcę i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle –

Stado pieśń żałosną dzwoni,
Lecz póki ich nie puszczę, Twój wiatr ich nie zgoni.
Kiedy spójrzę w kometę z całą mocą duszy,
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy.

Tylko ludzie skazitelni,
Marni, ale nieśmiertelni,
Nie służą mi, nie znają – nie znają nas obu,
Mnie i Ciebie.

Ja na nich szukam sposobu
Tu, w niebie.

Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wyrzucić na ludzkie dusze,
Jak ptaki i jak gwiazdy rządę mym skinieniem,
Tak bliźnich rozrządzać muszę.

Nie bronią – broń broń odbije,
Nie pieśniami – długo rosną,
Nie nauką – prędko gnije,
Nie cudami – to zbyt głośno.

Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie;
Rządzić jak Ty wszystkimi zawsze i tajemnie:

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tym się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną.

Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,

Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa; –

Mówią, że Ty tak władasz!

Wiesz, żem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył;

Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,

Ja bym mój naród jak pieśń żywą stworzył,

I większe niżli Ty zrobiłbym dziwo,

Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!

Daj mi rząd dusz! – Tak gardzę tą martwą budową,

Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,

Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo

Nie mogłoby jej wnet zwalić.

Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wolę

Ścisnął, natężył i razem wyświecił,

Może bym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił –

Bo jestem nieśmiertelny! i w stworzenia kole

Są inni nieśmiertelni – wyższych nie spotkałem. –

Najwyższy na niebiosach! – Ciebie tu szukałem,

Ja najwyższy z czujących na ziemnym padole.

Nie spotkałem Cię dotąd – żeś Ty jest, zgaduję;

Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję –

Ja chcę władzy, daj mi ją lub wskaż do niej drogę!

O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem,

I wierzę; lecz co oni mogli, to ja mogę,

Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz,

Ja chcę duszami władać, jak Ty nimi władasz.

(Długie milczenie)

(z ironią)

Milczysz, milczysz! wiem teraz, jam Cię teraz zbadał,

Zrozumiałem, coś Ty jest i jakeś Ty władał. –

Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością,

Ty jesteś tylko mądrością.

Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą;

Myślą, nie sercem, składy broni Twojej wyśledzą –

Ten tylko, kto się wrył w księgi,

W metal, w liczbę, w trupie ciało,

Temu się tylko udało

Przywłaszczyć część Twojej potęgi.

Znajdzie truciznę, proch, parę,

Znajdzie blaski, dymy, huki,

Znajdzie prawność i złą wiarę

Na mędrki i na nieuki.

Myślom oddałeś świata użycie,

Serca zostawiasz na wiecznej pokucie,

Dałeś mnie najkrótsze życie

I najmocniejsze uczucie. –

(Milczenie)

Czym jest me czucie?

Ach, iskrą tylko!

Czym jest me życie?

Ach, jedną chwilką!

Lecz te, co jutro rykną, czym są dzisiaj gromy?

Iskrą tylko.

Czym jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?

Jedną chwilką.

Z czego wychodzi cały człowiek, mały światek?

Z iskry tylko.

Czym jest śmierć, co rozprószy myśli mych dostatek?

Jedną chwilką.

Czym był On, póki światy trzymał w swoim łonie?

Iskrą tylko.

Czym będzie wieczność świata, gdy On go pochłonie?

Jedną chwilką.

Głos z lewej strony

Wsiąść muszę

Na duszę

Jak na koń,

Goń! goń

W cwał, w cwał!

Głos z prawej

Co za szal!

Brońmy go, brońmy,

Skrzydłami osłońmy

Skroń

Chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala –

Stwarza i zwala.

Śmiało, śmiało! tę chwilę rozdlużmy, rozdalmy,

Śmiało, śmiało! tę iskrę rozniećmy, rozpalmy –

Teraz – dobrze – tak. Jeszcze raz Ciebie wyzywam,

Jeszcze po przyjacielsku duszę Ci odkrywam.

Milczysz – wszakżeś z Szatanem walczył osobiście?

Wyzywam Cię uroczyście.

Nie gardź mną, ja nie jeden, choć sam tu wzniesiony.

Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,

Mam ja za sobą wojska, i mocy, i trony;

Jeśli ja będę bluźnierca,

Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niżli Szatan:

On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca.

Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem;

Kiedyś mnie wydarł osobiste szczęście,

Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,

Przeciw Niebu ich nie wzniosłem.

Głos

Rumaka

Przedzierzgnę w ptaka.

Orlimi pióry

Do góry!

W lot!

Głos

Gwiazdo spadająca!

Jaki szal

W otchłań cię strąca!

Teraz duszą jam w moję ojczyznę wcielony;

Ciałem połknąłem jej duszę,

Ja i ojczyzna to jedno.

Nazywam się Milijon – bo za miliony

Kocham i cierpię katusze.

Patrzę na ojczyznę biedną,

Jak syn na ojca wplecionego w koło;

Czuję całego cierpienia narodu,

Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.

Cierpię, szaleję – a Ty mądrze i wesoło

Zawsze rządzisz,

Zawsze sądzisz,

I mówią, że Ty nie błędzisz!

Słuchaj, jeśli to prawda, com z wiarą synowską

Słyszał, na ten świat przychodząc,

Że Ty kochasz; – jeżeliś Ty kochał świat rodząc,

Jeśli ku zrodzonemu masz miłość ojcowską; –

Jeżeli serce czułe było w liczbie zwierząt,

Któreś Ty w arce zamknął i wyrwał z powodzi; –

Jeśli to serce nie jest potwór, co się rodzi

Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi; –

Jeśli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd,

Jeśli w milion ludzi krzyczących „ratunku!”

Nie patrzysz jak w zawiłe zrównanie rachunku; –

Jeśli miłość jest na co w świecie Twym potrzebną

I nie jest tylko Twoją omyłką leczebną...

Głos

Orla w hydrę!

Oczy mu wydrę.

Do szturmu dalej!

Dymi! pali!

Ryk, grzmot!

Głos

Z jasnego słońca

Kometo błędu!

Gdzie koniec twego pędu?

Bez końca, bez końca!

Milczysz! – Jam Ci do głębi serce me otworzył,
Zaklinam, daj mi władzę – jedna część jej licha,
Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha,
Z tą jedną cząstką ileż ja bym szczęścia stworzył!
Milczysz! – nie dasz dla serca, dajże dla rozumu. –
Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu,
Że Cię znam lepiej niżli Twoje archanioły,
Wart, żebyś ze mną władzą dzielił się na poły –
Jeślim nie zgadł, odpowiedz – milczysz! ja nie kłamię.
Milczysz i ufasz, że masz silne ramię –
Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamie –
Widzisz to moje ognisko – uczucie,
Zbieram je, ściskam, by mocniej pałało,
Wbijam w żelazne woli mej okucie,
Jak nabój w burzące działo.

Głos

Ognia! pal!

Głos

Litość! żal!

Odezwij się – bo strzelę przeciw Twojej naturze;

Jeśli jej w gruzy nie zburzę,

To wstrząsnę całym państw Twoich obszarem;

Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia,

Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia:

Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale...

GŁOS DIABŁA

Carem!

(Konrad staje chwilę, słania się i pada)

DUCHY Z LEWEJ STRONY

PIERWSZY

Depe, chwytaj!

DRUGI

Jeszcze dysze.

PIERWSZY

Omdlał, omdlał, a nim

Przebudzi się, dodusim.

DUCH Z PRAWEJ STRONY

Precz – modlą się za nim.

DUCH Z LEWEJ

Widzisz, odpędzają nas.

PIERWSZY Z LEWEJ

Ty bestyjo głupia!

Nie pomogłeś mu słowo ostatnie wyrzygnąć,

Jeszcze o jeden stopień w dumę go podźwignąć!

Chwila dumy – ta czaszka już byłaby trupia.

Być tak blisko tej czaszki! i nie można deptać!

Widzieć krew w jego ustach, i nie można chleptać!

Najgłupszy z diabłów, tyś go wypuścił w pół drogi.

DRUGI

Wróci się, wróci –

PIERWSZY

Precz stąd – bo wezmę na rogi

I będę cię lat tysiąc niosł, i w paszczę samą

Szatana wbiję.

DRUGI

Cha! cha! straszysz, ciociu! mamó!

Ja dziecko będę płakać –

(płacze)

masz –

(uderza rogiem)

A co, nie chybił?

Leć i nie wyłaż z piekła – aha, do dna przybił –

Rogi me, brawo, rogi –

PIERWSZY

Sacrédiu!

DRUGI

(uderza)

Masz.

PIERWSZY

W nogi.

(Słysząc stukanie i klucz we drzwiach)

DRUGI DUCH

Pop, klecha, przyczajmy się i schowajmy rogi.

SCENA III

WCHODZĄ KAPRAL, BRACISZEK BERNARDYN PIOTR, JEDEN WIĘZIEŃ

KS. PIOTR

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha.

WIĘZIEŃ

On zapewne osłabiał – Konradzie! – nie słucha.

KS. PIOTR

Pokój temu domowi, pokój grzesznikowi.

WIĘZIEŃ

Dla Boga, on osłabiał, patrz – miota się, dąsa,

To jest wielka choroba, patrz, on usta kąsa.

(Ks. Piotr modli się)

KAPRAL

(do Więźnia)

Mój Panie, idźcie sobie, a nas tu zostawcie.

WIĘZIEŃ

Ale dla Boga! próżnych modlitew nie prawcie;

Podjmijcie go z ziemi, połoźmy do łóżka;

Księżu Piotrze.

KS. PIOTR

Tu zostaw.

WIĘZIEŃ

Oto jest poduszka.

(kładnie Konrada)

E, ja wiem, co to znaczy. – Czasem nań napada
Takie szaleństwo: długo śpiewa, potem gada,
A jutro zdrów jak ryba. Lecz kto wam powiedział,
Że on osłabiał?

KAPRAL

Panie, ot byś cicho siedział.

Niech brat Piotr pomodli się nad waszym kolegą;
Bo ja wiem, że tu było – coś – tu niedobrego.
Gdy runt odszedł, w tej celi hałas posłyszałem,
Spójrzę dziurką od klucza, a co tu widziałem,
To mnie wiedzieć. Pobiegłem do mojego kmotra,
Bo on człowiek pobożny, do braciszka Piotra –
Patrz na tego chorego: niedobrze się dzieje –

WIĘZIEŃ

Dalibóg nie pojmuje – nic, i oszaleję.

KAPRAL

Oszaleć? – Ej, Panowie, strzeżcie się, Panowie!

U was usta wymowne, wiele nauk w głowie,

A patrzcie, głowa mądra w prochu się taczała,

I z tych ust, tak wymownych, patrzaj – piana biała.

Słyszałem, co on śpiewał, ja słów nie pojąłem,

Lecz było coś u niego w oczach i nad czołem.

Wierz mi, że z tym człowiekiem niedobrze się dzieje –

Byłem ja w legijonach, nim wzięto w rekruty,

Brałem szturmem fortece, klasztory, reduty;

Więcej dusz wychodzących z ciała ja widziałem,

Niżli Waćpan przeczytał ksiązek w życiu całym:

A to jest rzecz niemała widzieć, jak człek kona,

Widziałem ja na Pradze księży zarzynanych,

I w Hiszpaniji żywcem z wieży wyrzucanych;

Widziałem matek szablą rozrywane łona,

I dzieci konające na kozackich pikach,

I Francuzów na śniegu, i Turków na palu;

I wiem, co w konających widać męczennikach,

A co w złodzieju, zbójcy, Turku lub Moskalu.

Widziałem rozstrzelanych, co patrzyli śmieje

W rurę broni, nie chcieli na oczy zasłony;

A jak padli na ziemię, widziałem w ich ciele

Strach, co za życia wstydem i pychą więziony,

Wyszedł z trupa jak owad i pełzał wokoło:

Gorszy strach niż ten, który tchórza w bitwie nęka,

Taki strach, że dość spójrzeć na zamarłe czoło,
Aby widzieć, że dusza dąsa się i lęka,
Gardzi bolem i cierpi, i wieczna jej męka.
A więc, mój Panie, myślę, że twarz umarłego
Jest jak patent wojskowy do świata przyszłego;
I poznasz zaraz, jak on tam będzie przyjęty,
W jakiej randze i stopniu, święty czy przeklęty. –
A więc tego człowieka i pieśń, i choroba,
I czoło, i wzrok wcale mi się nie podoba.
Otoż Waćpan spokojnie idź do swojej celi,
My z bratem Piotrem będziemy przy chorym siedzieli,

(Więzień odchodzi)

KONRAD

Przepaść – tysiąc lat – pusto – dobrze – jeszcze więcej!
Ja wytrzymam i dziesięć tysięcy tysięcy –
Modlić się? – tu modlitwa nie przyda się na nic –
I byłaż taka przepaść bez dna i bez granic? –
Nie wiedziałem – a była.

KAPRAL

Słyszysz, jak on szlocha.

KS. PIOTR

Synu mój, tyś na sercu, które ciebie kocha.

(do Kaprala)

Wyjdź stąd i patrz, ażeby nikt tędy nie chodził

I póki stąd nie wyjdę, nikt mi nie przeszkodził.

(Kapral odchodzi)

KONRAD

(zrywa się)

Nie! – oka mi nie wydarł! mam to silne oko,

Widzę stąd, i stąd nawet, choć ciemno – głęboko –

Widzę ciebie, Rollison – bracie, cóż to znaczy?

I tyś w więzieniu, zbity, krwią cały zbryzgany,

I ciebie Bóg nie słuchał, i tyś już w rozpaczy;

Szukasz noża, próbujesz głowę tłuc o ściany: –

„Ratunku!” – Bóg nie daje, ja ci dać nie mogę;

Oko mam silne, spójrzę, może cię zabiję –

Nie – ale ci pokażę okiem – śmierci drogę.

Patrz, tam masz okno, wybij, skocz, zlec i złam szyję,

I ze mną tu leć w głębie, w ciemność – lećmy na dół –

Otchłań – otchłań ta lepsza niżli ziemi padół;

Tu nie ma braci, matek, narodów – tyranów –

Pójdź tu.

KS. PIOTR

Duchu nieczysty, znam cię po twym jadzie,

Znowuś tu, najchytrzejszy ze wszystkich szatanów,
Znowu w dom opuszczony leziesz, brzydki gadzie.
Tyś wpełznął w jego usta, na zgubęś tu wpełznął,
W Imię Pańskie jam ciebie pojmał i ochelznął.
Exorciso...

DUCH

Stój, nie kluj – stój, odstęp od progu,
Wyjdę –

KS. PIOTR

Nie wyjdiesz, aż się upodoba Bogu.
Lew z pokolenia Judy tu Pan – on zwycięża:
Sieć na lwa zastawiłeś i w twym własnym wnuku
Złowiłeś się – Bóg ciebie złowił w tym grzeszniku.
W jego ustach chcę tobie najsroższy cios zadać:
Kłamco, ja tobie każę, musisz prawdę gadać.

DUCH

Parle-moi donc français, mon pauvre capucin,
J'ai pu dans le grand monde oublier mon latin.
Mais étant saint, tu dois avoir le don des langues –
Vielleicht sprechen Sie deutsch, was murmeln Sie so bang –
What it is – Cavalleros, rispondero Io.

KS. PIOTR

Ty to z ust jego wrzeszczysz, stujęczyczna żmijo.

DUCH

C'est juste, dans ce jeu, nous sommes de moitié,

Il est savant, et moi, diable de mon métier.

J'étais son précepteur et je m'en glorifie,

En sais-tu plus que nous? parle – je te défie.

KS. PIOTR

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

DUCH

Ale stój, stój, mój Księżu, stój, już dosyć tego;

Tylko, Księżuniu, nie męcz na próżno – czyś szatan

Żeby tak męczyć!

KS. PIOTR

Ktoś ty?

DUCH

Lukrecy, Lewiatan,

Voltaire, *Alter Fritz*, *Legio sum*.

KS. PIOTR

Coś widział?

DUCH

Zwierza.

KS. PIOTR

Gdzie?

DUCH

W Rzymie.

KS. PIOTR

Nie słucha mię – wróćmy do pacierza.

(modli się)

DUCH

Ale słucham.

KS. PIOTR

Gdzieś widział więźnia?

DUCH

Mówię, w Rzymie –

KS. PIOTR

Kłamiesz.

DUCH

Księżę, na honor, na kochanki imię,
Mej kochanki czarniutkiej, co tak do mnie wzdycha –
A wiesz ty, jak się zowie moja luba? – Pycha.
Jakiś ty nieciekawyy!

KS. PIOTR

(do siebie)

Przeciwią się duchy;
Upokórzmy się Panu i zróbmy akt skruchy.
(modli się)

DUCH

Ale co tam masz robić, ja sam stąd wyruszę,
Przyznaję się, że wlałem niezgrabnie w tę duszę.
Tu mnie kole – ta dusza jest jak skóra jeża,
Włożyłem ją na wywrót, kolcami do kiszek.
(Ksiądz modli się)
Aleś bo i ty majster, choć prosty braciszek;
Osły, powinni cię obrać za papieża.
Głupstwo stawiaj w kościele na przód, jak kolumny,
A cię kryją w kątku: świecznik, gwiazdę blasku!

KS. PIOTR

Tyranie i pochlebco, i podły, i dumny,
Żebyś pierś ugryzł, u nóg wleciesz się po piasku.

DUCH

(śmiejąc się)

Aha! gniewasz się, pacierz przerwałeś – *da capo*;
Żebyś sam widział, jak ty śmiesznie kręcisz łapą –
Istny niedźwiadek, gdy się broni od komarów! –
On trzepie swoje, – no więc – dosyć już tych swarów;
Znam twoją moc i chcę się tobie wypowiadać,
Będę ci o przeszłości i przyszłości gadać. –
A wiesz ty, co o tobie mówią w całym mieście?

(Ksiądz modli się)

A wiesz ty, co to będzie z Polską za lat dwieście? –
A wiesz, dlaczego tobie przeor tak nie sprzyja? –
A wiesz, w Apokalipsie co znaczy bestyja? –
Milczy i trzepie – oczy aż strach we mnie wlepił.
Powiedz, Księżuniu, czegoś do mnie się uczepił?
Co ja winien, że takie mam odbierać chłosty,
Czy ja jestem król diabłów – wszak ja diabeł prosty.
Zważ, czy to prawnie sługę ukarać za pana
Wszakże ja tu przyszedłem z rozkazu Szatana;
Trudno mu się tłumaczyć, bo z nim nie brat za brat,
Jestem jako Kreishauptmann, Gubernator, Landrat –

Każą duszę brać w areszt, biorę, sadzę w ciemność;
Zdarza się przy tym duszy jaka nieprzyjemność,
Ale czyż z mojej winy? – jam ślepe narzędzie;
Tyran szelma da ukaz, pisze: „Niech tak będzie” –
Czyż to mnie miło męczyć? – mnie samemu męka. –
Ach –

(wzdycha)

jak to źle być czułym. Ach, serce mi pęka.

Wierz mi: gdy pazurami grzesznika odzieram
Nieraz ogonem, ach! ach! – łyzy sobie ocieram.

(Ksiądz modli się)

A wiesz, że jutro będziesz bity jako Haman?

KS. PIOTR

In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti, Amen.

Ego te exorciso, spiritus immunde –

DUCH

Księżę, stój – słucham – gadam – stój – jedną sekundę!

KS. PIOTR

Gdzie jest nieszczęsny więzień, co chce zgubić duszę? –

Milczysz – *Exorciso te –*

DUCH

Gadam, gadam – muszę.

KS. PIOTR

Kogo widziałeś?

DUCH

Więźnia.

KS. PIOTR

Jakiego?

DUCH

Grzesznika.

KS. PIOTR

Gdzie? –

DUCH

Tam, w drugim klasztorze.

KS. PIOTR

W jakim?

DUCH

Dominika.

Ten grzesznik już przeklęty, prawem mnie należy.

KS. PIOTR

Kłamiesz.

DUCH

On już umarły.

KS. PIOTR

Kłamiesz.

DUCH

Chory leży.

KS. PIOTR

Exorciso te –

DUCH

Gadam, gadam, skaczę – śpiewam –

Tylko nie klij – jak gadać? – dusisz – ledwie ziewam.

KS. PIOTR

Mów prawdę.

DUCH

Grzesznik chory, lata bez pamięci

I jutro rano szyję niezawodnie skręci.

KS. PIOTR

Kłamiesz.

DUCH

Poświadczy godny świadek, kmotr Belzebub,

Pytaj go, męcz – niewinnej duszy mojej nie gub.

KS. PIOTR

Jak ratować grzesznika?

DUCH

Bodajeś zdechł, klecho,

Nie powiem.

KS. PIOTR

Exorciso –

DUCH

Ratować pociechą.

KS. PIOTR

Dobrze, gadaj wyraźnie – czego mu potrzeba?

DUCH

Mam chrypkę, nie wymówię.

KS. PIOTR

Mów!

DUCH

Mój panie! królu!

Daj odpocząć –

KS. PIOTR

Mów, czego potrzeba –

DUCH

Księżulu,

Ja tego nie wymówię.

KS. PIOTR

Mów!

DUCH

He – Wina – Chleba –

KS. PIOTR

Rozumiem, Chleba Twego i Krwi Twojej, Panie –

Pójdę, i daj mi spełnić Twoje rozkazanie.

(do Ducha)

A teraz zabierz z sobą twe złości i błędy,

Skąd wszedłeś i jak wszedłeś, idź tam i tamtędy.

(Duch uchodzi)

KONRAD

Dźwigasz mię! – ktoś ty? – strzeż się, sam spadniesz w te doły.

Podaje rękę – lećmy – w górę jak ptak lecę –

Mile oddycham wonią – promieniami świecę.

Któż mi dał rękę? – dobrzy ludzie i anioły;

Skądże litość, wam do mnie schodzić do tych dołów?

Ludzie? – Ludźmi gardziłem, nie znałem aniołów.

KS. PIOTR

Módl się, bo strasznie Pańska dotknęła cię ręka.

Usta, którymiś wieczny Majestat obraził,

Te usta zły duch słowy szkaradnymi skaził;

Słowa głupstwa, najsroższa dla mądrych ust męka,

Oby ci policzone były za pokutę,

Obyś o nich zapomniał –

KONRAD

Już są tam – wykute.

KS. PIOTR

Obyś, grzeszniku, nigdy sam ich nie wyczytał,
Oby cię o znaczenie ich Bóg nie zapytał –
Módl się; myśl twoja w brudne obleczone słowa,
Jak grzeszna, z tronu swego strącona królowa,
Gdy w żebraczej odzieży, okryta popiołem,
Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem,
Znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje
I większym niżli pierwszej blaskiem zajaśnieje.
Usnął –

(klęka)

– Twe miłosierdzie, Panie, jest bez granic.

(pada krzyżem)

Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik stary,
Sługa już spracowany i niezgodny na nic.
Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary,
A ja za jego winy przyjmę wszystkie kary.
On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe imię.
Módlmy się, Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie.

(modli się)

(W bliskim kościele, za ścianą, zaczynają śpiewać pieśń Bożego Narodzenia. Nad Księdzem Piotrem Chór aniołów na nutę „Anioł pasterzom mówił”)

CHÓR ANIOŁÓW

(głosy dziecinne)

Pokój temu domowi,

Spoczynek grzesznikowi.

Sługo! sługo pokorny, cichy,

Wniosłeś pokój w dom pychy.

Pokój temu domowi.

ARCHANIÓŁ PIERWSZY

(na nutę „Bóg nasz ucieczką”)

Panie, on zgrzeszył, przeciwko Tobie zgrzeszył on bardzo.

ARCHANIÓŁ DRUGI

Lecz płaczą nad nim, modlą się za nim Twoi Anieli.

ARCHANIÓŁ PIERWSZY

Tych zdepc, o Panie, tych złam, o Panie, którzy Twe święte sądy pogardzą.

ARCHANIÓŁ DRUGI

Ale tym daruj, co świętych sądów Twych nie pojęli.

ANIÓŁ

Kiedym z gwiazdą nadziei

Leciał świecąc Judei,

Hymn Narodzenia śpiewali anieli:

Mędracy nas nie widzieli,

Królowie nie słyszeli.

Pastuszkowie postrzegli

I do Betlejem biegli:

Pierwsi wieczną mądrość witali,

Wieczną władzę uznali,

Biedni, prości i mali.

ARCHANIÓŁ PIERWSZY

Pan, gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu Aniołów, sług swych, obaczył,

Duchom wieczystym, aniołom czystym, Pan nie przebaczył.

Runęły z niebios, jak deszcz gwiazdzisty, aniołów tłumy,

I deszczem lecą za nimi co dzień mędrców rozumy.

CHÓR ANIOŁÓW

Pan maluczkim objawia,

Czego wielkim odmawia.

Litość! litość! nad synem ziemi,

On był między wielkimi,

Litość nad synem ziemi.

ARCHANIÓŁ DRUGI

On sądów Twoich nie chodził badać jako ciekawy,

Nie dla mądrości ludzkiej on badał ani dla sławy.

ARCHANIÓŁ PIERWSZY

On Cię nie poznał, on Cię nie uczył, Panie nasz wielki!

On Cię nie kochał, on Cię nie wezwał, nasz Zbawicielu.

ARCHANIÓŁ DRUGI

Lecz on szanował imię Najświętszej Twojej Rodzicielki,

On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu.

ANIÓŁ

Krzyż w złoto oprawiony

Zdobi królów korony.

Na piersi mędrców błyszczy jak zorze,

A w duszę wnieść nie może:

Oświeć, oświeć ich, Boże!

CHÓR ANIOŁÓW

My tak ludzi kochamy,

Tak z nimi być żądamy!

Wynani od mędrków i króli,

Prostaczek nas przytuli,

Nad nim dzień, noc śpiewamy.

CHÓR ARCHANIÓŁÓW

Podnieś tę głowę, a wstanie z prochu, niebios dosięże,

I dobrowolnie padnie, i uczci krzyża podnoże;

Wedle niej cały świat u stóp krzyża niechaj polęże

I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy Pan nasz, o Boże!

OBADWA CHÓRY

Pokój, pokój prostocie,

Pokornej, cichej cnocie!

Sługo, sługo pokorny, cichy,

Wniosłeś pokój w dom pychy,

Pokój grzesznemu sierocie.

SCENA IV

DÓM WIEJSKI PODE LWOWEM

POKÓJ SYPJALNY – EWA, MŁODA PANIENKA, WBIEGA, POPRAWIA KWIATY
PRZED OBRAZEM NAJŚWIĘTSZEJ PANNY, KLĘKA I MODLI SIĘ – WCHODZI
MARCELINA

MARCELINA

Modlisz się jeszcze dotąd! – czas spać, północ biła.

EWA

Jużem się za ojczyznę moję pomodliła,

Jak nauczono, i za ojca, i za mamę;

Zmówmy jeszcze i za nich pacierze też same.

Choć oni tak daleko, ale to są dziatki

Jednej ojczyzny naszej, Polski, jednej matki.

Litwin, co dziś tu przybył, uciekł od Moskali;

Strach słyszeć, co tam oni z nimi wyrabiali.

Zły car kazał ich wszystkich do ciemnicy wsadzić

I jak Herod chce całe pokolenie zgładzić.
Litwin ten bardzo ojca naszego zasmucił,
Poszedł w pole i dotąd z przechadzki nie wrócił.
Mama na mszę posłała i obchód żałobny,
Bo wielu z nich umarło. – Ja pacierz osobny
Zmówię za tego, co te piosenki ogłosił;

(pokazując książkę)

I on także w więzieniu, jak nam gość donosił.
Te piosenki czytałam; niektóre są piękne –
Jeszcze pójdę, przed Matką Najświętszą uklęknę,
Pomodłę się za niego; kto wie, czy w tej chwili
Ma rodziców, żeby się za nim pomodlili.

(Marcelina odchodzi)

(Ewa modli się i usypia)

ANIÓŁ

Lekko i cicho, jak lekkie sny zlećmy.

CHÓR ANIOŁÓW

Braciszka miłego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami, gwiazdami, twarz mu oświećmy,
Śpiewając i grając latajmy wiankiem,
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem.
Rączęta liliowe za liście splećmy,

Za róże kwitnące czoła rozniećmy,
Spod wstążek gwiazdzistych włos nasz rozwiążmy,
Rozpuśćmy w promienie, rozlejmy w wonie;
Kwitnącym, pachnącym, żyjącym wiankiem
Kochanka naszego piersi okrążmy,
Kochanka naszego otulmy skronie.
Śpiewając i grając latajmy wiankiem,
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem.

EWA

WIDZENIE

Deszczyk: tak świeży, miły, cichy jak rosa,
I skąd ten deszczyk – tak czyste niebiosy,
Jasne niebiosy! –
Krople zielone, kraśne – trawki, równianki,
Róże, lilije, wianki
Obwijają mię wkoło. – Ach, jaki sen wonny,
Sen lekki, słodki – oby był dozgonny.
Rózo błyszcząca, słoneczna,
Lilijo przezczysta, mleczna!
Ty nie z ziemi – tam rosłaś, nad białym obłokiem.
Narcyzie, jakim śnieżnym patrzysz na mnie okiem;
A te błękitne kwiaty pamiątek,
Jak źrenice niewiniątek –
Poznałam – kwiatki moje – sama polewałam,

W moim ogródku wczora nazbierałam,
I uwieńczyłam Matki Boskiej skronie,
Tam nad łóżkiem na obrazku.
Widzę – to Matka Boska – cudowny blasku!
Pogląda na mnie, bierze wianek w dłonie,
Podaje Jezusowi, a Jezus dziecię
Z uśmiechem rzuca na mnie kwiecie –
Jak wypiękniały kwiatki – jak ich wiele – krocie,
A wszystkie w przelocie
Szukają na powietrzu siebie,
Moje kochanki!
I same plotą się w wianki.
Jak tu mnie miło, jak w niebie;
Jak tu mnie dobrze, mój Boże;
Niech mię na zawsze ten wianek otoczy,
Niech zasnę, umrę, patrząc w te róże,
W te białe narcyzu oczy.

Róża, ta róża żyje!
Wstąpiła w nią dusza,
Główką lekko rusza,
Jaki ogień z niej bije.
To rumieniec żyjący – jak zorzy wniście.
Śmieje się, jak na uśmiech rozwija liście,
Roztula między liściem dwoje ust z koralu,

Mówi, coś mówi – jak cicho, jak skromnie.

Co ty, rózo, szepcesz do mnie?

Zbyt cicho, smutnie – czy to głos żalu?

Skarżysz się, żeś wyjęta z rodzinnej trawki?

Nie wzięłam ciebie dla mojej zabawki,

Jam tobą skronie Matki Najświętszej wieńczyła,

Jam po spowiedzi wczora łzami cię poila;

A z twoich ust koralu

Wylatują promieniem

Isierka po iskierce –

Czy taka światłość jest twoim pieniem?

Czego chcesz, rózo miła?

RÓŻA

Weź mnie na serce.

ANIOŁOWIE

Rozwiążmy, rozplećmy anielski wianek.

RÓŻA

Odwijam me skrzydła, wyplatam czoło.

ANIOŁOWIE

My w niebo do domu lećmy wesoło.

RÓŻA

Ja będę ją bawił, nim błysnie ranek,

Na sennym jej sercu złożę me skronie:

Jak święty apostoł, Pański kochanek,

Na boskim Chrystusa spoczywał łonie.

SCENA V

CELA KSIĘDZA PIOTRA

KS. PIOTR

(modli się leżąc krzyżem)

Panie! czymże ja jestem przed Twoim obliczem? –

Prochem i niczem;

Ale gdym Tobie moję nicość wypowiadał,

Ja, proch, będę z Panem gadał.

WIDZENIE

Tyran wstał – Herod! – Panie, cała Polska młoda

Wydana w ręce Heroda.

Co widzę – długie, białe, dróg krzyżowych biegi,

Drogi długie – nie dojrzeć – przez puszcze, przez śniegi –

Wszystkie na północ – tam, tam w kraj daleki

Płyną jak rzeki.

Płyną: ta droga prosto do żelaznej bramy.

Tamta jak strumień wpadła pod skałę, w te jamy,

A tamtej ujście w morzu. – Patrz! po drogach leci

Tłum wozów – jako chmury wiatrami pędzone,

Wszystkie tam w jedną stronę.

Ach, Panie! to nasze dzieci,

Tam na północ – Panie, Panie!

Takiż to los ich – wygnanie!

I dasz ich wszystkich wygubić za młodu,

I pokolenie nasze zatracisz do końca? –

Patrz! – ha – to dziecię uszło – rośnie – to obrońca!

Wskrzesiciel narodu,

Z matki obcej; krew jego dawne bohaterzy,

A imię jego będzie czterdzieści i cztery.

Panie! czy przyjscia jego nie raczysz przyśpieszyć?

Lud mój pocieszyć? –

Nie! lud wycierpi. – Widzę ten motłoch – tyrany,

Zbójce – biegą – porwali – mój Naród związany

Cała Europa wlecze, nad nim się urąga –

„Na trybunał!” – Tam zgaja niewinnego wciąga.

Na trybunale gęby, bez serc, bez rąk: sędzie –

To jego sędzie!

Krzyczą: „Gal, Gal sądzić będzie!”

Gal w nim winy nie znalazł i – umywa ręce,

A króle krzyczą: „Potęp i wydaj go męce;

Krew jego spadnie na nas i na syny nasze;

Krzyżuj syna Maryi, wypuść Barabasze;
Ukrzyżuj – on cesarza koronę znieważa,
Ukrzyżuj – bo powiemy, żeś ty wróg cesarza”.
Gał wydał – już porwali – już niewinne skronie
Zakrwawione, w szyderskiej, cierniowej koronie,
Podnieśli przed świat cały – i ludy się zbiegły;
Gał krzyczy: „Oto naród wolny, niepodległy!”

Ach, Panie, już widzę krzyż – ach, jak długo, długo
Musi go nosić – Panie, zlituj się nad sługą.
Daj mu siły, bo w drodze upadnie i skona –
Krzyż ma długie na całą Europę ramiona,
Z trzech wyschłych ludów, jak z trzech twardych drzew ukuty. –
Już wleką; już mój Naród na tronie pokuty –
Rzekł: „Pragnę” – Rakus octem, Borus żółcią poi,
A matka Wolność u nóg zapłakana stoi.
Patrz – oto żołdak Moskał z kopiją przyskoczył
I krew niewinną mego narodu wytoczył.
Cóżeś zrobił, najgłupszy, najsroższy z siepaczy!
On jeden poprawi się, i Bóg mu przebaczy,

Mój kochanek! już głowę konającą spuścił,
Wołając: „Panie, Panie, za coś mię opuścił!”
On skonał!

(Słysząc chóry aniołów – daleki śpiew wielkanocnej pieśni – na końcu słysząc:

„Alleluja! Alleluja”)

Ku niebu, on ku niebu, ku niebu ulata!

I od stóp jego wionęła

Biała jak śnieg szata –

Spadła – szeroko – cały świat się w nią obwinął.

Mój kochanek na niebie, sprzed oczu nie zginął.

Jako trzy słońca błyszczą jego trzy źrenice,

I ludom pokazuje przebitą prawicę.

Ktoż ten mąż? – To namiestnik na ziemskim padole.

Znałem go – był dzieckiem – znałem.

Jak urósł duszą i ciałem!

On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę.

Mąż straszny – ma trzy oblicza,

On ma trzy czoła.

Jak baldakim rozpięta księga tajemnicza

Nad jego głową, osłania lice.

Podnożem jego są trzy stolice.

Trzy końce świata drżą, gdy on woła;

I słyszę z nieba głosy jak gromy:

To namiestnik wolności na ziemi widomy!

On to na sławie zbuduje ogromy

Swego kościoła!

Nad ludy i nad króle podniesiony;
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony;
A życie jego – trud trudów,
A tytuł jego – lud ludów;
Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy,
A imię jego czterdzieści i cztery.
Sława! sława! sława!
(zasypia)

ANIOŁOWIE

(schodzą widomie)

Usnął. – Wyjmijmy z ciała duszę, jak dziecinę
Senną z kolebki złotej, i zmysłów sukienkę
Lekko zwłeczmy; ubierzmy w światło jak jutrzeńkę
I lećmy. Jasną duszę nieśmy w niebo trzecie,
Ojcu naszemu złożyć na kolanach dziecię;
Niech uświęci sennego ojcowską pieśczętą,
A przed ranną modlitwą duszę wrócim życiu,
I znowu w czystych zmysłów otulim powiciu,
I znowu złożym w ciało, jak w kolebkę złotą.

SCENA VI

POKÓJ SYPIALNY WSPANIAŁY – SENATOR OBRACA SIĘ NA ŁOŻU I WZDYCHA –
DWÓCH DIABŁÓW NAD GŁOWĄ

DIABEŁ I

Spił się, a nie chce spać,
Muszę tak długo stać,
Łajdaku, cicho leż!
Czy go tam kole jeż?

DIABEL II

Syp mu na oczy mak.

DIABEL I

Zasnął, wpadnę jak zwierz.

DIABEL II

Jako na wróbla ptak.

OBADWAJ

Duszę do piekła wlec,
Wężami smagać, piec.

BELZEBUB

Wara!

DWAJ DIABŁY

Coś ty za kmotr?

BELZEBUB

Belzebub.

DWAJ DIABŁY

No, i coż?

BELZEBUB

Zwierzyzny mi nie płosz.

DIABEŁ I

Ale gdy zaśnie łotr,

Do mnie należy sen?

BELZEBUB

Jak ujrzy noc i żar,

Srogość i mnogość kar,

Zlęknie się naszych scen;

Przypomni jutro sen,

Może poprawić się,

Jeszcze daleko zgon.

DIABEŁ II

(wyciągając szpony)

Pozwól zabawić się –

Co ty o niego drżysz,

Gdy poprawi się on,

Ja każę święcić się
I wezmę w ręce krzyż.

BELZEBUB

Jak zbyt nastraszysz raz,
Gotów przypomnieć sen,
Gotów oszukać nas,
Wypuścisz ptaka z rąk.

DIABEL I

(pokazując sennego)

Ależ braciszek ten,
Ten mój najmiłszy syn,
Będzież on spał bez mąk?
Nie chcesz? – ja męczę sam.

BELZEBUB

Łotrze, a znasz mój czyn?
Od Cara zwierzchność mam!

DIABEL I

Pardon – coż każesz Waść?

BELZEBUB

Możesz na duszę wpaść,

Możesz ją w pychę wzdać,
A potem w hańbę pchnąć,
Możesz w pogardzie wlec
I szyderstwami siec,
Ale o piekle cyt!
My lećmy – fit, fit, fit.

(odlatuje)

DIABEL I

Więc ja za duszę cap;
Aha, łajdaku, drżysz!

DIABEL II

Tylko ją bierz do łap
Lekko, jak kotek mysz.

WIDZENIE SENATORA

SENATOR

(przez sen)

Pismo! – to do mnie – reskrypt Jego Carskiej Mości!
Własnoręczny – ha! ha! ha! – rubli sto tysięcy.
Order! – gdzie – lokaj, przypnij – tu. Tytuł książęcy!
A! – a! – Wielki Marszałku; a! – pękna z zazdrości.

(przewraca się)

Do Cesarza! – przedpokój – oni wszyscy stoją;

Nienawidzą mnie wszyscy, kłaniają się, boją.

Marszałek – *Grand Contrôleur* – ledwie poznasz, w masce.

Ach, jakie lube szemrania,

Dokoła lube szemrania:

Senator w łasce, w łasce, w łasce, w łasce, w łasce.

Ach, niech umrę, niech umrę wśród tego szemrania,

Jak wśród nałożnic moich łoskotania...

Każdy się kłania...

Jestem duszą zebrania...

Patrzę na mnie, zazdroszczą – nos w górę zadzieram.

O rozkoszy! umieram, z rozkoszy umieram!

(przewraca się)

Cesarz! – Jego Imperatorska Mość – a! Cesarz wchodzi,

A! – Co? – nie patrzy! zmarszczył brwi – spójrzył ukosem?

Ach! – Najjaśniejszy Panie – ach! – nie mogę głosem –

Głos mi zamarł – ach! dreszcz, pot, – ach! dreszcz zębów, chłodzi. –

Ach, Marszałek! – co? do mnie odwraca się tyłem.

Tyłem, a! senatory, dworskie urzędniki!

Ach, umieram, umarłem, pochowany, zgniłem,

I toczą mię robaki, szyderstwa, żarciki.

Uciekają ode mnie. Ha! jak pusto! głucho.

Szambelan szelma, szelma! patrz, wyszczyrza zęby –

Dbrum – ten uśmiech jak pająk wleciał mi do gęby.

(spluwa)

Jaki dźwięk! – to kalambur – o brzydka mucho;

(opędza koło nosa)

Lata mi koło nosa

Jak osa.

I epigramy, żarciki, przytyki,

Te szmery – ach, to świerszcze wlaży mi w ucho:

Moje ucho, moje ucho!

(wytrząsa palcem ucho)

Jaki szmer! – kamerjunktury świszczą jak puszczyki,

Damy ogonem skrzeczą jak grzechotniki,

Jaki okropny szmer! śmiechy! wrzaski:

Senator wypadł z łaski, z łaski! z łaski, z łaski.

(pada z łóżka na ziemię)

DIABŁY

(zstępują widomie)

Teraz duszę ze zmysłów wydrzem, jak z okucia

Psa złego; lecz nie całkiem, nałożym kaganiec,

Na wpół zostawim w ciele, by nie tracił czucia;

Drugą połowę wlecemy aż na świata kraniec,

Gdzie się doczesność kończy, a wieczność zaczyna,

Gdzie z sumnieniem graniczy piekielna kraina;

I złe psisko uwiężem tam, na pograniczu:

Tam pracuj, ręko moja, tam świstaj, mój biczu.

Nim trzeci kur zapieje, musim z tej męczarni

Wrócić zmordowanego, skalanego ducha;

Znowu przykuć do zmysłów jako do łańcucha,
I znowu w ciele zamknąć jako w brudnej psiarni.

SCENA VII

SALON WARSZAWSKI

KILKU WIELKICH URZĘDNIKÓW, KILKU WIELKICH LITERATÓW. KILKA DAM
WIELKIEGO TONU, KILKU JENERAŁÓW I SZTABSOFICERÓW; WSZYSCY
INCOGNITO PIJĄ HERBATĘ PRZY STOLIKU. BLIŻEJ DRZWI KILKU MŁODYCH
LUDZI I DWÓCH STARYCH POŁAKÓW. STOJĄCY ROZMAWIAJĄ Z ŻYWOŚCIĄ –
TOWARZYSTWO STOLIKOWE MÓWI PO FRANCUSKU, PRZY DRZWIACH PO
POLSKU

PRZY DRZWIACH

ZENON NIEMOJEWSKI

(do Adolfa)

To i u was na Litwie toż samo się dzieje?

ADOLF

Ach, u nas gorzej jeszcze, u nas krew się leje!

NIEMOJEWSKI

Krew?

ADOLF

Nie na polu bitwy, lecz pod ręką kata,

Nie od miecza, lecz tylko od pałki i bata.

(Rozmawiają ciszej)

PRZY STOLIKU

HRABIA

To bal był taki świetny, i wojskowych wiele?

FRANCUZ

Ja słyszałem, że było pusto jak w kościele.

DAMA

Owszem, pełno –

HRABIA

I świetny?

DAMA

O tym mówić długo.

KAMERJUNKIER

Służono najniezgrabniej, choć z liczną usługą;

Nie miałem szklanki wina, ułamku pasztetu,

Tak zawałono całe wniście do bufetu.

DAMA I

W sali tańców zgoła nic nie ugrupowano,

Jak na raucie angielskim po nogach deptano.

DAMA II

Bo to był tylko jeden z prywatnych wieczorów.

SZAMBELAN

Przepraszam, bal proszony – mam dotąd bilety.

(wyjmuje inwitacje i pokazuje, wszyscy przekonywają się)

DAMA I

Tym gorzej; pomieszano grupy, toalety,

Nie można było zgoła ocenić ubiorów.

DAMA II

Odtąd jak Nowosilcow wyjechał z Warszawy,

Nikt nie umie gustownie urządzić zabawy:

Nie widziałam pięknego balu ani razu;

On umiał ugrupować bal na kształt obrazu.

(Słysząc między mężczyznami śmiech)

DAMA I

Śmiejcie się, Państwo, mówcie, co się wam podoba,

A była to potrzebna w Warszawie osoba.

PRZY DRZWIACH

JEDEN Z MŁODYCH

Cichowski uwolniony?

ADOLF

Ja znam Cichowskiego.

Właśnie byłem, chciałem się dowiedzieć od niego,

Żeby między naszymi na Litwie rozgłosić.

ZENON NIEMOJEWSKI

My powinniśmy z sobą łączyć się i znosić;

Inaczej, rozdzieleni, wszyscy zginiem marnie.

(Gadają ciszej)

MŁODA DAMA

(przy nich stojąca)

A jakie on okropne wytrzymał męczarnie!

(Rozmawiają)

PRZY STOLIKU

JENERAŁ

(do Literata)

Ale przeczytaj wreszcie – dajże się uprosić.

LITERAT

Ja nie umiem na pamięć.

JENERAŁ

Zwykłeś z sobą nosić.

Masz przy sobie pod frakiem – a – widzę okładki;

Damy chcą słyszeć.

LITERAT

Damy? – a! – to literatki.

Więcej wierszy francuskich na pamięć umieją

Niżli ja.

JENERAŁ

(idzie mówić z Damami)

Tylko niechaj Panie się nie śmieją.

DAMA

Macie robić lekturę? – przepraszam – choć umiem

Po polsku, ale polskich wierszy nie rozumiem.

JENERAŁ

(do Oficera)

Ma racyję po części, bo nudne po trochu.

(pokazuje na Literata)

Opiewa tysiąc wierszy o sadzeniu grochu.

(do Literata)

Czytajże, jeśli ciebie nie będziem słuchali –

To patrz –

(pokazując na drugiego Literata)

ten nam gazeciarz swe rymy wypali.

Śliczna byłaby wszystkim słuchaczom przysługa.

Patrz, jak się on zaprasza, jak śmieje się, mruga;

I usta już otworzył jak zdechłą ostrygę,

I oko zwrócił wielkie i słodkie jak figę.

LITERAT

(do siebie)

Wychodzą –

(do Jenerała)

Długie wiersze, ja bym piersi strudził.

JENERAŁ

(do Oficera)

Dobrze, że nie chce czytać, boby nas zanudził.

MŁODA DAMA

(oddzielając się od grupy młodszej, ode drzwi)

A to jest rzecz okropna –

(do stolika)

Słuchajcie, Panowie!

(do Adolfa)

Niechaj Pan tym ichmościom o Cichowskim powie.

OFICER WYŻSZY

Cichowski wypuszczony?

HRABIA

Przesiedział lat tyle

W więzieniu –

SZAMBELAN

Ja myślałem, że leżał w mogile.

(do siebie)

O takich rzeczach słuchać nie bardzo bezpiecznie,

A wyjść w środku powieści byłoby niegrzecznie.

(wychodzi)

HRABIA

Wypuszczony? – to dziwna.

ADOLF

Nie znaleźli winy.

MISTRZ CEREMONII

Ktoż tu mówi o winach – są inne przyczyny:

Kto długo był w więzieniu, widział, słyszał wiele –

A rząd ma swe widoki, ma głębokie cele,

Które musi ukrywać. – To jest rzecz rządowa –

Tajniki polityczne – myśl gabinetowa.

To się tak wszędzie dzieje – są tajniki stanu –

Ale Pan z Litwy – a! a! – to jest dziwno Panu.

Panowie na wsi, to tak chcecie o cesarstwie

Wiedzieć wszystko, jak gdyby o swym gospodarstwie.

(uśmiecha się)

KAMERJUNKIER

Pan z Litwy, i po polsku? nie pojmuję wcale –

Ja myślałem, że w Litwie to wszystko Moskale.

O Litwie, dalibógże! mniej wiem niż o Chinach –

„Constitutionnel” coś raz pisał o Litwinach,

Ale w innych gazetach francuskich ni słowa.

PANNA

(do Adolfa)

Niech Pan opowie – to rzecz ważna, narodowa.

STARY POLAK

Znałem starych Cichowskich, poczciwa rodzina;

Oni są z Galicyi. Słyszałem, że syna

Wzięli i zamorzyli – mój krewny daleki!

Nie widziałem go dawno – o ludzie! o wieki!

Trzy pokolenia przeszły, jak nas przemoc dręczy;

Męczyła ojców naszych – dzieci, wnuków męczy!

ADOLF

(Wszyscy zbliżają się i słuchają)

Znałem go będąc dzieckiem; był on wtenczas młody,
Żywy, dowcipny, wesoły i sławny z urody;
Był duszą towarzystwa; gdzie się tylko zjawił,
Wszystkich opowiadaniem i żartami bawił;
Lubił dzieci i często brał mię na kolana,
U dzieci miał on tytuł „wesołego pana”.
Pamiętam włosy jego – nieraz ręce moje
Plątałem w jasnych włosów kędzierzawe zwoje.
Wzrok pamiętam – musiał być wesoły, niewinny,
Bo kiedy patrzył na nas, zdawał się dziecinny;
I patrząc na nas, wabił nas do swej żrenicy,
Patrząc nań, myśleliśmy, żeśmy rowiennicy.
On wtenczas miał się żenić; pomnę, że przynosił
Dzieciom dary swej przyszłej i na ślub nas prosił.
Potem długo nie przyszedł, i mówiono w domu,
Że nie wiedzieć gdzie zniknął, umknął po kryjomu;
Szuka rząd, ale śladu dotąd nie wytropił;
Na koniec powiedziano: zabił się, utopił.
Policja dowodem stwierdziła domysły,
Znaleziono płaszcz jego nad brzegami Wisły;
Przyniesiono płaszcz żonie – poznała – on zginął;

Trupa nie znaleziono – i tak rok przeminął.

Dlaczegoż on się zabił? – pytano, badano,

Żałowano, płakano, wreszcie – zapomniano.

I minęło dwa lata. – Jednego wieczora

Więźniów do Belwederu wiedziono z klasztoru.

Wieczór ciemny i dżdżysty; nie wiem, czy przypadkiem,

Czy umyślnie ktoś był tej procesyi świadkiem;

Może jeden z odważnych warszawskich młodzieńców,

Którzy śledzą pobytu i nazwiska jeńców:

Warty stały w ulicach, głucho było w mieście –

Wtem ktoś zza muru krzyknął: „Więżnie, kto jesteście?”

Sto ozwało się imion – wśród nich dosłyszano

Jego imię, i żonie nazajutrz znać dano.

Pisała i latała, prosiła, błagała,

Lecz prócz tego imienia – nic nie posłyszała.

I znowu lat trzy przeszło bez śladu, bez wieści.

Lecz nie wiedzieć kto szerzył w Warszawie powieści,

Że on żyje, że męczą, że przyznać się wzbrania

I że dotąd nie złożył żadnego wyznania;

Że mu przez wiele nocy spać nie dozwolano,

Że karmiono śledziami i pić nie dawano;

Że pojono opijum, nasyłano strachy,

Larwy; że łośkotano w podeszwy, pod pachy –

Lecz wkrótce innych wzięto, o innych zaczęli

Mówić; żona płakała, wszyscy zapomnieli.

Aż niedawno przed domem żony w nocy dzwonią –

Otworzono: Oficer i żandarm pod bronią,

I więzień. – On – każą dać pióra i papieru;

Podpisać, że wrócony żywy z Belwederu.

Wzięli podpis, i palcem pogroziwszy: „Jeśli

Wydasz...” – i nie skończyli; jak weszli, odeszli.

To on był. – Biegę widzieć, przyjaciel ostrzega:

„Nie idź dzisiaj, bo spotkasz pod wrotami szpiega”.

Idę nazajutrz, w progu policyjskie draby;

Idę w tydzień, on sam mię nie przyjmuje, słaby.

Aż niedawno za miastem w pojeździe spotkałem –

Powiedziano, że to on, bo go nie poznałem.

Utył, ale to była okropna otyłość:

Wydeła go zła strawa i powietrza zgniłość;

Policzki mu nabrzmiały, poźółkły i zbladły,

W czole zmarszczki pół wieku, włosy wszystkie spadły.

Witam, on mię nie poznał, nie chciał mówić do mnie,

Mówię, kto jestem, patrzy na mnie bezprzytomnie.

Gdym dawnej znajomości szczegóły powiadał,

Wtenczas on oczy we mnie utopił i badał.

Ach! wszystko, co przecierpiał w swych męczarniach dziennych,

I wszystko, co przemyślił w swych nocach bezsennych,

Wszystko poznałem w jednej chwili z jego oka:

Bo na tym oku była straszliwa powłoka.
Żrenice miał podobne do kawałków szklanych,
Które zostają w oknach więzień kratowanych,
Których barwa jest szara jak tkanka pajęcza,
A które, patrząc z boku, świecą się jak tęcza,
I widać w nich rdzę krwawą, iskry, ciemne plamy,
Ale ich okiem na wskrós przebić nie zdołamy:
Straciły przezroczystość, lecz widać po wierzchu,
Że leżały w wilgoci, w pustkach, w ziemi, w zmierzchu.

W miesiąc poszedłem znowu, myślałem, że zdoła
Rozpatrzeć się na świecie i pamięć przywoła.
Lecz tyle tysięcy dni był pod śledztwa próbą,
Tyle tysięcy nocy rozmawiał sam z sobą,
Tyle lat go badały mękami tyrany,
Tyle lat otaczały słuch mające ściany;
A całą jego było obroną – milczenie,
A całym jego były towarzystwem – cienie;
Że już się nie udało wesołemu miastu
Zgładzić w miesiąc naukę tych lat kilkunastu.
Słońce zda mu się szpiegiem, dzień donosicielem,
Domowi jego strażą, gość nieprzyjacielem.
Jeśli do jego domu przyjdzie kto nawiedzić,
Na klamki trzask on myśli zaraz: idą śledzić;
Odwraca się i głowę na rękę opiera,

Zdaje się, że przytomność, moc umysłu zbiera:
Ścina usta, by słowa same nie wypadły,
Oczy spuszcza, by szpiegi z oczu co nie zgadły.
Pytany, myśląc zawsze, że jest w swym więzieniu,
Ucieka w głąb pokoju i tam pada w cieniu,
Krzycząc zawsze dwa słowa: „Nic nie wiem, nie powiem!”
I te dwa słowa – jego stały się przysłowiem;
I długo przed nim płacze na kolanach żona
I dziecko, nim on bojaźń i wstręt swój pokona.

Przeszłą niewolę lubią opiewać więźniowie;
Myślałem, że on ją nam najlepiej opowie,
Wyda na jaw spod ziemi i spod straży zbirów
Dzieje swe, dzieje wszystkich Polski bohaterów:
Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach,
Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach.
I cóż on na pytania moje odpowiedział?
Że o swoich cierpieniach sam już nic nie wiedział,
Nie pomniał. – Jego pamięć zapisana cała
Jak księga herkulańska pod ziemią szerniała:
Sam autor zmartwychwstały nie umie w niej czytać.
Rzekł tylko: „Będę o to Pana Boga pytać,
On to wszystko zapisał, wszystko mnie opowie”.

(Adolf łzy ociera)

(Długie milczenie)

DAMA MŁODA

(do Literata)

Czemu to o tym pisać nie chcecie Panowie?

HRABIA

Niech to stary Niemcewicz w pamiętniki wsadzi;

On tam, słyszałem, różne szpargały gromadzi.

LITERAT I

To historyja!

LITERAT II

Straszna.

KAMERJUNKIER

Dalbóg wyśmienita.

LITERAT I

Takich dziejów słuchają, lecz kto je przeczyta?

I proszę, jak opiewać współczesne wypadki;

Zamiast mitologiji są naoczne świadki.

Potem, jest to wyraźny, święty przepis sztuki,

Że należy poetom czekać – aż – aż –

JEDEN Z MŁODZIEŻY

Póki? –

Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży

Jak figa ucukruje, jak tytuń uleży?

LITERAT I

Nie ma wyraźnych reguł.

LITERAT II

Ze sto lat.

LITERAT I

To mało!

LITERAT III

Tysiąc, parę tysięcy –

LITERAT IV

A mnie by się zdało,

Że to wcale nie szkodzi, że przedmiot jest nowy;

Szkoda tylko, że nie jest polski, narodowy.

Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,

Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi;

Śpiewać, na przykład, wiejskich chłopców zalecanki,

Trzody, cienie – Sławianie, my lubim sielanki.

LITERAT I

Spodziewam się, że Panu przez myśl nie przejedzie,

Aby napisać wierszem, że ktoś jadał śledzie.

Ja mówię, że poezji nie ma bez poloru,

A polor być nie może tam, gdzie nie ma dworu:

Dwór to sądzi o smaku, piękności i sławie;

Ach, ginie Polska! dworu nie mamy w Warszawie.

MISTRZ CEREMONII

Nie ma dworu! – a to mię dziwi niepomału,

Przecież ja jestem mistrzem ceremonijału.

HRABIA

(cicho do Mistrza)

Gdybyś Namiestnikowi wyrzekł za mną słówko,

Moja żona byłaby pierwszą pokojówką.

(głośno)

Ale próżno, nie dla nas wysokie urzędy!

Arystokracja tylko ma u dworu względy.

DRUGI HRABIA

(niedawno kreowany z mieszczan)

Arystokracja zawsze swobód jest podporą,

Niech Państwo przykład z Wielkiej Brytaniji biorą.

(Zaczyna się kłótnia polityczna – młodzież wychodzi)

PIERWSZY Z MŁODYCH

A łotry! – o, to kija!

A* G*****

O, to stryczka, haku!

Ja bym im dwór pokazał, nauczyłbym smaku.

N***

Patrzcie, coż my tu pocznem, patrzcie, przyjaciele,

Otoż to jacy stoją na narodu czele.

WYSOCKI

Powiedz raczej: na wierzchu. Nasz naród jak lawa,

Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,

Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi;

Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.

(Odchodzą)

SCENA VIII

PAN SENATOR

W WILNIE – SALA PRZEDPOKOJOWA; NA PRAWO DRZWI DO SALI KOMISJI ŚLEDCZEJ, GDZIE PROWADZĄ WIĘŹNIÓW I WIDAĆ OGROMNE PLIKI PAPIERÓW. W GŁĘBI DRZWI DO POKOJÓW SENATORA, GDZIE SŁYCHAĆ MUZYKĘ. CZAS: PO OBIEDZIE – U OKNA SIEDZI SEKRETARZ NAD PAPIERAMI; DALEJ NIECO NA LEWO STOLIK, GDZIE GRAJĄ W WISKA. NOWOSILCOW PIJE KAWĘ; KOŁO

NIEGO SZAMBELAN BAJKOW, PELIKAN I JEDEN DOKTOR. U DRZWI WARTA
I KILKU LOKAJÓW NIERUCHOMYCH.

SENATOR

(do Szambelana)

Diable! quelle corvée! – przecież po obiedzie.

La princesse nas zwiódła i dziś nie przyjedzie.

Zresztą, *en fait des dames*, stare albo głupie:

Gadać, *imaginez-vous*, o sprawach przy supie!

Je jure, tych patriotków nie mieć *à ma table*,

Avec leur franc parler et leur ton détestable.

Figurez-vous – ja gadam o strojach, kasynie,

A moja kompanija o ojcu, o synie:

„On stary, on zbyt młody, Panie Senatorze,

On kozy znieść nie może, Panie Senatorze,

On prosi spowiednika, on chce widzieć żonę,

On...” – *Que sais-je!* – piękny dyskurs w obiady proszone.

Il y a de quoi oszaleć; muszę skończyć sprawę

I uciec z tego Wilna w kochaną Warszawę.

Monseigneur mnie napisał *de revenir bientôt*,

On się beze mnie nudzi, a ja z tą hołotą –

Je n'en puis plus –

DOKTOR

(podchodząc)

Mówiłem właśnie, Jaśnie Panie,

Że ledwie rzecz zaczęta, i sprawa w tym stanie,
W jakim jest chory, kiedy lekarz go nawiedzi
I zrobi *anagnosin*. Mnóstwo uczniów siedzi,
Tyle było śledzenia, żadnego dowodu;
Jeszcześmy nie trafili w samo jądro wrzodu.
Coż odkryto? wierszyki! *ce sont des maux légers*,
Ce sont, można powiedzieć, *accidents passagers*;
Ale osnowa spisku dotąd jest tajemną,
I...

SENATOR

(z urazą)

Tajemną? – to, widzę, Panu w oczach ciemno!

I nie dziw, po obiedzie – więc, *signor Dottore*,

Adio, bona notte – dzięki za perorę!

Tajemną! sam śledziłem i ma być tajemną?

I vous osez, Docteur, mówić tak przede mną?

Któż kiedy widział formalniejsze śledztwa?

(pokazując papiery)

Wyznania dobrowolne, skargi i świadectwa,

Wszystko jest, i tu cały spisek świętokradzki

Stoi spisany jasno jak ukaz senacki*. –

Tajemną! – za te nudy, owoż co mam w zysku.

DOKTOR

Jaśnie Panie, *excusez*, ktoś wątpi o spisku!

Właśnie mówię – że...

LOKAJ

Człowiek kupca Kanissyna

Czeka i jakiś Panu rejestr przypomina.

SENATOR

Rejestr? jaki tam rejestr? – kto?

LOKAJ

Kupiec Kanissyn,

Co mu Pan przyjąć rozkazał...

SENATOR

Idźże precz, sukisyn!

Widzisz, że ja zajęty.

DOKTOR

(do Lokajów)

A głupie bestyje!

Przychodzić – Pan Senator, widzisz, kawę pije.

SEKRETARZ

(wstając od stolika)

On powiada, że jeśli Pan zapłatę zwleka,

On zrobi proces.

SENATOR

Napisz grzecznie, niechaj czeka.

(zamyśla się)

A propos – ten Kanissyn – trzeba mu wziąć syna

Pod śledztwo. – Oj, to ptaszek!

SEKRETARZ

To mały chłopczyna.

SENATOR

Oni to wszyscy mali, ale patrz w ich serce –

Najlepiej ogień zgasić, dopóki w isierce.

SEKRETARZ

Syn Kanissyna w Moskwie.

SENATOR

W Moskwie? – *a, voyez-vous,*

Emisaryjusz klubów. – Czas zabieżeć temu,

Wielki czas.

SEKRETARZ

On podobno u kadetów służy.

SENATOR

U kadetów? – *voyez-vous*, on tam wojsko burzy.

SEKRETARZ

Dzieckiem z Wilna wyjechał.

SENATOR

Oh! cet incendiaire,

Ma tu korespondentów.

(do Sekretarza)

Ce n'est pas ton affaire,

Rozumiesz! – Hej, deżurny! – We dwadzieście cztery

Godzin wysłać kibitkę i zabrać papiery.

Zresztą ojciec lękać się nas nie ma przyczyny,

Jeśli syn dobrowolnie przyzna się do winy.

DOKTOR

Właśnie jak miałem honor mówić Jaśnie Panu,

Są tam ludzie różnego i wieku, i stanu;

To najniebezpieczniejsze – jest spisku symptoma,

A wszystkim rusza pewna sprężyna kryjoma,

Którą...

SENATOR

(z urazą)

Kryjoma?

DOKTOR

Mówię, tajemnie skrywana,

Odkryta dzięki przezorności Jaśnie Pana.

(SENATOR odwraca się)

(do siebie)

To szatan niecierpliwy – z tym człowiekiem bieda!

Mam tyle ważnych rzeczy; wymówić mi nie da.

PELIKAN

(do Senatora)

Co Pan Senator każe z Rollisonem robić?

SENATOR

Jakim?

PELIKAN

Co to na śledztwie musiano go obić.

SENATOR

Eh bien?

PELIKAN

On zachorował.

SENATOR

Wieleż kijów dano?

PELIKAN

Byłem przy śledztwie, ale tam nie rachowano. –

Pan Botwinko śledził go.

BAJKOW

Pan Botwinko! cha, cha –

O! nieprędko on kończy, gdy się raz rozmacha.

Ja zaręczam, że on go opatrzył nieszpecznie –

Parions, że mu wyliczył najmniej ze trzy setnie.

SENATOR

(zadziwiony)

Trois cents coups et vivant? trois cents coups, le coquin;

Trois cents coups sans mourir – quel dos de jacobin!

Myślałem, że w Rosyi *la vertu cutanée*

Surpasse tout – ten łotr ma *une peau mieux tannée!*

Je n'y conçois rien! – *ha, ha, ha, ha, mon ami!*

(do grającego w wiska, który czeka na swego kompana)

Polaki nam odbiorą nasz handel skórami.

Un honnête soldat en serait mort dix fois!

Quel rebelle –

(podchodzi do stolika)

dla Pana mam *un homme de bois* –

Chłopiec drewniany: dał mu sam Botwinko kije.

Trzysta kijów dziecięciu – *figurez-vous?* żyje!

(do Pelikana)

Nic nie wyznał?

PELIKAN

Prawie nic – zęby tylko zaciął,

Krzyczy, że nie chce skarżyć niewinnych przyjaciół.

Ale z tych kilku słówek odkrywa się wiele –

Widać, że ci uczniowie – jego przyjaciele.

SENATOR

C'est juste: jaki upór!

DOKTOR

Właśnie powiadałem

Jaśnie Panu, że młodzież zarażają szaleństwem,

Ucząc ich głupstw: na przykład, starożytne dzieje!

Któż nie widzi, że młodzież od tego szaleje.

SENATOR

(wesolo)

Vous n'aimez pas l'histoire – ha, ha, un satirique

Aurait dit, że boisz się devenir historique.

DOKTOR

I owszem, uczyć dziejów, niech się młodzież dowie

Co robili królowie, wielcy ministrowie.

SENATOR

C'est juste.

DOKTOR

(ucieszony)

Właśnie mówię, widzi Pan Dobrodziój,

Że jest sposób wyklądać dzieje i dla młodzi.

Lecz po co zawsze prawić o republikańach,

Zawsze o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach...

PELIKAN

(do jednego ze swoich towarzyszków, pokazując Doktora)

Patrz, patrz, jak za nim łązi pochlebca przeklęty,

I wścibi się mu w łaskę – co to za wykręty!

(podchodzi do Doktora)

Ale cóż o tym mówić, czy to teraz pora;

Zważ no, czy można nudzić pana Senatora.

LOKAJ

(do Senatora)

Czy Pan rozkaże wpuścić te panie – kobiety –

Pan wie – co wysiadają tu co dzień z karety.

Jedna ślepa, a druga –

SENATOR

Ślepa? któż to ona?

LOKAJ

Pani Rollison.

PELIKAN

Matka tego Rollisona.

LOKAJ

Co dzień tu są.

SENATOR

Odprawić było –

DOKTOR

Z Panem Bogiem!

LOKAJ

Odprawiamy, lecz siada i skwierczy pod progiem.

Kazaliśmy brać w areszt; ze ślepą kobietą

Trudno iść, lud się skupił, żołnierza wybito.

Czy mam wpuścić?

SENATOR

E! rady sobie dać nie umiesz,

Wpuścić – tylko aż do pół schodów, czy rozumiesz?

A potem ją sprowadzić – aż w dół – o tak

(z giestem)

tęgo;

Żeby nas nie nudziła więcej swą włóczęgą.

(Drugi Lokaj wchodzi i oddaje list Bajkowowi)

No, czegoż stoisz, pódźże –

BAJKOW

Elle porte une lettre.

(oddaje list)

SENATOR

Ktoż by to za nią pisał?

BAJKOW

La princesse peut-être.

SENATOR

(czyta)

Księżna! skąd jej to przyszło? na kark mi ją wpycha.

Avec quelle chaleur! – Wpuścić ją, do licha.

(Wchodzą dwie Damy i Ksiądz Piotr)

PELIKAN

(do Bajkowa)

To stara czarownica, *mère de ce fripon*.

SENATOR

(grzecznie)

Witam, witam, któraż z pań jest pani Rollison?

P. ROLLISON

(z płaczem)

Ja – mój syn! Panie Dobrodzieju...

SENATOR

Proszę – chwilę,

Pani masz list, a po coż przyszło tu pań tyle?

DRUGA DAMA

Nas dwie.

SENATOR

(do Drugiej)

I po coż Panią mam tu honor witać?

DRUGA

Pani Rollison trudno drogi się dopytać,

Nie widzi. –

SENATOR

Ha! nie widzi – a to wacha może?

Bo co dzień do mnie trafia.

DRUGA

Ja tu ją przywożę,

Ona sama i stara, i nie bardzo zdrowa.

P. ROLLISONOWA

Na Boga...!

SENATOR

Cicho –

(do Drugiej)

Pani któż jesteś?

DRUGA

Kmitowa.

SENATOR

Lepiej siedź w domu i miej o synach staranie.

Jest na nich podejrzenie.

KMITOWA

(bladnąc)

Jak to, jak to? Panie!

(Senator śmieje się)

P. ROLLISONOWA

Panie! litość – ja wdowa! Panie Senatorze!

Słyszałam, że zabili – czyż można, mój Boże!

Moje dziecko! – Ksiądz mówi, że on jeszcze żyje;

Ale go biją, Panie! ktoż dzieci tak bije! –

Jego zbito – zlituj się – po katowsku zbito.

(placze)

SENATOR

Gdzie? kogo? – gadaj przecie po ludzku, kobito.

P. ROLLISONOWA

Kogo? ach, dziecko moje! Mój Panie – ja wdowa –

Ach, wieleż to lat, póki człek dziecko wychowa!

Mój Jaś już drugich uczył; niech Pan wszystkich spyta,

Jak on uczył się dobrze. – Ja biedna kobiéta!

On mnie żywił ze swego szczupłego dochodu –

Ślepa, on był mnie okiem – Panie, umrę z głodu.

SENATOR

Kto poplotł, że go bili, nie wyjdzie na sucho.

Kto mówił?

P. ROLLISONOWA

Kto mnie mówił? ja mam matki ucho.

Ja ślepa; teraz w uchu cała moja dusza,

Dusza matki. – Wiedli go wczora do ratusza;

Słyszałam –

SENATOR

Wpuszczono ją?

P. ROLLISONOWA

Wypchnęli mię z progu

I z bramy, i z dziedzińca. Siadłam tam na rogu,

Pod murem – mury grube – przyłożyłam ucho –

Tam siedziałam od rana. – W północ, w mieście głucho,

Słucham – w północ, tam z muru – nie, nie zwodzę siebie:

Słyszałam go, słyszałam, jak Pan Bóg na niebie,
Ja głos jego słyszałam uszami własnymi –
Cichy, jakby spod ziemi, jak ze środka ziemi.
I mój słuch wszedł w głąb muru, daleko, głęboko;
Ach, dalej poszedł niżli najbystrzejsze oko.
Słyszałam, męczono go –

SENATOR

Jak w gorączce bredzi!

Ale tam, moja Pani, wielu innych siedzi.

P. ROLLISONOWA

Jak to? – czyż to nie był głos mojego dziecięcia?
Niema owca pozna głos swojego jagnięcia
Śród najliczniejszej trzody – ach, to był głos taki! –
Ach, dobry Panie, żebyś słyszał raz głos taki,
Ty byś już nigdy w życiu spokojnie nie zasnął!

SENATOR

Syn Pani zdrów być musi, gdy tak głośno wrzasnął.

P. ROLLISONOWA

(pada na kolana)

Jeśli masz ludzkie serce...

(Otwierają się drzwi od sali – słychać muzykę – wbiega Panna ubrana jak na bal)

PANNA

Monsieur le Sénateur –

Oh! je vous interromps, on va chanter le chœur

De „Don Juan”; et puis le concerto de Herz...

SENATOR

Herz! chœur! tu także była mowa około serc.

Vous venez à propos, vous belle comme un cœur.

Moment sentimental! il pleut ici des cœurs.

(do Bajkowa)

Żeby le grand-duc Michel ten kalambur wiedział,

Ma foi, to już bym dawno w radzie państwa siedział.

(do Panny)

J'y suis – dans un moment.

P. ROLLISONOWA

Panie, nie rzucaj nas.

W rozpacz, ja nie puszcę –

(chwyta za suknię)

PANNA

Faites-lui donc grâce!

SENATOR

Diab!e m'emporte, jeśli wiem, czego chce ta jędza.

P. ROLLISONOWA

Chcę widzieć syna.

SENATOR

(z przyciskiem)

Cesarz nie pozwala.

KS. PIOTR

Księdza!

P.ROLLISONOWA

Księdza przynajmniej poszlij, syn mój prosi księdza.

Może kona; gdy ciebie płacz matki nie wzruszy,

Bój się Boga, dręcz ciało, ale nie gub duszy.

SENATOR

C'est drôle; kto te po mieście wszystkie plotki nosi,

Kto Waćpani powiedział, że on księdza prosi?

P. ROLLISONOWA

(pokazując Księdza Piotra)

Ten Ksiądz pocziwy mówił; on tygodni tyle

Biega, błaga, lecz nie chcą wpuścić i na chwilę.

Spytaj księdza, on powie...

SENATOR

(patrząc bystro na Księdza)

To on wie? – pocziwy! –

No zgoda, zgoda, dobrze – Cesarz sprawiedliwy;

Cesarz księży nie wzbrania, owszem sam posyła,

Aby do moralności młodzież powróciła.

Nikt jak ja religiji nie ceni, nie lubi –

(wzdycha)

Ach, ach, brak moralności, to, to młodzież gubi.

Eh bien, żegnam więc Panie.

P. ROLLISONOWA

(do Panny)

Ach, Panienko droga!

Wstaw się ty jeszcze za mną, ach, na rany Boga!

Mój syn mały! – rok siedzi o chlebie i wodzie,

W zimnym, ciemnym więzieniu, bez odzieży, w chłodzie.

PANNA

Est-il possible?

SENATOR

(w ambarasie)

Jak to, jak to? on rok siedział?

Jak to, *imaginez-vous* – jam o tym nie wiedział!

(do Pelikana)

Słuchaj, trzeba tę sprawę najpierwej rozpatrzyć,

Jeśli to prawda, uszy komisarzom natrzyć.

(do Rollisonowej)

Soyez tranquille, przyjdź tu o siódmej godzinie.

P. KMITOWA

Nie płacz tak, pan Senator nie wie o twym synie,

Jak się dowie, obaczysz, może oswobodzi.

P.ROLLISONOWA

(uradowana)

Nie wie? – chce wiedzieć? o, niech mu Pan Bóg nagrodzi.

Ja to zawsze mówiłam ludziom; być nie może

Tak okrutny, jak mówią, on stworzenie Boże,

On człowiek, jego matka mlekiem wykarmiła –

Ludzie śmieli się; widzisz, jam prawdę mówiła.

(do Senatora)

Tyś nie wiedział! – te łotry wszystko tobie tają.

Wierz mi, Panie, tyś łotrów otoczony zgrają;

Nie ich pytaj, nas pytaj, my wszystko powiemy,

Całą prawdę –

SENATOR

(śmiejąc się)

No dobrze, o tym pomówiemy,

Dziś nie mam czasu, *adieu*. – Księżnej powiedz, Pani,

Że co można, to wszystko każę zrobić dla niej.

(grzecznie)

Adieu, Madame Kmit, adieu – co mogę, to zrobię.

(do Księdza Piotra)

Waść, Księżę, zostań, parę słów mam szepnąć tobie.

(do Panny)

J'y suis dans un moment.

(Wszyscy odchodzą prócz dawnych osób)

SENATOR

(po pauzie do Lokajów)

A szelmy, łajdaki!

Łotry, stoicie przy drzwiach i porządek taki?

Skórę wam zedrę, szelmy, służby was nauczę:

(do jednego lokaja)

Słuchaj – ty idź za babą –

(do Pelikana)

Nie, Panu poruczę.

Skoro wyjdzie od Księżnej, daj jej pozwolenie

Widzieć syna i prowadź aż tam – tam, w więzienie;

Potem osobno zamknij – tak, na cztery klucze.

C'en est trop – a łajdaki, służby was nauczę!

(rzuca się na krzesło)

LOKAJ

(ze drżeniem)

Pan kazał wpuścić –

SENATOR

(schwytyjąc się)

Co? co? – ty śmiesz, ty! mnie gadać?

Toś wyuczył się w Polsce panu odpowiadać.

Stój, stój, ja cię oduczę. – Wieść go do kwatery

Policmejsra – sto kijów i tygodnie cztery

Na chleb i wodę –

PELIKAN

Niech Pan Senator uważy,

Iż mimo tajemnicy i czujności straży

O biciu Rollisona niechętnie osoby

Wieść roznoszą, i może wynajdą sposoby

Oczernić przed Cesarzem nasze czyste chęci,

Jeśli się temu śledztwu prędko łeb nie skręci.

DOKTOR

Właśnie ja rozmyślałem nad tym, Jaśnie Panie.

Rollison od dni wielu cierpi pomieszanie;
Chce sobie życie odjąć, do okien się rzuca,
A okna są zamknięte...

PELIKAN

On chory na płuca;
Nie należy w zamknionym powietrzu go morzyć;
Rozkażę mu więc okna natychmiast otworzyć.
Mieszka na trzecim piętrze – powietrza użyje...

SENATOR

(roztargniony)

Wpuszczać mi na kark babę, gdy ja kawę piję;
Nie dadzą chwili –

DOKTOR

Właśnie mówię, Jaśnie Panie,
Że potrzeba mieć większe o zdrowiu staranie.
Po obiedzie, mówiłem zawsze, niechaj Pan te
Sprawy odłoży na czas: *ça mine la santé*.

SENATOR

(spokojnie)

Eh, mon Docteur, przed wszystkim służba i porządek.
Potem, to owszem dobrze na słaby żołądek;

To żółć porusza, a żółć *fait la digestion*.

Po obiedzie, ja mógłbym *voir donner la question*,

Kiedy tak każe służba: – *en prenant son café*,

Wiesz co, to chwila właśnie widzieć *auto-da-fé*.

PELIKAN

(odpychając Doktora)

Jakże Pan z Rollisonem każe decydować?

Jeżeli on dziś jeszcze... umrze, to?...

SENATOR

Pochować;

I pozwalam, jeżeli zechcesz, balsamować.

A propos balsam, Bajkow! – tobie by się zdało

Trochę balsamu, bo masz takie trupie ciało,

A żenisz się. Czy wiecie, on ma narzeczoną;

(Drzwi z lewej strony odmykają się – Lokaj wchodzi – Senator pokazując drzwi)

Tę panienkę, tam patrzaj, białą i czerwoną.

Fi, pan młody, *avec un teint si délabré*,

Powinien byś brać ślub twój jak Tyber *à Capré*.

Nie pojmuję, jak oni mogli pannę zmusić

Pięknymi usteczkami słowo t a k wykrztusić.

BAJKOW

Zmusić? – *Parions*, że ja z mą za rok się rozwiodę

I potem co rok będę brał żoneczki młode,
Bez przymusu; dość spojrzeć na tę lub na ową:
C'est beau małej szlachciance być jenerałową.
Spytaj księdza, jeżeli zapłacze przy ślubie.

SENATOR

A propos księdza –

(do Księdza)

pódź no, mój czarny cherubie!

Patrzcie, *quelle figure!* on ma *l'air d'un poète* –

Czy ty widziałeś kiedy *un regard aussi bête*?

Potrzeba go ożywić. – Masz rumu kieliszek.

KS. PIOTR

Nie piję.

SENATOR

No, kapłanie, pij!

KS. PIOTR

Jestem braciszek.

SENATOR

Braciszek czy stryjasek, skądże to Waszeci

Wiedzieć, co po więzieniach robią cudze dzieci?

Czy to Waszeć chodziłeś z wieściami do matki?

KS. PIOTR

Ja.

SENATOR

(do Sekretarza)

Zapisz to wyznanie – a oto są świadki.

(do Księdza)

A skądżeś o tym wiedział? he? ptaszek nie lada!

Spostrzegł się, że notują, i nie odpowiada.

W jakim klasztorze bractwo twe?

KS. PIOTR

U bernardynów.

SENATOR

A u dominikanów pewnie masz kuzynów?

Bo u dominikanów ten Rollison siedział.

No gadajże, skąd ty wiesz, kto ci to powiedział?

Słyszysz! – ja tobie każę – nie szepc mi po cichu.

Ja w imieniu Cesarza każę; słyszysz, mnichu?

Mnichu! czy ty słyszałeś o ruskim batogu?

(do Sekretarza)

Zapisz, że milczał.

(do Księdza)

Wszak ty służysz Panu Bogu –

Znasz ty teologiją – słuchaj, teologu.

Wieszty, że wszelka władza od Boga pochodzi,

Gdy władza każe mówić, milczeć się nie godzi.

(Ksiądz milczy)

A czy wiesz, mnichu, że ja mógłbym cię powiesić,

I obaczym, czy przeor potrafi cię wskrzesić.

KS. PIOTR

Jeśli kto władzę cierpi, nie mów, że jej słucha;

Bóg czasem daje władzę w ręce złego ducha.

SENATOR

Jeżeli cię powieszę, a Cesarz się dowie,

Żem zrobił nieformalnie, a wiesz, co on powie?

„Ej, Senatorze, widzę, że się już ty bisisz”.

A ty, mnichu, tymczasem jak wisisz, tak wisisz.

Pódź no bliżej, ostatni raz będę cię badał:

Wyznaj, kto tobie o tym biciu rozpowiadał?

He? – milczysz – już od Boga ty się nie dowiedział –

Kto mówił? – co? – Bóg? – anioł? – diabeł?

KS. PIOTR

Tyś powiedział.

SENATOR

(obruszony)

„Tyś” – mnie mówić: tyś? – tyś – tyś – ha, mnich!

DOKTOR

Ha, kapcanie!

Mówi się Panu: Jaśnie Oświecony Panie.

(do Pelikana)

Naucz go tam, jak mówić; ten mnich widzę z chlewa.

Daj mu tak –

(pokazuje ręką)

PELIKAN

(daje Księdzu policzek)

Widzisz, ośle, Senator się gniewa.

KSIĄDZ

(do Doktora)

Panie, odpuść mu, Panie, on nie wie, co zrobił!

Ach, bracie, tą złą radą tyś sam się już dobił.

Dziś ty staniesz przed Bogiem.

SENATOR

Co to?

BAJKOW

On błaznuje.

Daj mu jeszcze raz w papę, niech nam prorokuje.

(daje mu szcztukę)

KS. PIOTR

Bracie, i ty poszedłeś za jego przykładem!

Policzone dni twoje, pójdiesz jego śladem.

SENATOR

Hej, posłać po Botwinkę! zatrzymać tu klechę –

Ja sam będę przy śledztwie, będziem mieć uciechę.

Obaczym, czy on będzie milczał tak upornie.

Ktoś go namówił.

DOKTOR

Właśnie przedstawiam pokornie,

To jest rzecz umówiona, i te wszystkie spiski

Kieruje, jak wiem pewnie, ksiązę Czartoryski.

SENATOR

(schwytuje się z krzesła)

Que me dites-vous lá, mon cher, o książęciu?

Impossible –

(do siebie)

Kto wie? – e! – śledztwo lat dziesięciu,

Nim się książkę wypłacze, jeśli ja go splątam.

(do Doktora)

Skądże wiesz?

DOKTOR

Dawno, czynnie, sprawą się zaprzątam.

SENATOR

I Pan mnie nie mówiłeś?

DOKTOR

Jaśnie Pan nie słuchał;

Ja mówiłem, że ktoś to ten pożar rozdmuchał.

SENATOR

Ktoś! ktoś! ale czy książkę?

DOKTOR

Mam ślad oczewisty,

Mam doniesienia, skargi i przejęte listy.

SENATOR

Listy księcia?

DOKTOR

Przynajmniej jest mowa o księciu

W tych listach i o całym jego przedsięwzięciu;

I wielu profesorów – a głównym ogniskiem

Jest Lelewel. On tajnie kieruje tym spiskiem.

SENATOR

(do siebie)

Ach, gdyby jaki dowód! choćby podejrzenie,

Ślad dowodu, cień śladu, choćby cieniów cienie!

Nieraz już mi o uszy obila się mowa:

„To Czartoryski wyniósł tak Nowosilcowa”.

Obaczmy teraz, kto z nas będzie mógł się chwalić,

Czy ten, co umiał wynieść, czy ten, co obalić.

(do Doktora)

Pójdź – *que je vous embrasse* – a! a! to rzecz inna,

Ja wraz zgadnąłem, że to sprawa nie dziecinna:

Ja wraz zgadnąłem, że to jest książęcia sztuka.

DOKTOR

(poufale)

I Pan zgadnął? – zje diabła, kto Pana oszuka.

SENATOR

(poważnie)

Choć ja wiem o tym wszystkim, Panie Radco Stanu,
Jeśli odkryć dowody udało się Panu,
Ecoutez, daję Panu senatorskie słowo,
Naprzód pensyję roczną powiększę połową
I tę skargę za dziesięć lat służby policzę,
Potem może starostwo, dobra kanonicze,
Order – kto wie, nasz Cesarz wspaniale opłaca,
Ja go sam będę prosił, już to moja praca.

DOKTOR

Mnie też to kosztowało немало zabiegów:
Ze szczupłej mojej płacy opłacałem szpiegów,
A wszystko z gorliwości o dobro Cesarza.

SENATOR

(biorąc go pod rękę)

Mon cher, idź zaraz, weźmij mego sekretarza.

Wziąć te wszystkie papiery i opieczetować;

(do Doktora)

Wieczorem będziem wszystko razem trutynować.

(do siebie)

Ja pracowałem, śledztwo prowadziłem całe,

A on z tego odkrycia miałby zysk i chwałę!

(zamyśla się)

(do Sekretarza w ucho)

Przyaresztuj Doktora razem z papierami.

(do Bajkowa, który wchodzi)

To ważna sprawa, musim zatrudnić się sami.

Doktor wymknął się z pewnym słówkiem nieumyślnie,

Zbadałem go, a śledztwo ostatek wycisnie.

(Pelikan, widząc względy Senatora, odprowadza Doktora i klania mu się nisko)

DOKTOR

(do siebie)

Niedawno mię odpychał – ho, ho, Pelikanie!

I ja go zepchnę, i tak, że już nie powstanie.

(do Senatora)

Zaraz wracam.

SENATOR

(niedbale)

O ósmej ja wyjeżdżam z miasta.

DOKTOR

(patrząc na zegarek)

Co to? na moim zegarku godzina dwunasta?

SENATOR

Już piąta.

DOKTOR

Co, już piąta? – ledwie oczom wierzę.

Mój indeks na dwunastej, na samym numerze

Stanął i na dwunastej sam indeksu nosek;

Żeby choć o sekundę ruszył, choć o włos!

KS. PIOTR

Bracie, i twój już zegar stanął i nie ruszy

Do drugiego południa. – Bracie, myśl o duszy.

DOKTOR

Czego ty chcesz?

PELIKAN

Proroctwo tobie jakieś burczy.

Patrz, jak mu oczy błyszczą, istny wzrok jaszczurczy!

KS. PIOTR

Bracie, Pan Bóg różnymi znakami ostrzega.

PELIKAN

Ten braciszek coś bardzo wygląda na szpiega –

*(Otwierają się drzwi z lewej strony, wchodzi mnóstwo dam wystrojonych, urzędników, gości –
za nimi muzyka)*

P. GUBERNATOROWA

Czy można?

P. SOWIETNIKOWA

C'est indigne!

P. JENERAŁOWA

Ah! mon cher Sénateur,

Czekamy, posyłamy!

P. SOWIETNIKOWA

Vraiment, c'est un malheur.

WSZYSTKIE

(razem)

Wreszcie przyszliśmy szukać.

SENATOR

Cóż to? – jaka gala!

DAMA

I tu możemy tańczyć, dość obszerna sala.

(stają i szykują się do tańca)

SENATOR

Pardon, mille pardons, j'étais très occupé;

Que vois-je, un menuet? parfaitement groupé!

Cela m'a rappelé les jours de ma jeunesse!

KSIEŻNA

Ce n'est qu'une surprise.

SENATOR

Est-ce vous, ma déesse!

Que j'aime cette danse, une surprise? ah! dieux!

KSIEŻNA

Vous danserez, j'espère.

SENATOR

Certes, et de mon mieux.

(Muzyka gra menueta z „Don Juana” – z lewej strony stoją czynownicy, czyli urzędnicy i urzędniczki – z prawej kilku z młodzieży, kilku młodych oficerów rosyjskich, kilku starych ubranych po polsku i kilka młodych dam. – Na środku menuet. Senator tańczy z narzeczoną Bajkowa; Bajkow z Księżną).

BAL

SCENA ŚPIEWANA

DAMA

(z prawej strony)

Patrz, patrz starego, jak się wije,

Jak sapie, oby skręcił szyję.

(do Senatora)

Jak ślicznie, lekko tańczysz Pan!

(na stronę)

Il crévera dans l'instant.

MŁODY CZŁOWIEK

Patrz, jak on łąsi się i liże,

Wczora mordował, tańczy dziś;

Patrz, patrz, jak on oczyma strzyże,

Skacze jak w klatce ryś.

DAMA

Wczora mordował i katował,

I tyle krwi niewinnej wylał;

Patrz, dzisiaj on pazury schował

I będzie się przymilał.

Z LEWEJ STRONY

KOLESKI REGISTRATOR

(do Sowietnika)*

Tańczy Senator, czy widzicie,

Ej, Sowietniku, pódźmy w tan.

SOWIETNIK

Uważaj, czy to przyzwolicie,

Byś ze mną tańczył Pan.

REGISTRATOR

Ale tu znajdziem kilka dam.

SOWIETNIK

Ale nie o to idzie rzecz;

Ja sobie wolę tańczyć sam

Niż z tobą – pódźże precz.

REGISTRATOR

Skądże to?

SOWIETNIK

Jestem sowietnikiem.

REGISTRATOR

Ja jestem oficerski syn.

SOWIETNIK

Mój Panie, ja nie tańczę z nikim,

Kto ma tak niski czyn.

(do Pułkownika)

Pódź, Pułkowniku, pódźże w taniec,
Widzisz, że tańczy sam Senator.

PULKOWNIK

Jaki tam gadał oszarpaniec?
(pokazując Registratora)

SOWIETNIK

Koleski Registrator!

PULKOWNIK

Ta szuja, istne jakubiny!

DAMA

(do Senatora)
Jak ślicznie, lekko tańczysz Pan.

SOWIETNIK

(z gniewem)
Jak tu pomieszały się czyny!

DAMA

Il crévera dans l'instant,

LEWA STRONA, *CHOREM*

DAMY

Ah! quelle beauté, quelle grâce!

MEŹCZYŹNI

Jaka to świetność, przepych jaki!

PRAWA STRONA, *CHOREM*

MEŹCZYŹNI

Ach, łotry, szelmy, ach, łajdaki?

Żeby ich piorun trząsł.

SENATOR

(tańcząc, do Gubernatorowej)

Chcę zrobić znajomość Starosty,

On piękną żonę, córkę ma;

Ale zazdrośny –

GUBERNATOR

(biegąc za Senatorem)

To człek prosty;

Niech Pan to na nas zda.

(podchodzi do Starosty)

A żona Pańska?

STAROSTA

W domu siedzi.

GUBERNATOR

A córki?

STAROSTA

Jedną tylko mam.

GUBERNATOROWA

I córka balu nie odwiedzi?

STAROSTA

Nie.

GUBERNATOROWA

Pan tu sam?

STAROSTA

Ja sam.

GUBERNATOR

I żona nie zna Senatora?

STAROSTA

Dla siebie tylko żonę mam.

GUBERNATOROWA

Chciałam wziąć córkę Pańską wczora.

STAROSTA

Usłużność Pani znam.

GUBERNATOR

Tu w menuecie para zbywa,

Senator potrzebuje dam.

STAROSTA

Moja córka w parach nie bywa,

Jej parę znajdę sam.

GUBERNATOROWA

Mówiono, że tańczy i grywa,

Senator chciał zaprosić sam.

STAROSTA

Widzę, że pan Senator wzywa

Naraz po kilka dam.

LEWA STRONA, *CHOREM*

Jaka muzyka, jaki śpiew,
Jak pięknie meblowany dóm.

PRAWA STRONA, *CHOREM*

Te szelmy z rana piją krew,
A po obiedzie rum.

SOWIETNIK

(pokazując Senatora)

Drze ich, to prawda, lecz zaprasza,
Takiemu dać się drzeć nie żal.

STAROSTA

Po turmach siedzi młodzież nasza,
Nam każą iść na bal*.

OFICER ROSYJSKI

(do Bestużewa)

Nie dziw, że nas tu przeklinają,
Wszak to już mija wiek,
Jak z Moskwy w Polskę nasyłają
Samych łajdaków stek.

STUDENT

(do Oficera)

Patrz, jak się Bajkow, Bajkow rucha,

Co to za mina, co za ruch!

Skacze jak po śmieciach ropucha,

Patrz, patrz, jak nadał brzuch.

Wyszczerzył zęby, nazbyt łyknął,

Patrz, jak otwiera gębę on,

Słuchaj, ach, słuchaj, Bajkow ryknął.

(Bajkow nuci)

(do Bajkowa)

Mon Général, quelle chanson!

BAJKOW

(śpiewa pieśń Beranżera)

Quel honneur, quel bonheur!

Ah! monsieur le sénateur!

Je suis votre humble serviteur, etc. etc.

STUDENT

Général, ce sont vos paroles!

BAJKOW

Oui.

STUDENT

Je vous en fais compliment.

JEDEN Z OFICERÓW

(śmiejąc się)

Ces couplets sont vraiment fort drôles,

Quel ton satirique et plaisant!

MŁODY CZŁOWIEK

Pour votre muse sans rivale

Je vous ferais académicien.

BAJKOW

(w ucho, pokazując Księżnę)

Senator dziś będzie rogal.

SENATOR

(w ucho, pokazując narzeczoną Bajkowa)

Va, va, je te coifferai bien.

PANNA

(tańcząca, do Matki)

Nazbyt ohydni, nazbyt starzy.

MATKA

(z prawej strony)

Jeśli ci zbrzydnął, to go rzuć.

SOWIETNIKOWA

(z lewej strony)

Jak mojej córeczce do twarzy.

STAROSTA

Jak od nich rumem czuć.

SOWIETNIKOWA DRUGA

(do córki stojącej obok)

Tylko, Zosieńku, podnieś wzrok.

Może Senator cię obaczy.

STAROSTA

Jeżeli o mnie się zahaczy,

Dam rękojeścią

(biorąc za karabelę)

– w bok.

LEWA STRONA, CHOREM

Ach, jaka świetność, przepych jaki!

Ah, quelle beauté, quelle grâce!

PRAWA STRONA

Ach, szelmy, łotry, ach, łajdaki!

Żeby ich piorun trzasł.

Z PRAWEJ STRONY MIĘDZY MŁODZIEŻĄ

JUSTYN POL

(do Bestużewa, pokazując na Senatora)

Chcę mu scyzoryk mój w brzuch wsadzić

Lub zamalować w pysk.

BESTUŻEW

Coż stąd, jednego łotra zgładzić

Lub obić, co za zysk?

Oni wyszukają przyczyny,

By uniwersytety znieść,

Krzyknąć, że uczniu jakubiny,

I waszą młodzież zjeść.

JUSTYN POL

Lecz on zapłaci za męczarnie,

Za tyle krwi i łez.

BESTUŻEW

Cesarz ma u nas liczne psiarnie,

Cóż, że ten zdechnie pies.

POL

Nóż świerzbi w rękę, pozwól ubić.

BESTUŻEW

Ostrzegam jeszcze raz!

POL

Pozwól przynajmniej go wyczubić.

BESTUŻEW

A zgubić wszystkich was.

POL

Ach, szelmy, łotry, ach, zbrodniarze!

BESTUŻEW

Muszę ciebie wywieść za próg.

POL

Czyż go to za nas nikt nie skarże?

Nikt się nie pomści?

(odchodzą ku drzwiom)

KS. PIOTR

– Bóg!

(Nagle muzyka się zmienia i gra aria Komandora)

TAŃCZĄCY

Co to jest? – co to?

GOŚCIE

Jaka muzyka ponura!

JEDEN

(patrząc w okna)

Jak ciemno, patrz no, jaka zebrała się chmura.

(zamyka okno – słysząc z dala grzmot)

SENATOR

Coż to? Czemu nie grają?

DYREKTOR MUZYKI

Zmylili się.

SENATOR

Pałki!

DYREKTOR

Bo to miano grać różne z opery kawałki,
Oni nie zrozumieli, i stąd zamieszanie.

SENATOR

No, no, no – *arrangez donc* – no, Panowie – Panie.
(Słysząc krzyk wielki za drzwiami)

PANI ROLLISON

(za drzwiami, okropnym głosem)
Puszczaj mię! puszczaj...

SEKRETARZ

Ślepa?

LOKAJ

(strwożony)
Widzi! patrz, jak sadi
Po schodach, zatrzymajcie!

DRUDZY LOKAJE

Kto jej co poradzi!

PANI ROLLISON

Ja go znajdę tu, tego pijaka, tyrana!

LOKAJ

(chce zatrzymać – ona obala jednego z nich)

A! patrz, jak obaliła – a! a! opętana.

(uciekają)

PANI ROLLISON

Gdzie ty! – znajdę cię, mozgi na bruku rozbiję –

Jak mój syn! Ha, tyranie! syn mój, syn nie żyje!

Wyrzucili go oknem – czy ty masz sumnienie?

Syna mego, tam z góry, na bruk, na kamienie.

Ha, ty pijaku stary, zbryzgany krwią tyłu

Niewiniątek, pódź! – gdzie ty, gdzie ty, krokodylu?

Ja ciebie tu rozedrę, jak mój Jaś, na sztuki. –

Syn! wyrzucili z okna, z klasztoru, na bruki.

Me dziecię, mój jedynak! mój ojciec – żywiciel –

A ten żyje, i Pan Bóg jest, i jest Zbawiciel!

KS. PIOTR

Nie bluźń, kobieto; syn twój zraniony, lecz żyje.

PANI ROLLISON

Żyje? syn żyje? – czyje to są słowa, czyje?

Czy to prawda, mój Księżu? – Ja zaraz pobiegłam –

„Spadł” krzyczą, biegę, wzięli – i zwłok nie dostrzegłam:

Zwłok mego jedynaka. – Ja biedna sierota!

Zwłok syna nie widziałam. Widzisz – ta ślepotą!

Lecz krew na bruku czułam – przez Boga żywego

Tu czuję – krew tę samą, tu krew syna mego,

Tu jest ktoś krwią zbryzgany – tu, tu jest kat jego!

*(Idzie prosto do Senatora – Senator umyka się – Pani Rollison pada zemdlona na ziemię – Ks.
Piotr podchodzi do niej ze Starostą – słysząc uderzenie piorunu)*

WSZYSCY

(złęknieni)

Słowo stało się ciałem! – To tu!

INNI

Tu! tu!

KS. PIOTR

Nie tu.

JEDEN

(patrząc w okno)

Jak blisko – w sam róg domu uniwersytetu.

SENATOR

(podchodzi do okna)

Okna Doktora!

KTOŚ Z WIDZÓW

Słyszysz w domu krzyk kobiety?

KTOŚ NA ULICY

(śmiejąc się)

Cha – cha – cha – diabli wzięli.

(Pelikan wbiega zmieszany)

SENATOR

Nasz Doktor?

PELIKAN

– zabity.

Od piorunu. Fenomen ten godzien rozbiorów:

Około domu stało dziesięć konduktorów,

A piorun go w ostatnim pokoju wytropił,

Nic nie zepsuł i tylko ruble srebrne stopił;

Srebro leżało w biurku, tuż u głów Doktora,

I zapewne służyło dziś za konduktora.

STAROSTA

Ruble rosyjskie, widzę, bardzo niebezpieczne.

SENATOR

(do dam)

Panie zmieszały taniec – jak Panie niegrzeczne.

(widząc, że ratują Panią Rollison)

Wynieście ją, wynieście – pomóc tej kobiecie.

Wynieście ją.

KS. PIOTR

Do syna?

SENATOR

Wynieście, gdzie chcecie.

KS. PIOTR

Syn jej jeszcze nie umarł, on jeszcze oddycha,

Pozwól mnie iść do niego.

SENATOR

Idź, gdzie chcesz, do licha!

(do siebie)

Doktor zabity, *ah! ah! ah! c'est inconcevable!*

Ten ksiądz mu przepowiedział – *ah! ah! ah! c'est diable!*

(do kompanii)

No i cóż w tym strasznego? – wiosną idą chmury,

Z chmury piorun wypada: taki bieg natury.

SOWIETNIKOWA

(do męża)

Już gadajcie, co chcecie, a strach zawsze strachem.
Ja nie chcę dłużej z wami być pod jednym dachem;
Mówiłam: mężu, nie leż do tych spraw dziecinnych;
Pókiś knutował Żydów, chociaż i niewinnych,
Milczałam – ale dzieci – a widzisz Doktora?

SOWIETNIK

Głupia jesteś.

SOWIETNIKOWA

Do domu wracam, jestem chora.

(Słysząc znowu grzmot – wszyscy uciekają; naprzód lewa, potem prawa strona. – Zostają Senator, Pelikan, Ks. Piotr)

SENATOR

(patrząc za uciekającymi)

Przeklęty Doktor! Żyjąc nudził mię do mdłości,
A jak zdechł, patrzaj, jeszcze rozpędza mi gości.

(do Pelikana)

Voyez, jak ten Ksiądz patrzy – *voyez, quel oeil hagard*;
To jest dziwny przypadek, *un singulier hasard*.
Powiedz no, mój księżuniu, czy znasz jakie czary,
Skąd przewidziałeś piorun? – może Boskie kary?

(Ksiądz milczy)

Prawdę mówiąc, ten Doktor troszeczkę przewinił,

Prawdę mówiąc, ten Doktor nad powinność czynił.

On aurait fort à dire – kto wie, są przestrogi –

Mój Boże, czemu prostej nie trzymać się drogi!

No i cóż, Księżu? – milczy!... milczy i zwiesił nos.

Ale go puszczyć wolno: – *on dirait bien des choses!*...

(zamyśla się)

PELIKAN

Cha! cha! cha! jeśli śledztwo jest niebezpieczeństwem,

Toć by nas przecie piorun zaszczycił pierwszeństwem.

KS. PIOTR

Opowiem wam dwie dawne, ale pełne treści...

SENATOR

(ciekawym)

O piorunie? – Doktorze? – mów!

KS. PIOTR

– dwie przypowieści.

Onego czasu w upał przyszli ludzie różni

Zasnąć pod cieniem muru; byli to podróżni.

Między nimi był zbójca; a gdy inni spali,

Anioł Pański zbudził go: „Wstań, bo mur się wali”.

On zbójca był ze wszystkich innych najzłośliwszy;

Wstał, a mur inne pobił. On ręce złożywszy

Bogu dziękował, że mu ocalono zdrowie.

A Pański anioł stanął przed nim i tak powie:

„Ty najwięcej zgrzeszyłeś! kary nie wyminiesz,

Lecz ostatni najgłośniej, najhaniebniej zginiesz”.

A druga powieść taka. – Za czasu dawnego.

Pewny wódz rzymski pobił króla potężnego

I kazał na śmierć zabić wszystkie niewolniki,

Wszystkie rotmistrze pułków i wszystkie setniki.

Ale króla samego przy życiu zostawił,

Tudzież starosty, tudzież pułkowniki zbawił. –

I mówili do siebie głupi więźnie owi:

„Będziem żyć, podziękujmy za życie wodzowi”.

Aż jeden żołnierz rzymski, co im posługował,

Rzekł im: „Zaprawdę wódz was przy życiu zachował;

Bo was przykuje przy swym tryumfalnym wozie

I będzie oprowadzał po całym obozie,

I do miasta powiedzie; bo wy z tych jesteście,

Których wodzą po Rzymie, onym sławnym mieście,

Aby lud rzymski krzyknął: „Patrzcie, co wódz zrobił,

On takie króle, takie pułkowniki pobił.

Potem, gdy was w łańcuchach złotych oprowadzi,

Odda was w ręce kata, a kat was osadzi
Na głębokie, podziemne i ciemne wygnanie,
Kędy będzie płacz wieczny i zębów zgrzytanie”.
Tak mówił żołnierz rzymski; do żołnierza tego
Król gromiąc rzekł: „Twe słowa są słowa głupiego,
Czyś ty kiedy na ucztach z twoim wodzem siedział,
Ażebyś jego rady, jego myśli wiedział?”
Zgromiwszy, pił i śmiał się z swymi współwięźniami,
Ze swymi hetmanami i pułkownikami.

SENATOR

(znudzony)

Il bat la campagne... Księżę, gdzie chcesz, ruszaj sobie.

Jeśli cię jeszcze złowię, tak skórę oskrobię,

Że cię potem nie pozna twa matka rodzona

I będziesz mi wyglądał jak syn Rollisona.

(Senator odchodzi do swoich pokojów z Pelikanem. Ks. Piotr idzie ku drzwiom i spotyka Konrada, który, prowadzony na śledztwo od dwóch żołnierzy, ujrawszy Księdza wstrzymuje się i patrzy nań długo)

KONRAD

Dziwna rzecz, nie widziałem nigdy tej postaci,

A znam go, jak jednego z mych rodzonych braci.

Czy to we śnie? – tak, we śnie, teraz przypomniałem,

Taż sama twarz, te oczy, we śnie go widziałem.

On to, zdało się, że mię wyrywał z otchłani.

(do Księdza)

Mój Księżu, choć jesteśmy mało sobie znani,

Przynajmniej Ksiądz mię nie znasz, przyjmij dziękczynienie

Za łaskę, którą tylko zna moje sumnienie.

Drodzy są i widziani we śnie przyjaciele,

Gdy prawdziwych na jawie widzimy tak niewiele.

Weź, proszę, ten pierścionek, sprzedaj; daj połowę

Ubogim, drugą na mszę za dusze czyscowe;

Wiem, co cierpią, jeżeli czyścić jest niewolą;

Mnie, kto wie, czy już kiedy słuchać mszy pozwolą.

KS. PIOTR

Pozwolą. – Za pierścionek ja ci dam przestrozę.

Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,

Będiesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie;

Szukaj męża, co więcej niżli oni umie;

Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże.

Słuchaj, co powie...

KONRAD

(wpatrując się)

Coż to? tyżeś?... czy być może?

Stój na chwilę... dla Boga...

KS. PIOTR

Bywaj zdrow! nie mogę.

KONRAD

Jedno słowo...

ŻOŁNIERZ

Nie wolno! każdy w swoją drogę. –

SCENA IX

NOC DZIADÓW

OPODAL WIDAĆ KAPLICĘ – SMĘTARZ – GUŚLARZ I KOBIETA W ŻAŁOBIE

GUŚLARZ

Już idą w cerkiew gromady
I wkrótce zaczną się Dziady,
Iść nam pora, już noc głucha.

KOBIETA

Ja tam nie pójdę, Guślarzu,
Ja chcę zostać na smętarzu,
Chcę jednego widzieć ducha:
Tego, co przed laty wielu
Zjawił się po mym weselu,
Co pośród duchów gromady

Stanął nagle krwawy, blady,
I mnie dzikim okiem łowił,
I ani słowa nie mówił.

GUŚLARZ

On żył może, gdym go badał,
Dlatego nie odpowiadał.
Bo na duchów zgromadzenie,
W tajemniczą noc na Dziady,
Można wzywać żywych cienie.
Ciała będą u biesiady
Albo u gry, albo w boju,
I zostaną tam w pokoju;
Dusza zwana po imieniu
Objawia się w lekkim cieniu;
Lecz póki żyje, ust nie ma,
Stoi biała, głucha, niema.

KOBIETA

Coż znaczyła w piersiach rana?

GUŚLARZ

Widać, że w duszę zadana.

KOBIETA

Ja tu sama zgubię drogę.

GUŚLARZ

Ja tu z tobą zostać mogę.

Tam beze mnie zrobią czary,

Jest tam inny guślarz stary. –

Czy słyszysz te śpiewy w dali?

Już się tam ludzie zebrali.

Pierwszą klątwę już zaklęli,

Klątwę wianka i kądzieli,

Wezwali powietrznych duchów.

Widzisz tych świateł tysiące,

Jakby gwiazdy spadające?

Ten ognistych ciąg łańcuchów?

To powietrznych roje duchów.

Patrz, już nad kaplicą świecą

Pod czarnym niebios obszarem,

Jak gołębie, kiedy lecą

W nocy nad miasta pożarem,

Gdy białymi skrzydeł puchy

Odbijając żar ogniska,

Ptastwo jak stado gwiazd błyska.

KOBIETA

On nie będzie z tymi duchy!

GUŚLARZ

Widzisz, blask z kaplicy bucha,
Teraz klęli ognia władzę;
Ciała w mocy złego ducha
Z pustyń, z mogił wyprowadzą.
Tędy będą ciągnąć duchy.
Poznasz go, jeśli pamiętasz;
Ukryj się ze mną w dąb suchy,
W ten dąb suchy i wygniły,
Tu się niegdyś wróżki kryły.
Już rusza się cały smętarz,
Rozwierają się mogiły,
Wybuchnął płomyk niebieski,
Podskakują w górę deski,
Wysuwają potępieńce
Blade głowy, długie ręce;
Widzisz oczy jak żarzewie,
Schowaj oczy, skryj się w drzewie.
Upiór z dala wzrokiem piecze,
Lecz guślarza nie urzecz.
Ha!

KOBIETA

Co widzisz?

GUŚLARZ

Trup to świeży!

W nie zgniłej jeszcze odzieży.

Dymem siarki trąci wkoło,

Czarne ma jak węgiel czoło.

Zamiast oczu – w jamach czaszki

Żarzą się dwie złote blaszki,

A w środku każdego kółka

Siedzi diablík, jak w źrenicy,

I wywraca wciąż koziołka,

Miga lotem błyskawicy.

Trup tu bieży, zębem zgrzyta,

Z ręki przelewa do ręki,

Jak gdyby z sita do sita,

Wrzące srebro – słyszysz jęki?

WIDMO

Gdzie kościół? – gdzie kościół? gdzie Boga lud chwali?

Gdzie kościół, ach, pokaż, człowiecze.

Ach, widzisz, jak we łbie ten dukat mię pali,

Jak srebro stopione dłoń piecze.

Ach, wylej, człowieku, dla biednej sieroty,

Dla więźnia jakiego, dla wdowy,

Ach, wylej mi z ręki żar srebrny i złoty,

I dukat ten wylup mi z głowy.

Ty nie chcesz! ha, kruszec przelewać ja muszę,

Aż kiedyś ten dzieci pożerca

Wyzionie łakomą, bezdenną swą duszę,

Ten kruszec mu wleję do serca.

A potem przez oczy, przez uszy wyleję

I znowu tym wleję korytem,

I będę tym trupem obracać jak sitem,

Naleję, wyleję, przesieję!

Ach, kiedyż przez niego ten kruszec przesieję!

Ach, czekać tak długo! – goreję! goreję!

(ucieka)

GUŚLARZ

Ha! –

KOBIETA

Co widzisz?

GUŚLARZ

Ha, jak blisko!

Drugi wylazł, ku nam bieży,

Jakie obrzydłe trupisko!

Blade, tłuste, trup to świeży,

I strój świeży ma na ciele,
Ubrany jak na wesele;
I gad niedawno go toczy,
Ledwie mu wpół wygryzł oczy.

Od kaplicy w stronę skoczył,
Czart go uwiodł, czart zamroczył,
Nie puści go do kaplicy.
Czart przybrał postać dziewicy
I na trupa rączką kiwa,
Okiem mruga, śmiechem wzywa;
Skacze ku niej trup zwiedziony
Z grobu na grób, jak szalony,
I rękami, i nogami
Wije, jak wiatrak skrzydłami,
Już pada do jej uścisków –
Wtem spod nóg jego wytryska
Dziesięć długich, czarnych pysków;
Wyskakują czarne psiska,
Od nóg lubej go porwały
I targają na kawały,
Członki krwawym pyskiem trzęsą,
Po polu roznoszą mięso.
Psy zniknęły. – Nowe dziwo,
Każda część trupa jest żywą:

Wszystkie jak oddzielne trupy
Biegą zebrać się do kupy.
Głowa skacze jak ropucha
I nozdrzami ogień bucha;
Czołgają się piersi trupa
Jak wielka żółwia skorupa –
Już zrosła się głowa z ciałem,
Jak krokodyl bieży cwałem.
Oderwanej ręki palce
Drżą, wiją się jak padalce;
Dłoń za piasek chwyta, grzebie,
I ciągnie rękę pod siebie,
I nogi się przyczółgały,
I znowu trup wstaje cały.
Znowu wabi ulubiona,
Znowu pada w jej ramiona,
Znowu go porwały czarty,
I znowu w sztuki rozdarty –
Ha! niech go więcej nie widzę!

KOBIETA

Tak się boisz?

GUŚLARZ

Tak się brzydzę!

Żółwie, padalce, ropuchy:
W jednym trupie tyle gadów!

KOBIETA

On nie będzie z tymi duchy!

GUŚLARZ

Wkrótce, wkrótce koniec Dziadów.
Słyszysz – trzeci kur już pieje;
Tam śpiewają ojców dzieje,
I rozchodzą się gromady.

KOBIETA

I nie przyszedł on na Dziady!

GUŚLARZ

Jeśli duch ten jeszcze w ciele,
Wymów teraz jego imię,
Ja na czarodziejskie ziele
W tajemniczym zaklnę rymie;
I duch ciało swe zostawi,
I przed tobą się objawi.

KOBIETA

Wymówiłam –

GUŚLARZ

On nie słucha –

Ja zakląłem.

KOBIETA

Nie ma ducha!

GUŚLARZ

O kobieto! twój kochanek

Albo zmienił ojców wiarę,

Albo zmienił imię stare.

Widzisz, już zbliża się ranek,

Gusła nasze moc straciły,

Nie pokaże się twój miły.

(Wychodzą z drzewa)

Cóż to? cóż to! – patrz: z zachodu,

Tam od Giedymina grodu,

Śród gęstych kłębow zamieci

Kilkadziesiąt wozów leci,

Wszystkie lecą ku północy,

Lecą, ile w koniach mocy.

Widzisz, jeden tam na przedzie.

W czarnym stroju –

KOBIETA

On!

GUŚLARZ

Tu jedzie.

KOBIETA

I znowu nazad zawrócił,

I tylko raz okiem rzucił,

Ach, raz tylko! – jakie oko!

GUŚLARZ

Pierś miał zbrczoną posoką,

Bo w tej piersi jest ran wiele:

Straszne cierpi on katusze,

Tysiąc mieczów miał on w ciele,

A wszystkie przeszły – aż w duszę.

Śmierć go chyba z ran uleczy.

KOBIETA

Któż weń wraził tyle mieczy?

GUŚLARZ

Narodu nieprzyjaciele.

KOBIETA

Jedną ranę miał na czole,
Jedną tylko i niewielką,
Zda się być czarną kropelką.

GUŚLARZ

Ta największe sprawia bole;
Jam ją widział, jam ją zbadał;
Tę ranę sam sobie zadał,
Śmierć z niej uleczyć nie może.

KOBIETA

Ach, ulecz go, wielki Boże!

Koniec aktu pierwszego

DZIADÓW CZ. III USTĘP

DROGA DO ROSJI

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie

Leci kibitka jako wiatr w pustynie;
I oczy moje jako dwa sokoły
Nad oceanem nieprzejrzanym krążą,
Porwane burzą, do lądu nie zdążą,
A widzą obce pod sobą żywioły,
Nie mają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,
W dół patrzą, czując, że tam muszą zginąć.

Oko nie spotka ni miasta, ni góry,
Żadnych pomników ludzi ni natury;
Ziemia tak pusta, tak nie zaludniona,
Jak gdyby wczora wieczorem stworzona.
A przecież nieraz mamut z tych ziem wstaje,
Żeglarz przybyły z falami potopu,
I mowę obcą moskiewskiemu chłopu
Głosi, że dawno stworzone te kraje
I w czasach wielkiej Noego żeglugi
Ląd ten handlował z azyjskimi smugi;
A przecież nieraz książka ukradziona
Lub gwałtem wzięta, przybywszy z zachodu,
Mówi, że ziemia ta nie zaludniona
Już niejednego jest matką narodu.
Lecz nurt potopu szedł przez te płaszczyzny,
Nie zostawiwszy dróg swojego rycia,
I hordy ludów wyszły z tej ojczyzny,

Nie zostawiwszy śladów swego życia;
I gdzieś daleko na alpejskiej skale
Ślad zostawiły stąd przybyłe fale,
I jeszcze dalej, na Rzymu pomnikach,
O stąd przybyłych mówią rozbojnikach.

Kraina pusta, biała i otwarta
Jak zgotowana do pisania karta.
Czyż na niej pisać będzie palec Boski,
I ludzi dobrych używszy za głoski,
Czyliż tu skryśli prawdę świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
Że trofeami świata są: ofiary?
Czyli też Boga nieprzyjaciół stary
Przyjdzie i w księdze tej wyryje mieczem,
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty,
Że trofeami ludzkości są: knuty?

Po polach białych, pustych wiatr szaleje,
Bryły zamieci odrywa i ciska,
Lecz morze śniegów wzdęte nie czernieje,
Wyzwane wichrem powstaje z łożyska
I znowu, jakby nagle skamieniałe,
Pada ogromne, jednostajne, białe.
Czasem ogromny huragan wylata

Prosto z biegunów; niewstrzymany w biegu
Aż do Euxinu równinę zmiata,
Po całej drodze miecąc chmury śniegu;
Często podróżne kibitki zakopie,
Jak symum błędnych Libów przy Kanopie.
Powierzchnię białych, jednostajnych śniegów
Gdzieniegdzie ściany czarniawe przebodły
I sterczą na kształt wysp i lądu brzegów:
To są północne świerki, sosny, jodły.
Gdzieniegdzie drzewa siekierą zrąbane,
Odarte i w stos złożone poziomy,
Tworzą kształt dziwny, jakby dach i ścianę,
I ludzi kryją, i zowią się: domy.
Dalej tych stosów rzucone tysiące
Na wielkim polu, wszystkie jednej miary:
Jak kitki czapek dmą z kominów pary,
Jak ładownice okienka błyszczące;
Tam domy rzędem szykowane w pary,
Tam czworobokiem, tam kształtnym obwodem;
I taki domów pułk zowie się: grodem.

Spotykam ludzi – z rozrostłymi barki,
Z piersią szeroką, z otyłymi karki;
Jako zwierzęta i drzewa północy
Pełni czerstwości i zdrowia, i mocy.

Lecz twarz każdego jest jak ich kraina,
Pusta, otwarta i dzika równina;
I z ich serc, jako z wulkanów podziemnych,
Jeszcze nie przeszedł ogień aż do twarzy,
Ani się w ustach rozognionych żarzy,
Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych –
Jak w twarzach ludzi wschodu i zachodu,
Przez które przeszło tyle po kolei
Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,
Że każda twarz jest pomnikiem narodu.
Tu oczy ludzi, jak miasta tej ziemi,
Wielkie i czyste – i nigdy zgiełk duszy
Niezwykłym rzutem źrenic nie poruszy,
Nigdy ich długa żałość nie zaciemi;
Z daleka patrząc – wspaniałe, przecudne,
Wszedłszy do środka – puste i bezludne.
Ciało tych ludzi jak gruba tkanica,
W której zimuje dusza gąsiennica,
Nim sobie piersi do lotu wyrobi,
Skrzydła wyprzędzie, wytcze i ozdobi;
Ale gdy słońce wolności zaświeci,
Jakiż z powłoki tej owad wyleci?
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię,
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?

Na wskroś pustyni krzyżują się drogi:
Nie przemysł kupców ich ciągi wymyślił,
Nie wydeptały ich karawan nogi;
Car ze stolicy palcem je nakryślił.
Gdy z polską wioską spotkał się ubogą,
Jeżeli trafił w polskich zamków ściany,
Wioska i zamek wnet z ziemią zrównany
I car ruiny ich zasypał – drogą.
Dróg tych nie dojrzeć w polu między śniegi,
Ale wśród puszczy dośledzi je oko:
Proste i długie na północ się wloką,
Świecą się w lesie, jak w skałach rzek biegi.

I po tych drogach ktoś jeździ? – Tu cwałem
Konnica wali przyprószona śniegiem,
A stamtąd czarnym piechota szeregiem
Między dział, wozów i kibitek wałem.
Te pułki podług carskiego ukazu
Ciagną ze wschodu, by walczyć z północą;
Tamte z północy idą do Kaukazu;
Żaden z nich nie wie, gdzie idzie i po co;
Żaden nie pyta. Tu widzisz Mogoła
Z nabrzmałym licem, małym, krzywym okiem;
A tam chłop biedny z litewskiego sioła,
Wybladły, tęskny, idzie chorym krokiem.

Tu błyszczą strzelby angielskie, tam łuki
I zmarzłą niosą cięciwę Kałmuki.
Ich oficery? – Tu Niemiec w karecie,
Nucąc Szyllera pieśń sentymentalną,
Wali spotkanych żołnierzy po grzbiecie.
Tam Francuz gwizdząc w nos pieśń liberalną,
Błędny filozof, karyjery szuka
I gada teraz z dowódcą Kałmuka,
Jak by najtaniej wojsku żywność kupić.
Cóż, że połowę wymorzą tej zgrai,
Kasy połowę będą mogli złupić,
I jeśli zręcznie dzieło się utai,
Minister wzniesie ich do wyższej klasy,
A car da order za oszczędność kasy.

A wtem kibitka leci – przednie stráže
I dział lawety, i chorych obozy
Pryskają z drogi, kędy się ukaże,
Nawet dowódców ustępują wozy.
Leci kibitka; żandarm powoźnika
Wali kułakiem, powoźnik żołnierzy
Wali biczyskiem, wszystko z drogi zmyka,
Kto się nie umknął, kibitka nań wbieży.
Gdzie? – Kto w niej jedzie? – Nikt nie śmie zapytać.
Żandarm tam jechał, pędzi do stolicy,

Zapewne cesarz kazał kogoś schwycić.
„Może ten żandarm jedzie z zagranicy? –
Mówi generał. – Kto wie, kogo złowił:
Może król pruski, francuski lub saski,
Lub inny Niemiec wypadł z cara łaski,
I car go w turmie zamknąć postanowił;
Może ważniejsza pochwycona głowa,
Może samego wiozą Jermołowa*.
Kto wie! ten więzień, chociaż w słomie siedzi,
Jak dziko patrzy! jaki to wzrok dumy:
Wielka osoba; za nim wozów tłumy:
To pewnie orszak nadwornej gawiedzi;
A wszyscy, patrz no, jakie oczy śmiałe;
Myślałem, że to pierwsze carstwa pany,
Że generały albo szambelany,
Patrz, oni wszyscy – to są chłopcy małe.
Co to ma znaczyć, gdzie ta zgraja leci?
Jakiegoś króla podejrzanę dzieci”.
Tak z sobą cicho dowódcy gadali;
Kibitka prosto do stolicy wali.

PRZEDMIEŚCIA STOLICY

Z dala, już z dala widno, że stolica.
Po obu stronach wielkiej, pysznej drogi

Rzędy pałaców. – Tu niby kaplica
Z kopułą, z krzyżem; tam jak siana stogi
Posągi stoją pod słomą i śniegiem;
Owdzie, za kolumn korynckich szeregiem,
Gmach z płaskim dachem, pałac letni, włoski,
Obok japońskie, mandaryńskie kioski
Albo z klasycznych czasów Katarzyny
Świeżo małpione klasyczne ruiny.
Różnych porządków, różnych kształtów domy,
Jako zwierzęta z różnych końców ziemi,
Za parkanami stoją żelaznemi,
W osobnych klatkach. – Jeden niewidomy:
Pałac krajowej ich architektury,
Wymysł ich głowy, dziecko ich natury.
Jakże tych gmachów cudowna robota!
Tyle kamieni na kępach wśród błota!
W Rzymie, by dźwignąć teatr dla cesarów,
Musiano niegdyś wylać rzekę złota*;
Na tym przedmieściu podle służby carów,
By swe rozkoszne zamtuzy dźwignęli,
Ocean naszej krwi i łez wyleli.

Żeby zwieźć głązy do tych obelisków,
Ileż wymyślić trzeba było spisków,
Ilu niewinnych wygnać albo zabić,

Ile ziem naszych okraść i zagrabieć;
Póki krwią Litwy, łzami Ukrainy
I złotem Polski hojnie zakupiono
Wszystko, co mają Paryże, Londyny,
I po modnemu gmachy wystrojono,
Szampanem zmyto podłogi bufetów
I wydeptano krokiem menuetów.

Teraz tu pusto. – Dwór w mieście zimuje,
I dworskie muchy, ciągnące za wonią
Carskiego ścierwa, za nim w miasto gonią.
Teraz w tych gmachach wiatr tylko tańczy;
Panowie w mieście, car w mieście. – Do miasta
Leci kibitka; zimno, śnieżno było;
Z zegarów miejskich zagrzmiała dwunasta,
A słońce już się na zachód chyliło*.
Niebios sklepienie otwarte szeroko,
Bez żadnej chmurki, czcze, ciche i czyste,
Bez żadnej barwy, blado przezroczyste,
Jako zmarzłego podróżnika oko.

Przed nami miasto. – Nad miastem do góry
Wznoszą się dziwnie, jak podniebne grody,
Słupy i ściany, krużganki i mury,
Jak babilońskie wiszące ogrody:

To dymy z dwiestu tysięcy kominów
Prosto i gęsto kolumnami lecą,
Te jak marmury kararyjskie świecą,
Tamte się żarzą iskrami rubinów;
W górze wierzchołki zginają i łączą,
Kręcą w krużganki i łukami płaczą,
I ścian, i dachów malują widziadła;
Jak owe miasto, co nagle powstanie
Ze śródziemnego czystych wód zwierciadła
Lub na libijskim wybuchnie tumanie,
I wabi oko podróżnych z daleka,
I wiecznie stoi, i wiecznie ucieka*.

Już zdjęto łańcuch, bramy otwierają,
Trzęsą, badają, pytają – wpuszczają.

PETERSBURG

Za dawnych greckich i italskich czasów
Lud się budował pod przybytkiem Boga,
Nad źródłem nimfy, pośród świętych lasów,
Albo na górach chronił się od wroga.
Tak zbudowano Ateny, Rzym, Spartę.
W wieku gotyckim pod wieżą barona,
Gdzie była cała okolic obrona,

Stawały chaty do wałów przyparte;
Albo pilnując spławnej rzeki cieków
Rosły powoli z postępami wieków.
Wszystkie te miasta jakieś bóstwo wzniosło,
Jakiś obrońca lub jakieś rzemiosło.

Ruskiej stolicy jakież są początki?
Skąd się zachciało sławiańskim tysiącom
Leżeć w te ostatnie swoich dzierżaw kątki
Wydarte świeżo morzu i Czuchoncom*?
Tu grunt nie daje owoców ni chleba,
Wiatry przynoszą tylko śnieg i słoty;
Tu zbyt gorące lub zbyt zimne nieba,
Srogie i zmienne jak humor despoty.
Nie chcieli ludzie – błotne okolice
Car upodobał, i stawić rozkazał
Nie miasto ludziom, lecz sobie stolicę:
Car tu wszechmocność woli swej pokazał. –

W głąb ciekłych piasków i błotnych zatopów
Rozkazał wpędzić sto tysięcy palów
I wdeptać ciała stu tysięcy chłopów.
Potem na palach i ciałach Moskalów
Grunt założywszy, inne pokolenia
Zaprzągnął do taczek, do wozów, okrętów,

Sprowadzać drzewa i sztuki kamienia
Z dalekich lądów i z morskich odmętów*.

Przypomniął Paryż – wnet paryskie place
Kazał budować. Widział Amsterdamy –
Wnet wodę wpuścił i porobił tamy.
Słyszał, że w Rzymie są wielkie pałace –
Pałace stają. Wenecka stolica,
Co wpół na ziemi, a do pasa w wodzie
Pływa jak piękna syrena-dziewica,
Uderza cara – i zaraz w swym grodzie
Porznął błotniste kanałami pole,
Zawiesił mosty i puścił gondole.
Ma Wenecyją, Paryż, Londyn drugi,
Prócz ich piękności, poloru, żeglugi.
U architektów sławne jest przysłowie,
Że ludzi ręką był Rzym budowany,
A Wenecyją stawili bogowie;
Ale kto widział Petersburg, ten powie,
Że budowały go chyba szatany.

Ulice wszystkie ku rzece pobiegły:
Szerokie, długie, jak wąwozy w górach.
Domy ogromne: tu głązy, tam cegły,
Marmur na glinie, glina na marmurach;

A wszystkie równe i dachy, i ściany,
Jak korpus wojska na nowo ubrany.
Na domach pełno tablic i napisów;
Śród pism tak różnych, języków tak wielu,
Wzrok, ucho błądzi jak w wieży Babelu.
Napis: „Tu mieszka Achmet, Chan Kirgisów,
Rządzący polskich spraw departamentem,
Senator”. – Napis: „Tu monsieur Żoko
Lekcje daje paryskim akcentem,
Jest kuchtą dworskim, wódczanym poborcą,
Basem w orkiestrze, przy tym szkół dozorcą”.
Napis: „Tu mieszka Włoch Piacere Gioco.
Robił dla frejlin carskich salcesony,
Teraz paniński pensjon otwiera”.
Napis: „Mieszkanie pastora Dienera,
Wielu orderów carskich kawalera.
Dziś ma kazanie, wyklada z ambony,
Że car jest papież z Bożego ramienia,
Pan samowładny wiary i sumnienia.
I wzywa przy tym braci kalwinistów,
Socynijanów i anabaptystów,
Aby jak każe imperator ruski
I jego wierny alijant król pruski,
Przyjąwszy nową wiarę i sumnienie,
Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie*”.

Napis: „Tu stroje damskie” – dalej: „Nuty”;

Tam robią: „Dzieciom zabawki” – tam: „Knuty”.

W ulicach kocz, karety, landary;

Mimo ogromu i bystrego lotu

Na łyżwach błysną, znikną bez łoskotu,

Jak w panorama czarodziejskie mary.

Na kozłach koczów angielskich brodaty

Siedzi woźnica; szron mu okrył szaty,

Brodę i wąsy, i brwi; biczem wali;

Przodem na koniach lecą chłopcy mali

W kożuchach, istne dzieci Boreasza;

Świszczą piskliwie i gmin się rozprasza,

Pierzcha przed koczem saneczek gromada,

Jak przed okrętem białych kaczek stada.

Tu ludzie biegą, każdego mróz goni,

Żaden nie stanie, nie patrzy, nie gada;

Każdego oczy zmrużone, twarz blada,

Każdy trze ręce i zębami dzwoni,

I z ust każdego wyzioniona para

Wychodzi słupem, prosta, długa, szara.

Widząc te dymem buchające gminy,

Myślisz, że chodzą po mieście kominy*.

Po bokach gminnej cisnącej się trzody

Ciągną poważnie dwa ogromne rzędy,
Jak procesyje w kościelne obrzędy
Lub jak nadbrzeżne bystrej rzeki lody.
I gdzież ta zgraja wlecze się powoli,
Na mróz nieczuła jak trzoda soboli? –
Przechadzka modna jest o tej godzinie;
Zimno i wietrzno, ale któż dba o to,
Wszak cesarz tędy zwykł chodzić piechoto,
I cesarzowa, i dworu mistrzynie.
Idą marszałki, damy, urzędniki,
W równych abcugach: pierwszy, drugi, czwarty,
Jako rzucane z rąk szulera karty,
Króle, wyźniki, damy i niżniki,
Starki i młodki, czarne i czerwone,
Padają na tę i na ową stronę,
Po obu stronach wspaniałej ulicy,
Po mostkach lśnącym wysłanych granitem.
A naprzód idą dworscy urzędnicy:
Ten w futrze ciepłym, lecz na wpół odkrytem,
Aby widziano jego krzyżów cztery;
Zmarznie, lecz wszystkim pokaże order;
Wyniosłym okiem równych sobie szuka
I, gruby, pełźnie wolnym chodem żuka.
Dalej gwardyjskie modniejsze młokosy,
Proste i cienkie jak ruchome piki,

W pól ciała tego związane jak osy.
Dalej z pochyłym karkiem czynownicy,
Spode łba patrzą, komu się pokłonić,
Kogo nadeptać, a od kogo stronić;
A każdy giętki, we dwoje skurczony,
Tuląc się pełzną jako skorpiony.
Pośrodku damy jako pstre motyle,
Tak różne płaszcze, kapeluszów tyle;
Każda w paryskim świeci się stroiku
I nóżką miga w futrzanym trzewiku;
Białe jak śniegi, rumiane jak raki. –
Wtem dwór odjeżdża; stanęły orszaki.
Podbiegły wozy, ciągnące jak statki
Obok pływaczów w głębokiej kąpieli.
Już pierwsi w wozy wsiedli i zniknęli;
Za nimi pierzchły piechotne ostatki.
Niejeden kaszlem suchotniczym stęknie,
A przecież mówi: „Jak tam chodzić pięknie!
Cara widziałem, i przed jenerałem
Nisko kłaniałem, i z paziem gadałem!”

Szło kilku ludzi między tym natłokiem,
Różni od innych twarzą i odzieniem,
Na przechodzących ledwo rzucą okiem,
Ale na miasto patrzą z zadumieniem.

Po fundamentach, po ścianach, po szczytach,
Po tych żelazach i po tych granitach
Czepiają oczy, jakby próbowali,
Czy mocno każda cegła osadzona;
I opuścili z rozpaczą ramiona,
Jak gdyby myśląc: człowiek ich nie zwali!
Dumali – poszli – został z jedynastu
Pielgrzym sam jeden; zaśmiał się złośliwie,
Wzniósł rękę, ścisnął i uderzył mściwie
W głaz, jakby groził temu głazów miastu.
Potem na piersiach założył ramiona
I stał dumając, i w cesarskim dworze
Utkwił źrenice dwie jako dwa noże;
I był podobny wtenczas do Samsona,
Gdy zdradą wzięty i skuty więzami
Pod Filistynów dumał kolumnami.
Na czoło jego nieruchome, dumne
Nagły cień opadł, jak całun na trumnę,
Twarz blada strasznie zaczęła się mroczyć;
Rzekłbyś, że wieczór, co już z niebios spadał,
Naprzód na jego oblicze osiadał
I stamtąd dalej miał swój cień roztoczyć.

Po prawej stronie już pustej ulicy
Stał drugi człowiek – nie był to podróżny,

Zdał się być dawnym mieszkańcem stolicy,
Bo rozdawając między lud jałmużny,
Każdego z biednych po imieniu witał,
Tamtych o żony, tych o dzieci pytał.
Odprawił wszystkich, wsparł się na granicie
Brzeżnych kanałów i wodził oczyma
Po ścianach gmachów i po dworca szczycie,
Lecz nie miał oczu owego pielgrzyma,
I wzrok wnet spuszczał, kiedy szedł z daleka
Biedny, żebrzący żołnierz lub kaleka.
Wzniósł w niebo ręce, stał i dumał długo –
W twarzy miał wyraz niebieskiej rozpacz.
Patrzył jak anioł, gdy z niebios posługą
Między czyscowe dusze zstąpić raczy
I widzi całe w męczarniach narody,
Czuje, co cierpią, mają cierpieć wieki –
I przewiduje, jak jest kres daleki
Tylu pokoleń zbawienia – swobody.
Oparł się płacząc na kanałów brzegu,
Łzy gorzkie biegły i zginęły w śniegu;
Lecz Bóg je wszystkie zbierze i policzy,
Za każdą odda ocean słodczy.

Późno już było, oni dwaj zostali,
Oba samotni, i chociaż odlegli,

Na koniec jeden drugiego postrzegli
I długo siebie nawzajem zważali.
Pierwszy postąpił człowiek z prawej strony:
„Bracie, rzekł, widzę, żeś tu zostawiony
Sam jeden, smutny, cudzoziemiec może;
Co ci potrzeba, rozkaż w imię Boże;
Chrześcijaninem jestem i Polakiem,
Witam cię Krzyża i Pogoni znakiem”.

Pielgrzym, zbyt swymi myślami zajęty,
Otrząsnął głową i uciekł z wybrzeża;
Ale nazajutrz, gdy myśli swych męty
Z wolna rozjaśnia i pamięć odświeża,
Nieraz żałuje owego natręta;
Jeśli go spotka, pozna go, zatrzyma;
Choć rysów jego twarzy nie pamięta,
Lecz w głosie jego i w słowach coś było
Znanego uszom i duszy pielgrzyma –
Może się o nim pielgrzymowi śniło.

POMNIK PIOTRA WIELKIEGO

Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńce
Pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce:
Jeden – ów pielgrzym, przybylec z zachodu,

Nieznana carskiej ofiara przemocy;
Drugi był wieszczem ruskiego narodu,
Sławny pieśniami na całej północy.
Znali się z sobą niedługo, lecz wiele –
I od dni kilku już są przyjaciele.
Ich dusze wyższe nad ziemne przeszkody,
Jako dwie Alpów spokrewnione skały:
Choć je na wieki rozerwał nurt wody,
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.
Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,
A wieszcz rosyjski tak rzekł cichym głosem:

„Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,
Druga carowa pamiętnik stawiała*.
Już car odlany w kształcie wielkoluda
Siadł na brązowym grzbiecie bucefała
I miejsca czekał, gdzie by wjechał konno.
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,
W ojczyźnie jemu nie dosyć przestronno,
Po grunt dla niego posłano za morze.
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży
Wzgórek granitu; ten na Pani słowo
Płynie po morzu i po lądzie bieży,
I w mieście pada na wznak przed carową*.

Już wzgórek gotów; leci car miedziany,
Car knutowładny w todze Rzymianina,
Wskakuje rumak na granitu ściany,
Staje na brzegu i w górę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,
Który tym naprzód rozślawił swe imię,
Że wygnał szpiegów i donosicieli;
A kiedy zdzierców domowych poskromił,
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu
Hordy najeźdźców barbarzyńskich zgromił,
Do spokojnego wraca Kapitolu.
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wzniósł, jak gdyby wkoło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca.
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
I krzyczał: „Cesarz, ojciec nasz powraca!”
Cesarz chciał z wolna jechać między tłokiem,
Wszystkich ojcowskim udarować okiem.
Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci,
Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,

Że wiezie ojca milionom dzieci,
I sam hamuje ogień swej żywości;
Dzieci przyjsć blisko, ojca widzieć mogą,
Koń równym krokiem, równą stąpa drogą.
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności*!

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,
Widać, że leciał tratując po drodze,
Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.
Już koń szalony wzniósł w górę kopyta,
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta,
Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały.

Od wieku stoi, skacze, lecz nie spada,
Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie –
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa,
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?”

PRZEGLĄD WOJSKA

Jest plac ogromny: jedni zowią szczwalnią,
Tam car psy wtrawia, nim puści na zwierza;
Drudzy plac zowią grzeczniej gotowalnią,

Tam car swe stroje próbuje, przymierza,
Nim w rury, w piki, w działa ustrojony,
Wyjdzie odbierać monarchów pokłony. –
Kokietka idąc na bal do pałacu
Nie tyle trawi przed zwierciadłem czasów,
Nie robi tyle umizgów, grymasów,
Ile car co dzień na tym swoim placu.

Inni w tym placu widzą saranczarnię,
Mówią, że car tam hoduje nasiona
Chmury sarańczy, która wypasiona
Wyleci kiedyś i ziemię ogarnie.

Są, co plac zowią toczydłem chirurga,
Bo tu car naprzód lancety szlifuje,
Nim wyciągnąwszy rękę z Petersburga,
Tnie tak, że cała Europa poczuje;
Lecz nim wysłedzi, jak głęboka rana,
Nim plastr obmyśli od nagłej krwi straty,
Już car puls przetnie szacha i sułtana
I krew wypuści spod serca Sarmaty.

Plac różnych imion, lecz w języku rządów
Zowie się placem wojskowych przeglądów.
Dziesiąta – ranek – już przeglądów pora,

Już plac okrąża ludu zgraja cicha,
Jako brzeg czarny białego jeziora;
Każdy się tłoczy, na środek popycha.
Po placu, jako rybitwy nad wodą,
Zwija się kilku dońców i dragunów;
Ciekawsze głowy tylcem piki bodą,
Na bliższe karki sypią grad bizunów.
Kto wylazł naprzód jak żaba z bagniska,
Ze łbem się cofa i kark w tłumy wciska.
Słysząc grzmot z dala, głuchy, jednostajny,
Jak kucie młotów lub młócenie cepów:
To bęben, pułków przewodnik zwyczajny,
Za nim szeregi ciągną się wzdłuż stepów,
Mnogie i różne, lecz w jednym ubiorze,
Zielone, w śniegu czernią się z daleka;
I płynie każda kolumna jak rzeka,
I wszystkie w placu toną jak w jeziorze.

Tu mi daj, muzo, usta stu Homerów,
W każde wsadź ze sto paryskich języków,
I daj mi pióra wszystkich buchalterów,
Bym mógł wymienić owych pułkowników,
I oficerów, i podoficerów,
I szeregowych zliczyć bohaterów.

Lecz bohaterzy tak podobne sobie,
Tak jednostajne! stoi chłop przy chłopie,
Jako rząd koni żujących przy żłobie,
Jak kłosa w jednym uwiązane snopie,
Jako zielone na polu konopie,
Jak wiersze książki, jak skiby zagonów,
Jak petersburskich rozmowy salonów.
Tyle dostrzegłem, że jedni z Moskalów,
Wyżsi od drugich na pięć lub sześć calów,
Mieli na czapkach mosiężne litery
Jakby łysinki – to grenadyjery;
I było takich trzy zgraje wężalów.
Za nimi niżsi stali w mnogich rzędach,
Jak pod liśćmi ogórki na grzędach.
Żeby rozróżnić pułki w tej piechocie,
Trzeba mieć bystry wzrok naturalisty,
Który przegląda wykopane w błocie
I gatunkuje, i nazywa glisty.

Zagrzmiały trąby – to konne orszaki,
I rozmaitsze, ułanów, huzarów,
Dragonów: czapki, kirysy, kołpaki –
Myślałbyś, że tu kapelusznic jaki
Rozłożył składy swych różnych towarów;
W końcu pułk wjechał: chłopcy gdyby hlaki,

Okute miedzią jak rząd samowarów,
A spodem pyski końskie jako haki.
Pułki w tak różnych ubiorach i broniach
Najlepiej będzie rozróżnić po koniach;
Bo tak i nowa taktyka doradza,
I z obyczajem ruskim to się zgadza.
Napisał wielki generał Żomini,
Że koń, nie człowiek, dobrą jazdę czyni;
Dawno już o tym wiedzieli Rusini:
Bo za dobrego konia gwardyjaka
Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy*.
Oficerskiego cena jest czworaka,
I za takiego konia dać należy
Lutnistę, skoczka albo też pisarza,
A w czasach drogich nawet i kucharza.
Skarbowe chude, poderwane klacze,
Nawet te, które wożą lazarety,
Jeśli je stawią w faraona gracje,
Liczą się zawsze: klacz za dwie kobiety.

Wróćmy do pułków. – Pierwszy wjechał kary,
Drugi też kary, lecz angliczowany,
Dwa było gniade, a piąty bułany,
Siódmy znów gniady, ósmy jak mysz szary,
Dziewiąty rosły, dziesiąty mierzyna,

A potem znowu kary bez ogona,
U dwunastego na czole łysina,
A zaś ostatni wyglądał jak wrona.

Harmat wjechało czterdzieści i osim,
Jaszczyków więcej niżli drugie tyle;
Wszystkiego dwieście, jak po wierzchu wnosim:
Bo żeby dobrze zliczyć w jedną chwilę
Śród mnóstwa koni i ludzi motłochu,
Trzeba mieć oko twe, Napoleonie,
Lub twoje, ruski intendencie prochu –
Ty, nie zważając na ludzi i konie,
Jaszczyków patrzysz, wnet liczbę ich zgadłeś,
Wiesz, ile w każdym ładunków ukradłeś.

Już plac okryły zielone mundury,
Jak trawy, w które ubiera się łąka,
Gdzieniegdzie tylko wznosi się do góry
Jaszczyk podobny do błotnego bąka
Lub polnej pluskwy z zielonawym grzbietem,
A przy nim działa ze swoim lawetem
Usiadło na kształt czarnego pająka.

Każdy ten pajak ma nóg przednich cztery
I cztery tylnych: zowią się te nogi

Kanonijery i bombardyjery.

Jeżeli siedzi spokojnie wśród drogi,

Noga się każda gdzieś daleko rucha;

Myślisz, że całkiem oddzielne od brzucha,

I brzuch jak balon w powietrzu ulata.

Lecz skoro cicha, drzemiąca harmata

Nagle się zbudzi rozkazem wyzwana,

Jak tarantula, gdy jej kto w nos dmuchnie*,

Wnet ściągnie nogi, podchyła kolana

I nim się nadmie, nim jady wybuchnie,

Zrazu przednimi kanonijerami

Około pyska długo, szybko wije

Jak mucha, co się w arszeniku splami,

Siadłszy swój czarny pyszczek długo myje;

Potem dwie przednie nogi w tył wywróci,

Tylnymi kręci, potem kiwa zadem,

Nareszcie wszystkie nogi w bok rozrzuci,

Chwilę spoczywa, w końcu buchnie jadem.

Pułki stanęły – patrzą – car, car jedzie,

Tuż kilku starych, konnych admirałów,

Tłum adiutantów i ćma generałów

Z tyłu i z przodu, a car sam na przedzie.

Orszak dziwacznie pstry i cętkowany,

Jak arlekiny: pełno na nich wstążek*,

Kluczyków, cyfer, portrecików, sprzążek,
Ten sino, tamten żółto przepasany,
Na każdym gwiazdek, kólek i krzyżyków
Z przodu i z tyłu więcej niż guzików.

Świecą się wszyscy, lecz nie światłem własnym,
Promienie na nich idą z oczu pańskich;
Każdy jenerał jest robaczkiem jasnym,
Co błyszczy pięknie w nocach świętojańskich;
Lecz skoro przejdzie wiosna carskiej łaski,
Nędzne robaczki tracą swoje blaski:
Żyją, do cudzych krajów nie uciekają,
Ale nikt nie wie, gdzie się w błocie wleką.
Jenerał w ogień śmiałym idzie krokiem,
Kula go trafi, car się doń uśmiechnie;
Lecz gdy car strzeli niełaskawym okiem,
Jenerał bladnie, słabnie, często – zdechnie.

Śród dworzan prędeż znalazłbyś stoików,
Wspaniałe dusze – choć gniew cara czują,
Ani się zarzną, ani zachorują*;
Wyjadą na wieś do swych pałacików
I piszą stamtąd: ten do szambelana,
Ów do metresy, ów do damy dworu,
Liberalniejsi piszą do furmana.

I znowu z wolna wróćą do faworu. –
Tak z domu oknem zrucony pies zdycha,
Kot miauknie tylko, lecz stanie na nogi
I znowu szuka do powrotu drogi,
I jakąś dziurą znowu wnidzie z cicha;
Nim stoik w służbę wróci tryumfalnie,
Na wsi rozprawia cicho – liberalnie.

Car był w mundurze zielonym, z kołnierzem
Złotym. Car nigdy nie zruca mundura;
Mundur wojskowy jest to carska skóra,
Car rośnie, żyje i – gnije żołnierzem.

Ledwie z kolebki dziecko wyjdzie carskie,
Zaraz do tronu zrodzony paniczek
Ma za strój kurtki kozackie, huzarskie,
A za zabawkę szabelkę i – biczek.
Sylabizując szabelką wywija
I nią wskazuje na książce litery;
Kiedy go tańczyć uczą guwernery*,
Biczkiem takty muzyki wybija.
Dorośli, całą jest jego zabawą
Zbierać żołnierzy do swojej komnaty,
Komenderować na lewo, na prawo,
I wprawiać pułki w musztrę – i pod baty.

Tak się car każdy do tronu sposobił,
Stąd ich Europa boi się i chwali;
Słusznie z Krasickim starzy powiadali:
„Mądry przegadał, ale głupi pobił”.

Piotra Wielkiego niechaj pamięć żyje,
Pierwszy on odkrył tę Caropedyję.
Piotr wskazał carom do wielkości drogę;
Widział on mądre Europy narody
I rzekł: „Rosyję zeuropejczyć mogę,
Obetnę suknie i ogolę brody”.
Rzekł – i wnet poły bojarów, kniazików
Ścięto jak szpaler francuskiego sadu;
Rzekł – i wnet brody kupców i muzyków
Sypią się chmurą jak liście od gradu.
Piotr zaprowadził bębny i bagnety,
Postawił turmy, urządził kadety,
Kazał na dworze tańczyć menuety
I do towarzystw gwałtem wwiodł kobiety;
I na granicach poosadzał strażę,
I łańcuchami pozamykał porty,
Utworzył senat, szpiegi, dygnitarze,
Odkupy wódek, czyny i paszporty;
Ogolił, umył i ustroił chłopca,

Dał mu broń w ręce, kieszeń narublował
I zadziwiona krzyknęła Europa:
„Car Piotr Rosyją ucywilizował”.
Zostało tylko dla następnych carów
Przylewać kłamstwa w brudne gabinety,
Przysyłać w pomoc despotom bagnety,
Wyprawić kilka rzezi i pożarów;
Zagrabiać cudze dokoła dzierżawy,
Skradać poddanych, płacić cudzoziemców,
By zyskać oklask Francuzów i Niemców,
Ujść za rząd silny, mądry i łaskawy.

Niemcy, Francuzi, zaczekajcie nieco!
Bo gdy wam w uszy zabrzmi huk ukazów,
Gdy knutów grady na karki wam zlecą,
Gdy was pożary waszych miast oświecą,
A wam natenczas zabraknie wyrazów;
Gdy car rozkaże ubóstwiać i sławić
Sybir, kibitki, ukazy i knuty –
Chyba będziecie cara pieśnią bawić,
Waryjowaną na dzisiejsze nuty.

Car jak kręgielna kula między szyki
Wleciał i spytał o zdrowie gawiedzi;
„Zdrowia ci życzym”, szepcą wojownicy,

Ich szepty były jak mruk stu niedźwiedzi.
Dał rozkaz – rozkaz wymknął się przez zęby
I wpadł jak piłka w usta komendanta,
I potem gnany od gęby do gęby
Na ostatniego upada szereganta.

Jęknęły bronie, szczękęły pałasze
I wszystko było zmieszane w odmęcie:
Na linijowym kto widział okręcie
Ogromny kocioł, w którym robią kaszę,
Kiedy weń woda z pompy jako z rzeczki
Bucha, a w wodę sypie majtków rzesza
Za jednym razem krup ze cztery beczki,
Potem dziesiątkiem wioseł w kotle miesza;
Kto zna francuską izbę deputatów,
Większą i stokroć burzliwszą od kotła,
Kiedy w nie projekt komisja wmiotła
I już nadchodzi godzina debatów:
Cała Europa, czując z dawna głody,
Myśli, że dla niej tam warzą swobody;
Już liberalizm z ust jako z pomp bucha;
Ktoś tam o wierze wspomniał na początku,
Izba się burzy, szumi i nie słucha;
Ktoś wspomniał wolność, lecz nie zrobił wrzątku,
Ktoś wreszcie wspomniał o królów zamiarach,

O biednych ludach, o despotach, carach,
Izba znudzona krzyczy: „Do porządku!”
Aż tu minister skarbu, jakby z drągiem,
Wbiega z ogromnym budżetu wyciągiem,
Zaczyna mieszać mową o procentach,
O cłach, opłatach, stemplach, remanentach;
Izba wre, huczy i kipi, i pryska,
I szumowiny aż pod niebo ciska;
Ludy się cieszą, gabinety straszą,
Aż się dowiedzą wszyscy na ostatku,
Że była mowa tylko – o podatku.

Kto tedy widział owy kocioł z kaszą
Lub ową izbę – ten łatwo zrozumie,
Jaki gwar powstał w tylu pułków tłumie,
Gdy rozkaz carski wleciał w środek kupy.
Wtem trzystu bębnow ozwały się huki,
I jak łód Newy gdy pryśnie na sztuki,
Piechota w długie porznęła się słupy.
Kolumny jedne za drugimi dążą,
Przed każdą bęben i komendant woła;
Car stał jak słońce, a pułki dokoła
Jako planety toczą się i krążą.

Wtem car wypuścił stado adiutantów,

Jak wróble z klatki albo psy ze smyczy;
Każdy z nich leci, jak szalony krzyczy,
Wrzask jenerałów, majorów, szerżantów,
Huk tarabanów, piski muzykantów –
Nagle piechota, jak lina kotwicy
Z kłębów rozwita, wyciąga się sznurem;
Ściany idącej pułkami konnicy
Łączą się, wiążą, jednym stają murem.

Jakie zaś dalej były tam obroty,
Jak jazda rącza i niezwyciężona
Leciała obses na karki piechoty:
Jak kundlów psiarnia trąbą poduszczona
Na związanego niedźwiedzia uderza,
Widząc, że w kluby ujęto pysk zwierza;
Jak się piechota kupi, ściska, kurczy,
Nadstawia bronie jako igły jeża,
Który poczuje, że pies nad nim burczy;
Jak wreszcie jazda w ostatnim poskoku
Targniona smyczą powściągnęła kroku;
I jak harmaty w przód i w tył ciągnano,
Jak po francusku, po rusku łajano,
Jak w areszt brano, po karkach trzepano,
Jak tam marzniono i z koni spadano,
I jak carowi w końcu winszowano –

Czuję tę wielkość, bogactwo przedmiotu!
Gdybym mógł opiać, wsławiłbym me imię,
Lecz muza moja jak bomba w pół lotu
Spada i gaśnie w prozaicznym rymie,
I śród głównego manewrów obrotu,
Jak Homer w walce bogów – ja – ach, drzymię.

Już przerobiono wojskiem wszystkie ruchy,
O których tylko car czytał lub słyszał;
Śród zgrai widzów już się gwar uciszał,
Już i sukmany, delije, kozuchy,
Co się czerniły gęsto wkoło placu,
Rozpełzały się każda w swoją stronę,
I wszystko było zmarzłe i znudzone –
Już zastawiano śniadanie w pałacu.

Ambasadowy zagranicznych rządów,
Którzy pomimo i mrozu, i nudy,
Dla łaski carskiej nie chybią przeglądów
I co dzień krzyczą: „o dziwy! o cudy!”
Już powtórzyli raz tysięczny drugi
Z nowym zapalem dawne komplementy:
Że car jest taktyk w planach niepojęty,
Że wielkich wodzów ma na swe usługi,
Że kto nie widział, nigdy nie uwierzy,

Jaki tu zapal i męstwo żołnierzy.

Na koniec była rozmowa skończona

Zwyczajnym śmiechem z głupstw Napoleona;

I na zegarek już każdy spozierał,

Bojąc się dalszych galopów i kłusów;

Bo mróz dociskał dwudziestu gradusów,

Dusiła nuda i głód już doskwierał.

Lecz car stał jeszcze i dawał rozkazy;

Swe pułki siwe, kare i bułane

Puszcza, wstrzymuje po dwadzieście razy;

Znowu piechotę przedłuża jak ścianę,

Znowu ją ściska w czworobok zawarty

I znowu na kształt wachlarza roztacza.

Jak stary szuler, choć już nie ma gracza,

Miesza i zbiera, i znów miesza karty;

Choć towarzystwo samego zostawi,

On się sam z sobą kartami zabawi.

Aż sam się znudził, konia nagle zwrócił

I w jenerałów ukrył się natłoku;

Wojsko tak stało, jak je car porzucił,

I długo z miejsca nie ruszyło kroku.

Aż trąby, bębny dały znak nareszcie:

Jazda, piechota, długich kolumn dwieście

Płyną i toną w głębi ulic miejskich –
Jakże zmienione, niepodobne wcale
Do owych bystrych potoków alpejskich,
Co rycząc mętne wałą się po skale,
Aż w jezior jasnym spotkają się łonie
I tam odpoczną, i oczyszczą wody,
A potem z lekka nowymi wychody
Błyskają, tocząc szmaragdowe tonie. –
Tu pułki weszły czerstwe, czyste, białe;
Wyszły zziąbane i oblane potem,
Roztopionymi śniegi poczerniałe,
Brudne spod lodu wydeptanym błotem.

Wszyscy odeszli: widze i aktory.
Na placu pustym, samotnym zostało
Dwadzieście trupów: ten ubrany biało,
Żołnierz od jazdy; tamtego ubiory
Nie zgadniesz jakie, tak do śniegu wbity
I stratowany końskimi kopyty.
Ci zmarzli, stojąc przed frontem jak słupy,
Wskazując pułkom drogę i cel biegu;
Ten się zmyliwszy w piechoty szeregu
Dostał w łeb kolbą i padł między trupy.

Biorą ich z ziemi policyjskie służby

I niosą chować; martwych, rannych społem;
Jeden miał zebra złamane, a drugi
Był wpół harmatnym przejechany kołem;
Wnętrznosci ze krwią wypadły mu z brzucha,
Trzykroć okropnie spod harmaty krzyknął,
Lecz major woła: „Milcz, bo car nas słucha”;
Żołnierz tak słuchać majora przywyknął,
Że zęby zaciął; nakryto co żywo
Rannego płaszczem, bo gdy car przypadkiem
Z rana jest takiej nagłej śmierci świadkiem
I widzi na czczo skrwawione mięsiwo –
Dworzanie czują w nim zmianę humoru,
Zły, opryskliwy powraca do dworu,
Tam go czekają z śniadaniem nakrytem,
A jeść nie może mięsa z apetytem.

Ostatni ranny wszystkich bardzo zdziwił:
Grożono, bito, próżna groźba, kara,
Jenerałowi nawet się sprzeciwił,
I jęczał głośno – kłął samego cara.
Ludzie niezwykłym przerażeni krzykiem
Zbiegli się nad tym parad męczennikiem.

Mówią, że jechał z dowódcy rozkazem,
Wtem koń mu stanął jak gdyby zaklęty,

A z tyłu wleciał cały szwadron razem;
Złamano konia, i żołnierz zepchnięty
Leżał pod jazdą płynącą korytem;
Ale od ludzi litościwsze konie:
Skakał przez niego szwadron po szwadronie,
Jeden koń tylko trafił weń kopytem
I złamał ramię; kość na wpół rozpadła
Przedarła mundur i ostrzem sterczała
Z zielonej sukni, strasznie, trupio biała,
I twarz żołnierza równie jak kość zbladła;
Lecz sił nie stracił: wznosił drugą rękę
To ku niebiosom, to widzów gromady
Zdawał się wzywać i mimo swą mękę
Dawał im głośno, długo jakieś rady.
Jakie? nikt nie wie, nie mówią przed nikim.
Bojąc się szpiegów słuchacze uciekli
I tyle tylko pytającym rzekli,
Że ranny mówił złym ruskim językiem;
Kiedy niekiedy słyhać było w gwarze:
„Car, cara, caru” – coś mówił o carze.

Chodziły wieści, że żołnierz zdeptany
Był młodym chłopcem, rekrutem, Litwinem,
Wielkiego rodu, księcia, grafa synem;
Że ze szkół gwałtem w rekruty oddany,

I że dowódzca, nie lubiąc Polaka,
Dał mu umyślnie dzikiego rumaka,
Mówiąc: „Niech skręci szyję Lach sobaka”.

Kto był, nie wiedzą, i po tym zdarzeniu
Nikt nie posłyszał o jego imieniu;
Ach! kiedyś tego imienia, o carze,
Będą szukali po twoim sumnieniu.
Diabeł je pośród tysięcy ukaże,
Któreś ty w minach podziemnych osadził,
Wrzucił pod konie, myśląc, żeś je zgładził.

Nazajutrz z dala za placem słyszano
Psa głuche wycie – czerni się coś w śniegu;
Przybiegli ludzie, trupa wygrzebano;
On po paradzie został na noclegu.
Trup na pół chłopski, na poły wojskowy,
Z głową strzyżoną, ale z brodą długą,
Miał czapkę z futrem i płaszcz mundurowy,
I był zapewne oficerskim sługą.
Siedział na wielkim futrze swego pana,
Tu zostawiony, tu rozkazu czekał,
I zmarzł, i śniegu już miał za kolana.
Tu go pies wierny znalazł i oszczeakał. –
Zmarznął, a w futro nie okrył się ciepłe;

Jedna źrenica śniegiem zasypała,
Lecz drugie oko otwarte, choć skrzepłe,
Na plac obrócił: czekał stamtąd pana!

Pan kazał siedzieć i sługa usiadł,
Kazał nie ruszać z miejsca, on nie ruszy,
I nie powstanie – aż na strasznym sądzie;
I dotąd wierny panu, choć bez duszy,
Bo dotąd ręką trzyma pańską szubę
Pilnując, żeby jej nie ukradziono;
Drugą chciał rękę ogrzać, ukryć w łono,
Lecz już nie weszły pod płaszcz palce grube.

I pan go dotąd nie szukał, nie pytał!
Czy mało dbały, czy nadto ostrożny –
Zgadują, że to oficer podróżny;
Że do stolicy niedawno zawitał,
Nie z powinności chodził na parady,
Lecz by pokazać świeże epolety;
Może z przeglądów poszedł na obiady,
Może na niego mrugnęły kobiety,
Może gdzie wstąpił do kolegi gracza
I nad kartami – zapomniał brodacza;
Może się wyrzekł i futra, i sługi,
By nie rozgłosić, że miał szubę z sobą;

Że nie mógł zimna wytrzymać jak drugi,
Gdy je car carską wytrzymał osobą;
Boby mówiono: jeździ nieformalnie
Na przegląd z szubą! – myśli liberalnie.

O biedny chłopie! heroizm, śmierć taka,
Jest psu zasługą, człowiekowi grzechem.
Jak cię nagrodzą? pan powie z uśmiechem,
Żeś był do zgonu wierny – jak sobaka.
O biedny chłopie! za cóż mi łza płynie
I serce bije, myśląc o twym czynie:
Ach, żal mi ciebie, biedny Słowianinie! –
Biedny narodzie! żal mi twojej doli,
Jeden znasz tylko heroizm – niewoli.

DZIEŃ PRZED POWODZIĄ PETERSBURSKĄ 1824

OLESZKIEWICZ

Gdy się najtęższym mrozem niebo żarzy,
Nagle zsiniało, plamami czernieje,
Podobne zmarzłej nieboszczyka twarzy,
Która się w izbie przed piecem rozgrzeje,
Ale nabrawszy ciepła, a nie życia,
Zamiast oddechu zionie parą gnicia.
Wiatr zawiał ciepły. – Owe słupy dymów,

Ów gmach powietrzny jak miasto olbrzymów,
Niknąc pod niebem jak czarów widziadło,
Runęło w gruzy i na ziemię spadło:
I dym rzekami po ulicach płynął,
Zmieszany z parą ciepłą i wilgotną;
Śnieg zaczął topnieć – i nim wieczór minął,
Oblewał bruki rzeką Stygu błotną.
Sanki uciekły, kocz i landary
Zerwano z płozów; grzmią po bruku koła;
Lecz pośród mroku i dymu, i pary
Oko pojazdów rozróżnić nie zdoła;
Widać je tylko po latarek błyskach,
Jako płomyki błędne na bagniskach.

Szli owi młodzi podróżni nad brzegiem
Ogromnej Newy; lubią iść o zmroku,
Bo czynowników unikną widoku
I w pustym miejscu nie zejda się z szpiegiem.
Szli obcym z sobą gadając językiem;
Czasem pieśń jakąś obcą z cicha nuca,
Czasami staną i oczy obróca,
Czy kto nie słucha? – nie zesli się z nikim.
Nucąc bładzili nad Newy korytem,
Które się ciągnie jak alpejska ściana,
Aż się wstrzymali, gdzie między granitem

Ku rzece droga spada wyrębana.

Stamtąd, na dole, ujrzeli z daleka

Nad brzegiem wody z latarką człowieka:

Nie szpieg, bo tylko śledził czegoś w wodzie,

Ani przewoźnik, któż pływa po lodzie?

Nie jest rybakiem, bo nic nie miał w ręku

Oprócz latarki i papierów pęku.

Podeszli bliżej, on nie zwrócił oka,

Wyciągał powróż, który w wodę zwisał,

Wyciągnął, węzły zliczył i zapisał;

Zdawał się mierzyć, jak woda głęboka.

Odblask latarki odbity od lodu

Oblewa jego księgi tajemnicze

I pochylone nad świecą oblicze

Żółte jak obłok nad słońcem zachodu:

Oblicze piękne, szlachetne, surowe.

Okiem tak pilnie w swojej księdze czytał,

Że słysząc obcych kroki i rozmowę

Tuż ponad sobą, kto są, nie zapytał,

I tylko z ręki lekkiego skinienia

Widać, że prosi, wymaga milczenia.

Cóż tak dziwnego było w ręki ruchu,

Że choć podróżni tuż nad nim stanęli,

Patrzac i szepcąc, i śmiejąc się w duchu,
Umilkli wszyscy, przerwać mu nie śmieli.
Jeden w twarz spojrział i poznał, i krzyknął:
„To on!” – i któż on? – Polak, jest malarzem,
Lecz go właściwiej nazywać guślarzem,
Bo dawno od farb i pędzla odwyknął,
Bibliją tylko i kabałę bada,
I mówią nawet, że z duchami gada.

Malarz tymczasem wstał, pisma swe złożył
I rzekł, jak gdyby rozmawiając z sobą:
„Kto jutra dożył, wielkich cudów dożył;
Będzie to drugą, nie ostatnią próbą;
Pan wstrząśnie szczeble asurskiego tronu,
Pan wstrząśnie grunty miasta Babilonu;
Lecz trzecią widzieć, Panie! nie daj czasu!”
Rzekł i podróżnych zostawił u wody,
A sam z latarką z wolna szedł przez schody
I zniknął wkrótce za parkan terasu.
Nikt nie zrozumiał, co ta mowa znaczy;
Jedni zdumieni, drudzy rozśmieszeni,
Wszyscy krzyknęli: „Nasz guślarz dziwaczy”,
I chwilę jeszcze stojąc pośród cieni,
Widząc noc późną, chłodną i burzliwą,
Każdy do domu powracał co żywo.

Jeden nie wrócił, lecz na schody skoczył
I biegł terasem; nie widział człowieka,
Tylko latarkę jego z dala zoczył,
Jak błędna gwiazda świeciła z daleka.
Chociaż w malarza nie zajrzał oblicze,
Choć nie dosłyszał, co o nim mówili,
Ale dźwięk głosu, słowa tajemnicze
Tak nim wstrząsnęły! – przypomniał po chwili,
Że głos ten słyszał, i biegł co miał mocy
Nieznana drogą śród słoty, śród nocy.
Latarka prędko niesiona mignęła,
Coraz mniejszała, zakryta mgły mrokiem
Zdała się gasnąć; wtem nagle stanęła
W pośrodku pustek na placu szerokim.
Podróżny kroki podwoił, dobiega;
Na placu leżał wielki stos kamieni,
Na jednym głazie malarza spostrzega:
Stał nieruchomy pośród nocnych cieni.
Głowa odkryta, odsłonięte barki,
A prawa ręka wzniesiona do góry,
I widać było z kierunku latarki,
Że patrzył w dworca cesarskiego mury.
I w murach jedno okno w samym rogu
Błyszczało światłem; to światło on badał,

Szeptał ku niebu, jak modląc się Bogu,
Potem głos podniósł i sam z sobą gadał.

„Ty nie śpisz, carze! noc już wkoło głucha,
Śpią już dworzanie – a ty nie śpisz, carze;
Jeszcze Bóg łaskaw posłał na cię ducha,
On cię w przeczuciach ostrzega o karze.
Lecz car chce zasnąć, gwałtem oczy zmruża,
Zasnie głęboko – dawniej ileż razy
Był ostrzegany od anioła stróża
Mocniej, dobitniej, sennymi obrazy.
On tak zły nie był, dawniej był człowiekiem;
Powoli wreszcie zszedł aż na tyrana,
Anioły Pańskie uszły, a on z wiekiem
Coraz to głębiej wpadał w moc szatana.
Ostatnią radę, to przeczucie ciche,
Wybije z głowy jak marzenie liche;
Nazajutrz w dumę wzbiją go pochlebce
Wyżej i wyżej, aż go szatan zdepcze...
Ci w niskich domkach nikczemni poddani
Naprzód za niego będą ukarani;
Bo piorun, w martwe gdy bije żywioły,
Zaczyna z wierzchu, od góry i wieży,
Lecz między ludźmi naprzód bije w doły
I najmniej winnych najpierwej uderzy...

Usnęli w pjaństwie, w swarach lub w rozkoszy,
Zbudzą się jutro – biedne czaszki trupie!
Śpijcie spokojnie jak zwierzęta głupie,
Nim was gniew Pański jak myśliwiec spłoszy,
Tępiący wszystko, co w kniei spotyka,
Aż dojdzie w końcu do legowisk dzika.

Słyszę! – tam! – wichry – już wytknęły głowy
Z polarnych lodów, jak morskie straszydła;
Już sobie z chmury porobili skrzydła,
Wsiedli na falę, zdjęli jej okowy;
Słyszę! – już morska otchłań rozchełznana
Wierzga i gryzie lodowe wędzidła,
Już mokrą szyję pod obłoki wzdyma;
Już! – jeszcze jeden, jeden łańcuch trzyma –
Wkrótce rozkują – słyszę młotów kucie...”

Rzekł i postrzegłszy, że ktoś słucha z boku,
Zadmuchnął świecę i przepadł w pomroku.
Błysnął i zniknął jak nieszczęść przeczucie,
Które uderzy w serce, niespodziane,
I przejdzie straszne – lecz nie zrozumiane.

Koniec Ustępu

TEN USTĘP
PRZYJACIOŁOM
MOSKAŁOM
poświęca

AUTOR

DO PRZYJACIÓŁ MOSKALI

Wy, czy mnie wspominacie! ja, ilekroć marzę
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach,
I o was myślę: wasze cudzoziemskie twarze
Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

Gdzież wy teraz? Szlachetna szyja Rylejewa,
Którą jak bratnią ściskał, carskimi wyroki
Wisi do hańbiącego przywiązana drzewa;
Kłątwa ludom, co swoje mordują proroki.

Ta ręka, którą do mnie Bestużew wyciągnął,
Wieszcz i żołnierz, ta ręka od pióra i broni
Oderwana, i car ją do taczki zaprzągnął;
Dziś w minach ryje, skuta obok polskiej dłoni.

Innych może dotknęła sroższa niebios kara;
Może kto z was urzędem, orderem zhańbiony,
Duszę wolną na wieki sprzedał w łaskę cara
I dziś na progach jego wybija pokłony.

Może płatnym językiem tryumf jego sławi
I cieszy się ze swoich przyjaciół męczeństwa,
Może w ojczyźnie mojej moją krwią się krwawi

I przed carem, jak z zasług, chlubi się z przeklęstwa.

Jeśli do was, z daleka, od wolnych narodów,
Aż na północ zalecą te pieśni żalosne
I odezwą się z góry nad krainą lodów,
Niech wam zwiastują wolność, jak żurawie wiosnę.

Poznacie mię po głosie; pókim był w okuciach,
Pełzając milczkiem jak wąż, łudziłem despotę,
Lecz wam odkryłem tajnie zamknięte w uczuciach
I dla was miałem zawsze gołębia prostotę.

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny,
Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy,
Gorycz wyssana ze krwi i z łez mej ojczyzny,
Niech zrze i pali, nie was, lecz wasze okowy.

Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że w końcu gotów kasać rękę, co ją targa.

Koniec

OBJAŚNIENIA [POETY]

Wyrazy **czyn**, **czynownik**, często są tu użyte w znaczeniu rosyjskim, dla Litwinów tylko zrozumiałe. W Rosji, ażeby nie być chłopem albo kupcem, słowem, aby mieć przywilej uwalniający od kary knuta, trzeba wejść w służbę rządową i pozyskać tak nazwaną **klasę** albo **czyn**. Służba dzieli się na czternaście klas; potrzeba kilka lat służby dla przejścia z jednej klasy w drugą. Są przepisane czynownikom różne egzamina, podobne do formalności zachowujących się w hierarchii mandaryńskiej w Chinach, skąd, zdaje się, że ten wyraz Mogołowie do Rosji przenieśli, a Piotr Pierwszy znaczenie tego wyrazu odgadnął i całą instytucją w duchu prawdziwie chińskim rozwinął. Czynownik często nie jest urzędnikiem, czeka tylko urzędu i starać się oń ma prawo. Każda **klasa** albo **czyn** odpowiada pewnej randze wojskowej, i tak: doktor filozofii albo medycyny liczy się w klasie ósmej i ma stopień majora, czyli **asesora koleskiego**; stopień kapitański ma frejlina, czyli panna dworu cesarskiego; biskup lub archirej jest jenerałem. Między czynownikami wyższymi i niższymi stosunki uległości i posłuszeństwa przestrzegają się z równą prawie ścisłością jak w wojsku.

s. 133:

1. Myśląc, że już zajeżdża feldjegier ze dzwonkiem.

Feldjegry, czyli strzelcy polni cesarscy, są rodzajem żandarmów; polują szczególnie na osoby rządowi podejrzane, jeżdżą po polu w **kibitkach**, to jest wózkach drewnianych bez resorów i żelaza, wąskich, płaskich i z przodu wyższych niż z tyłu. Byron wspomina o tych wozach w swoim *Don Juanie*. Feldjeger przybywa po polu w nocy, porywa podejrzaną osobę, nie mówiąc nigdy, gdzie ją powiezie. Kibitka opatrzona jest dzwonkiem pocztowym. Kto nie był w Litwie, z trudnością wystawi sobie przestrach, jaki panuje w każdym domie, u którego wrót odezwie się dzwonek pocztowy.

s. 140:

2. Pytał raz Litwin, nie wiem, diabła czy Pińczuka.

Nazywa lud w Litwie Pińczukami obywateli błotnistych okolic Pińska.

s. 141:

3. Tylko łyknie powietrza i wnet się podchmieli.

Więźniowie, którzy długo byli w zamknięciu, wychodząc na świeże powietrze doświadczają pewnego rodzaju upojenia.

s. 144:

4. W Litwie zły to znak płakać we dniu inkrutowin.

Nazywają inkrutowinami uroczystość, którą gospodarz obchodzi, wnosząc się do nowego mieszkania.

s. 239:

5. Stoi spisany jasno jak ukaz senacki.

Przysłowiem stała się w Rosji ciemność ukazów senackich. Szczególnie ukazy sądowe, czyli wyroki, umyślnie tak bywają układane, aby je różnie tłumaczyć i stąd nową sprawę toczyć można było. Jest to interesem kancelarii senackich, ciągnących niezmierne zyski z procesów.

s. 274:

6. KOLESKI REGISTRATOR (*do Sowieтника*).

Koleski registrator jest to jeden z najniższych czynów. Sowietników, czyli radzców, różne są rodzaje i gatunki, jako to: radzcy honorowi, kolescy, tajni, rzeczywiści. – Pewny dowcipny Rosjanin mawiał, iż Rzeczywisty Tajny Radzca jest trojakim kłamstwem: bo nie radzi, nie wie o żadnej tajemnicy i często jest najniedorzeczniejszym stworzeniem. Mówiono raz o jakimś czynowniku i nazywano go dobrym człowiekiem. „Nazwij raczej dobrym chłopcem –

odezwał się ów żartowniś. – Jak czynownik może być człowiekiem, póki jest tylko rejestratorem? W Rosji ażeby być człowiekiem, trzeba być przynajmniej radcą stanu”.

s. 280:

7. Nam każą iść na bal.

Zaproszenie urzędowe na bal jest w Rosji rozkazem; szczególnie jeśli bal daje się z okoliczności urodzin, imienin, zaślubin itd. cesarza lub osób rodziny panującej, albo też jakiego wielkiego urzędnika. W takich razach osoba podejrzana lub źle widziana od rządu, nie idąc na bal, naraża się na niemałe niebezpieczeństwo. Były przykłady w Rosji, że rodzina osób uwięzionych i wskazanych na szubienicę znajdowała się na balach u dworu. W Litwie Dybicz, ciągnąc przeciwko Polakom, a Chrapowicki więząc i tępiąc powstańców, zapraszali publiczność polską na bale i uroczystości zwycięskie. Takowe bale opisują się potem w gazetach jako dobrowolne wynurzenia się nieograniczonej miłości poddanych ku najlepszemu i najłaskawszemu z monarchów.

s. 315:

8. Może samego wiozą Jermołowa.

W Rosji między ludem jest przekonanie, iż car może każdego innego króla wziąć w kibitkę. I w istocie nie wiemy, co by odpowiedziano w niektórych państwach feldjelowi, który by przyjechał w podobnym celu. To pewna, iż Nowosilców często powtarzał: „Nie będzie pokoju, póki nie zaprowadzimy w Europie takiego porządku, iżby nasz feldjeger mógł też same rozkazy w Wilnie, w Paryżu i w Stambule z tą samą łatwością wykonywać”. Odebranie rządów Gruzji generałowi Jermołow, którego imię u Rosjan było bardzo popularne, uważano za rzecz ważniejszą niż zwycięstwo nad jakim królikiem europejskim. Temu mniemaniu Rosjan dziwić się nie należy. Przypomnijmy, iż Jego Królewiczowska Mość książę Wirtemberski, oblegając z wojskami sprzymierzonymi Gdańsk, pisał do generała Rapp, iż generał rosyjski równy jest co do stopnia królowi i mógłby nosić ten tytuł, jeżeliby taka była wola cesarska. – Ob. pamiątniki generała Rapp.

s. 316:

9. Musiano niegdyś wylać rzekę złota.

Te słowa wyrzekł król Gotów, ujrzawszy po raz pierwszy Kolizeum w Rzymie.

s. 317:

10. Z zegarów miejskich zagrzmiała dwunasta,
A słońce już się na zachód chyliło.

W dniach zimowych w Petersburgu około godziny trzeciej już mrok pada.

s. 318:

11. I wiecznie stoi, i wiecznie ucieka.

Dymy miast północnych, w czasie mroźnym wznoszące się pod niebo w kształtach fantastycznych, tworzą widowisko podobne do fenomenu zwanego *mirage*, który zwodzi żeglarzy na morzach i podróżnych na piaskach Arabii. *Mirage* zdaje się być już miastem, już wsią, już jeziorem albo oazą; przedmioty wszystkie widać bardzo wyraźnie, ale zbliżyć się do nich niepodobna; zawsze w równej od podróżnego znajdują się odległości i na koniec nikną.

s. 319:

12. Wydarte świeżo morzu i Czuchoncom.

Finowie, po rosyjsku zwani Czuchoncami albo Czuchnami, mieszkali na brzegach błotnistych Newy, gdzie potem założono Petersburg.

s. 320

13. Z dalekich lądów i z morskich odmętów.

U wielu historyków znaleźć można opisanie założenia i budowania Petersburga. Wiadomo, iż mieszkańców do tej stolicy gwałtem spędzano i że ich więcej niż sto tysięcy w czasie budowania wymarło. Granit i marmur zwożono morzem ze stron dalekich.

s. 322:

14. Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie.

Wyznania, które się odłączyły od Kościoła katolickiego, są protegowane szczególnie w Rosji; naprzód stąd, iż zwolennicy tych wyznań z łatwością przechodzą na wiarę grecką za przykładem niemieckich księżniczek i książąt; potem, że pastrowie są najlepszą podporą despotyzmu, wmawiając ludowi ślepe posłuszeństwo dla władzy świeckiej, nawet w rzeczach sumnienia, w których katolicy odwołują się do decyzji Kościoła. Wiadomo, iż wyznania auszburskie i genewskie na rozkaz króla pruskiego połączyły się w jeden Kościół.

s. 322:

15. Myślisz, że chodzą po mieście kominy.

Para z ust wychodząca w czasie tęgich mrozów daje się widzieć w kształcie słupa, długiego częstokroć na kilka łokci.

s. 328:

16. Druga carowa pamiątnik stawiała.

Na pomniku Piotra jest napis: *Petro primo Catharina secunda*.

s. 329:

17. I w mieście pada na wznak przed carową.

Ten wiersz jest tłumaczony z rosyjskiego poety, którego nazwiska nie pomnę.

s. 330:

18. Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności.

Pomnik konny kolosalny Piotra roboty Falkoneta i posąg Marka Aureliusza stojący teraz w Rzymie w Kapitolium są tu wiernie opisane.

s. 334:

19. Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy.

Konie jazdy rosyjskiej piękne są i drogo kosztują. Koń żołnierski gwardyjski płaci się często kilka tysięcy franków. Człowieka roslęgo, miary przepisanej, można kupić za tysiąc franków. Kobietę w czasie głodu na Białorusi sprzedawano w Petersburgu za dwieście franków. Ze wstydem wyznać należy, iż panowie niektórzy polscy z Białorusi tego towaru dostarczali.

s. 336:

20. Jak tarantula, gdy jej kto w nos dmuchnie.

Tarantule, rodzaj wielkich jadowitych pajaków, gnieźdzących się na stepach południowej Rosji i Polski.

s. 337:

21. Jak arlekiny: pełno na nich wstążek.

Orderów rosyjskich, licząc w to różne ich klasy tudzież cyfry cesarskie i tak nazwane sprzążki z liczbą lat służby, jest około sześćdziesięciu. Zdarza się, że na jednym mundurze świeci dwadzieście znaków honorowych.

s. 337:

22. Ani się zarzną, ani zachorują.

Przed niewielu laty jeden z dworskich urzędników zarznął się dlatego, iż na jakimś obchodzie dworskim naznaczono mu niższe miejsce, niż podług hierarchii należało. Był to Watel czynownictwa.

s. 338:

23. Kiedy go tańczyć uczą guwernery.

Portret carewicza następcy tronu można widzieć w galerii obrazów petersburskiej Ermitażu. Malarz Anglik Dow wystawił go w postaci dziecka w mundurze husarskim z biczem w ręku.

s. 351 tytuł:

24. Oleszkiewicz, malarz znany w Petersburgu ze swoich cnot, głębokiej nauki i mistycznych przepowiedni. Obacz nekrolog jego w gazetach petersburskich z roku 1830.